WIRUS Z CHIN
W erze wielkich miast epidemii będzie więcej

SPADEK PO
Budka: grabarz czy odnowiciel

KARD. CZERNY:
Watykan patrzy na polski Kościół

LIDER SZCZĘŚCIA
Fiński sposób na równość

JESTEM ŁOSOSIEM
Arktyczne marzenia, trauma i zachwyt

Kraków 9 lutego 2020 nr 6 (3683) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

BARTOSZ BIELENIA

Nasz Oscar

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

1% Wierzymy, że warto pomagać

indywidualnie, **rodzinnie**, **zawsze**

JEDENPROCENT.CARITAS.PL

Przekaż 1% podatku dla Caritas Polska

WPISZ W FORMULARZU PIT NUMER **KRS 0000198645**

Wyjazdy wakacyjne dla dzieci, opieka nad osobami starszymi i samotnymi, świetlice socjoterapeutyczne, noclegownie, punkty żywieniowe, ośrodki rehabilitacyjne czy domy opieki to tylko część działań, które prowadzimy na co dzień.

Więcej informacji, rezultaty działań, formularze w wersji on-line i do pobrania znajdują się na stronie: **jedenprocent.caritas.pl**

caritas

KS. ADAM

Boniecki: *Zupa z nietoperza*

Pewnie jeszcze długo amatorzy zupy z nietoperza, specjalności restauracji Wuhan, będą musieli obejść się smakiem, ewentualnie obejrzeć zdjęcia, na których szczerzy wielkie zęby czarny nietoperz spoczywający na brzegu talerza z żółtawą zupą. Z zazdrością będą oglądać reklamowe zdjęcie dziewczyny obgryzającej ze smakiem skrzydełko czarnego stwora. Będą też kłopoty z daniami sporządzonymi z węży, zwłaszcza z chińskiej kobry, pewnie też z daniami z pagumy chińskiej (*Paguma larvata*, po polsku łaskun chiński), a wszystko to z powodu nowego koronawirusa, zwanego 2019-nCoV.

Sprawa jest poważna. Według najnowszego komunikatu Światowej Organizacji Zdrowia w ciągu poprzedzających go 24 godzin przybyło 2128 nowych zakażeń wirusem, w tym 2102 w Chinach. W sumie w tym kraju zarejestrowano 11 821 przypadków zachorowań, w tym 258 śmiertelnych. Kiedy to piszę, na świecie jest ok. 14 tys. osób zarażonych, z czego 304 zmarły w wyniku zakażenia. W 18 krajach poza Chinami stwierdzono blisko 100 przypadków zarażenia wirusem. Narodowa Komisja Zdrowia w Chinach poinformowała, że szpital opuściły 243 osoby wyleczone z infekcji, chociaż według WHO jeszcze nie znaleziono metody leczenia takich pacjentów. Wiele państw podjęło działania mające zapobiec przenoszeniu wirusa, przede wszystkim kontrole i izolację przybyszów z Chin. Poza podejmowanymi na wielką skalę działaniami prewencyjnymi trwają badania nad naturą i pochodzeniem 2019-nCoV (więcej o epidemii pisze Marek Rabij w „Temacie Tygodnika”).

Nieznany wcześniej wirus należy do wielkiej rodziny koronawirusów. Został zidentyfikowany w Chinach 7 stycznia 2020 r., jako siódmy z tej rodziny, który może się przenosić ze zwierząt na ludzi. Wywodzi się prawdopodobnie z wielkiego bazaru (zamkniętego 1 stycznia 2020 r.) w Wuhan, mieście liczącym 8,3 mln mieszkańców. Wielu badaczy sądzi, że mutacja wirusa została przeniesiona z pożeranych przez węże nietoperzy. W organizmie węża nastąpiła mutacja. Inni utrzymują, że to mało prawdopodobne.

Tymczasem Chińczycy sięgnęli po stary sposób reagowania na zarazy – odizolowano Wuhan (z 8,3 mln mieszkańców w grudniu i styczniu 5 mln wyjechało na wakacje) oraz kilka innych miast, w sumie ok. 56 mln ludzi. Kwarantanna dotkniętych zarazą miejscowości stosowana była w Europie od XIV wieku. Czasem budowano mury, czasem dróg pilnowało wojsko. Izolacja powstrzymywała rozszerzanie się zarazy, jednak sprzyjała jej nasileniu w okręgach izolowanych, gdzie zdrowi i zarażeni przebywali razem, zwykle bez wystarczającej opieki lekarskiej.

Myślę o chińskich miastach odciętych od reszty świata. Jak się żyje w tych zagrożonych enklawach? Czy jest tam dość lekarzy, szpitali, jak się przedstawia zaopatrzenie w żywność? Myślę o Chińczykach i przybyszach z Chin, zatrzymywanych i zmuszanych do odbycia kwarantanny.

Premier Chin Li Keqiang zwrócił się do przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen z prośbą o pomoc w zaopatrzeniu w niezbędne materiały medyczne. To wiele mówi: Chiny niespecjalnie lubią prosić innych o pomoc.

W Polsce jeszcze nie odnotowano przypadków zakażenia się 2019-nCoV. To, co się w związku z nim dzieje, dzieje się daleko. W Wuhan na ogół nie mamy krewnych, o których byśmy się martwili. Tak jest dziś, ale kto wie, co może być jutro?

©℗

TP

Dołącz do grupy dyskusyjnej „Smaki” >> powszech.net/smaki

„Smaki” to gotowanie, jedzenie, restauracje, porady.
Tu dzielimy się najciekawszymi przepisami, ale także najlepszą publicystyką kulinarną. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia, nóż czy mątewka.

W grupie spotkacie felietonistę kulinarnego „Tygodnika” Pawła Bravo oraz autora (r)ewolucyjnej historii sztuki kulinarnej „Nauka w kuchni”, Michała Kuźmińskiego.

powszech.net/smaki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

22 Masa spadkowa
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Najtrudniejsze zadanie stojące przed Borysem Budką, nowym liderem Platformy Obywatelskiej to udowodnienie, że jego partia jest w ogóle potrzebna.

46 Fiński młynek szczęścia
PATRYCJA BUKALSKA
Przoduje w rankingach szczęścia, ma system edukacji uważany za wzorowy oraz młodą i energiczną panią premier. Dlaczego wielu ludzi w Europie o lewicowych poglądach patrzy na Finlandię z nadzieją?

62 Za dużo wrażeń
Z BARTOSZEM BIELENIĄ, AKTOREM, ROZMAWIA ANNA GOC:
Na ambonie czułem się jak na scenie. Scena ma podobną moc. Tyle że ludzie przychodzący do teatru wiedzą, że to, co się za chwilę wydarzy, będzie tylko propozycją.

78 Jestem łososiem
ADAM ROBIŃSKI ROZMAWIA Z BARRYM LOPEZEM, AUTOREM KSIĄŻKI „ARKTYCZNE MARZENIA”:
Pytają mnie, jak mogę pisać o więziach społecznych, skoro ciągle nie ma mnie w domu. I skąd we mnie tyle nadziei i naiwności?

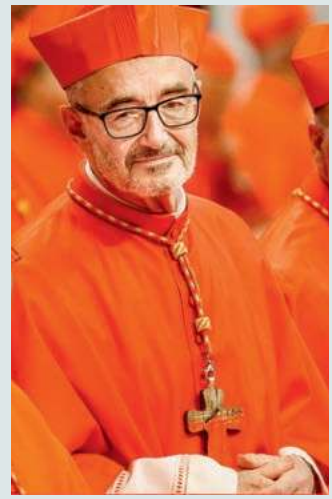

32 Jezus w brudnych spodniach
EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU
Kościół w Polsce dał się podzielić politykom – mówi kardynał Michael Czerny. Stosunek do imigrantów stał się deklaracją „prawicowości” bądź „lewicowości”.

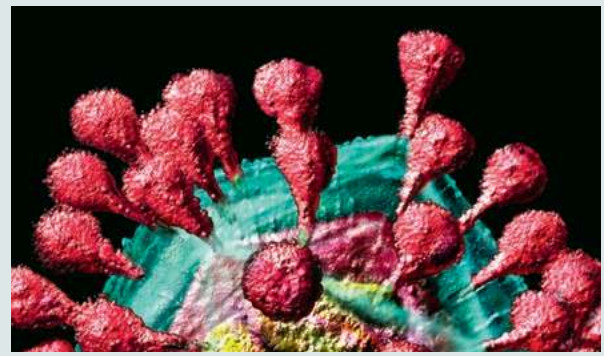

58 Martwi altruiści
MARIUSZ GOGÓL
Nie odżywiają się ani nie rozmnażają, nie mają metabolizmu i trudno powiedzieć, że żyją. Ale potrafią się komunikować i pomagają swoim klonom. Czym właściwie są wirusy?

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER // DAVID LIITTSCHWAGER / MATERIAŁY PRASOWE // FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES // PRZEMEK KRZAKIEWICZ // YVES HERMAN / REUTERS / FORUM // SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

6 Koniec zabawy
MARCIN ŻYŁA

7-11 Wiadomości / Komentarze

20-21 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

KRAJ

22 Masa spadkowa
ANDRZEJ STANKIEWICZ

26 Lewica puka do domu
RAFAŁ WOŚ: *Chcą pokazać, że spór o politykę rodzinną nie musi się toczyć wyłącznie między liberałami a konserwatystami. Czy to się może udać?*

28 Sprawy rodzinne
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Pół roku po tragedii w Olecku głos zabierają bliscy podejrzanej o zabicie dziecka Anny W.*

WIARA

32 Jezus w brudnych spodniach
EDWARD AUGUSTYN

36 Koledzy Franciszka
DOMINIKA MATEJKO: *Podążanie argentyńskimi śladami filmu „Dwóch papieży" pomaga zrozumieć, czemu Kościół Franciszka nie może być inny*

39 Przepis na sacrum
MARCIN CHODUŃ: *Projekt nowego wnętrza kościoła dominikanów w Katowicach wywołuje skrajne reakcje wiernych*

ŚWIAT

42 Póki my żyjemy, ona żyje w nas MACIEJ PIOTROWSKI: *Co łączy spotkanie przywódców Rosji i Białorusi z historią outsiderów spod polsko-białoruskiej granicy?*

TEMAT TYGODNIKA

KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

12 Epidemii będzie więcej
MAREK RABIJ
Naukowcy mają nadzieję, że wirus z Wuhan nie wywoła pandemii na skalę grypy, która przed stu laty zabiła kilkadziesiąt milionów osób. Ale podobne kryzysy będą się powtarzać coraz częściej.

17 Wobec zagrożenia
ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM KORZENIEWSKIM, EPIDEMIOLOGIEM:
Obecna epidemia powinna nam uzmysłowić, że brak działań prewencyjnych może prowadzić do katastrofy. Polacy nie należą do liderów profilaktyki zdrowotnej.

FELIETONY

31 ANNA DZIEWIT-MELLER
53 ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO **82** STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: BARTOSZ BIELENIA
Zdjęcie: Maciej Zienkiewicz / AGENCJA GAZETA
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

46 Fiński młynek szczęścia
PATRYCJA BUKALSKA

46 Kobiety w Skandynawii, czyli historia ideału z rysą
ROZMOWA Z AINUR ELMGREN, FIŃSKĄ HISTORYCZKĄ

50 Desperaci z Golden Gate
MARTA ZDZIEBORSKA: *Most nad zatoką San Francisco to jedno z najczęściej wybieranych miejsc przez samobójców*

HISTORIA

54 Wyrwać korzenie i korzonki
WOJCIECH KONOŃCZUK: *80 lat temu zaczęła się wielka wywózka obywateli polskich na Syberię*

NAUKA

58 Martwi altruiści
MARIUSZ GOGÓL

KULTURA

62 Za dużo wrażeń ROZMOWA Z BARTOSZEM BIELENIĄ

67 I kto tu jest przyszłością?
DARIUSZ KOSIŃSKI: *W polskim teatrze coś się właśnie zasadniczo zmieniło. Niektórzy pytają: czy to w ogóle jest jeszcze teatr?*

71 Na śmierć konserwatysty
DOROTA KOZIŃSKA *o sir Rogerze Scrutonie*

74 Inny happy end
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Małe kobietki" Grety Gerwig*

76 Umierający świat LEKTOR *o książce „Sen wioski Ding" Yana Lianke*

ZMYSŁY

78 Jestem łososiem
ROZMOWA Z BARRYM LOPEZEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Są rówieśniczkami, łączy je bogactwo, uroda i apetyt na życie. A ich ojcowie byli dyktatorami: jeden Uzbekistanu, drugi Angoli – **WOJCIECH JAGIELSKI** *pisze o współczesnych upadłych księżniczkach* **tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata**

Pamięć o Szoah w cieniu polityki [Podkast Powszechny]
Za nami 75. rocznica wyzwolenia obozu Auschwitz, związane z nią emocje na linii Polska–Izrael oraz pytania o historyczną prawdę – *rozmawiają w Tel Awiwie* **KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET** („TP") *i* **OFER ADERET** („Haaretz") **powszech.net/75-auschwitz**

/TygodnikPowszechny ▪ /Tygodnik ▪ /Tygodnik ▪ YouTube /TygodnikPowszechny

OBRAZ TYGODNIA

SIMON DAWSON / REUTERS / FORUM

KONIEC ZABAWY

Pierwsze dni poza Unią Europejską
były w Wielkiej Brytanii jak cały brexit
– słowa i symbole przykrywały twardą rzeczywistość.

MARCIN ŻYŁA Z LONDYNU

Londyn, 31 stycznia 2020 r.

Coś zawsze jest na rzeczy, gdy ludzie zabierają na manifestacje nie swoje flagi. Powiewa się sztandarami silniejszych lub tych, z którymi wiąże się nadzieje: albańskimi w Kosowie, polskimi na Ukrainie, unijnymi na prodemokratycznych wiecach. Kiedy w piątek 31 stycznia o godz. 23 czasu lokalnego Zjednoczone Królestwo – jako pierwsze państwo w historii – opuszczało Unię Europejską, pod parlament w Londynie wielu zwolenników brexitu przyniosło flagi amerykańskie. Tak jakby słynna „Union Jack", łącząca symbolikę angielską, szkocką i irlandzką, nie wystarczała nawet w chwili, która miała być demonstracją brytyjskiej niezależności.

Trudno o bardziej dosadny symbol spadku znaczenia Wielkiej Brytanii: w ostatnim dniu jej 47-letniego członkostwa w Unii – oprócz opisywania przygotowań do „najwspanialszego momentu w nowoczesnej historii naszego wielkiego narodu" (słowa polityka Nigela Farage'a, przeciwnika Brukseli) – prasa komentowała tu sekretarza rolnictwa USA, który za-

powiedział, że na brytyjskie stoły powinny trafić płukane w chlorze amerykańskie kurczaki. Obawa przed tym, że wolny od unijnych zobowiązań Londyn, negocjując nowe umowy handlowe, będzie zawierał niepopularne kompromisy, przyćmiła radość połowy Brytyjczyków z długo wyczekiwanego brexitu.

Dla zwolenników brexitu wieczór 31 stycznia miał być okazją do radości. Setki ludzi przyszło na plac pod parlamentem. Oglądano film o członkostwie kraju w Unii (klaskano, gdy na ekranie pojawiła się Margaret Thatcher, buczano, gdy pokazywano Tony'ego Blaira). Byli przebrani za Churchilla i postać Britanii, kobiecej personifikacji kraju. Impreza skończyła się jednak dość szybko – jeszcze przed północą skwer powoli pustoszał, a centrum Londynu powróciło do rytmu zwykłej piątkowej nocy.

Lęk przed niepewną przyszłością politycy usiłowali przykryć słowami i symboliką. 31 stycznia premier Boris Johnson wygłosił do narodu pojednawcze przemówienie. Ale już trzy dni później, występując w monumentalnych wnętrzach Old Royal Naval College w Greenwich, symbolizujących dawną potęgę Brytanii, ostrzegł Brukselę, że podczas rozmów o przyszłych relacjach nie będzie dążył do porozumienia „za wszelką cenę". Jego mowa – pełna odniesień do przeszłości i dość szczegółowych (a czasem, jak fragmenty o ochronie słoni, wręcz absurdalnych) przykładów sytuacji, gdzie, zdaniem Johnsona, to Unia jest w tyle za Wielką Brytanią – kontrastowała ze słowami unijnego negocjatora Michela Barniera. Przekaz z Brukseli do Londynu jest jasny: chcemy przyjaźni, ale tak dobrze jak w Unii nie będzie wam nigdy. Barnier potwierdził też, że przyszły układ handlowy nie obejmie Gibraltaru, brytyjskiego terytorium zamorskiego, o którego status Brytyjczycy spierają się z Hiszpanią.

Nicola Sturgeon, pierwsza minister Szkocji – kraju, którego mieszkańcy w 2016 r. zagłosowali za pozostaniem w Unii – zapowiedziała już, że ponowne referendum w sprawie niepodległości tego kraju odbędzie się jeszcze w tym roku (nie zgadza się na to rząd w Londynie). Jedność Zjednoczonego Królestwa może być zagrożona. I Bruksela, i Edynburg mogą więc wkrótce zmusić Borisa Johnsona do złagodzenia buńczucznego tonu. W końcu wciąż około połowy Brytyjczyków nie chciało opuszczać Unii. Wielu z nich podpisałoby się pod wiadomością, którą w dzień brexitu wyświetlono na białych klifach Dover. Obok fragmentu unijnej flagi była prośba do Europejczyków z kontynentu: „To jest nasza gwiazda. Opiekujcie się nią". ©℗

Auschwitz: głosy Ocalałych

MICHAŁ OKOŃSKI

Podczas 75. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz przemówili Batszewa Dagan, Elza Baker, Marian Turski i Stanisław Zalewski. Podobnie jak rok temu Janina Iwańska i Leon Weintraub czy w 2018 r. Maria Hörl i Bronisława Karakulska – wymieniać mógłbym długo, bo naczelną zasadą obchodów jest to, że najważniejszy głos należy do Ocalałych.

Żadne z nich nie mówiło rzeczy łatwych. Dagan wspominała m.in. o żądzy zemsty, która była siłą pozwalającą przetrwać w piekle; pytała też, patrząc w oczy międzynarodowych delegacji, „gdzie żeście wy wszyscy byli, gdzie był świat, który widział i słyszał i nic nie robił" (choć wspomniała, że Shoah to nie tylko straszne rzeczy, ale i „sprawiedliwi, którzy pomagali i chowali"). Zalewski zastanawiał się, czy można odpuścić winy tym, którzy na klamrach pasów mieli napis „Gott mit uns", i przypominał, że warunkiem pojednania jest prawda. Baker upominała się o pamięć ludobójstwa na Sinti i Romach. Turski, cytując słowa obecnego na obchodach prezydenta Austrii, że „Auschwitz nie spadło z nieba", apelował do młodych, by nie byli obojętni, jeśli widzą kłamstwa historyczne, dyskryminowanie mniejszości czy naruszanie przez władzę umów społecznych.

Ciekawe: umieszczone w historycznym wywodzie, o tym jak III Rzesza stopniowo pozbawiała Żydów kolejnych praw, słowa te uznano za bieżący komentarz, a ich autora gorliwie lustrowano. Jacek Karnowski z prorządowego portalu wpolityce.pl uznał nawet, iż Turski „budował *de facto* tezę, że reforma wymiaru sprawiedliwości jest właściwie tym samym, co działania nazistowskich władz w latach 30.", i zarzucił dyrekcji Muzeum Auschwitz, że dopuszczając byłego więźnia do głosu zastawiła pułapkę na prezydenta Dudę. Na złodziejach czapka gore – można by ironizować, gdyby słowa Karnowskiego nie brzmiały jak zapowiedź zamachu na jedną z ostatnich niepartyjnych instytucji publicznych w kraju. Wiem, że ktoś, kto nawet w kościele prowadzi kampanię wyborczą, nie uwierzy, ale Auschwitz nie jest miejscem uprawiania polityki. ©℗

Błędy Yad Vashem

„PRZEPRASZAMY za bardzo niefortunny incydent – pisze Yad Vashem o materiałach filmowych zaprezentowanych podczas V Światowego Forum Holokaustu. – Nie przedstawiają one stanowiska badawczego Instytutu". List pojawił się na stronie dziennika „Haaretz"; jest – jak można się domyślać – konsekwencją trwającego od dwóch tygodni sporu wewnątrz Instytutu oraz spadającej na niego krytyki.

„Niestety, w filmach, które towarzyszyły wydarzeniu, zwłaszcza tam, gdzie miały one przedstawić kluczowe punkty II wojny światowej i Holokaustu, pojawiły się nieścisłości, a obraz faktów historycznych jest jednostronny"– czytamy w oświadczeniu. „Filmy nie zawierały odniesienia do podziału Polski przez radziecką Rosję i nazistowskie Niemcy w 1939 r., nie zwracały też uwagi na okupację Europy Zachodniej w 1940 r. Ponadto przedstawione mapy miały niepoprawne granice Polski i jej sąsiadów oraz błędną identyfikację obozów koncentracyjnych jako obozów zagłady".

„Filmy, które miały posłużyć jako ilustracje, nie odzwierciedlają złożonego obrazu Holokaustu i II wojny światowej" – czytamy dalej. Instytut dodaje, że w swoim dochodzeniu prawdy historycznej o Holokauście sprzeciwia się „próbom zamazania i wypaczania dyskursu politycznego mającego miejsce w różnych krajach". Bierze też odpowiedzialność za błędy i zobowiązuje się do ich naprawienia. Pod listem podpisany jest Dan Michman, kierownik Międzynarodowego Instytutu Studiów nad Holokaustem.

Światowe Forum Holokaustu zorganizowano 23 stycznia pod hasłem walki z antysemityzmem, a głównym organizatorem imprezy była fundacja Mosze Kantora, żydowskiego i rosyjskiego oligarchy zaprzyjaźnionego z Władimirem Putinem. Przemawiający w Yad Vashem prezydent Rosji przedstawił w jej trakcie własną wizję dziejów II wojny światowej, w której ZSRR była w zasadzie jedynym wyzwolicielem Europy i świata; prorosyjska narracja dominowała także w wystąpieniach przedstawicieli Izraela.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

KRAJ W SKRÓCIE

POWAŻNIE ROZWAŻY
„Zapewniam, że w Pałacu Prezydenckim jestem często odwiedzany przez osoby, które mają inną orientację niż moja” – powiedział Andrzej Duda w wywiadzie dla „Wprost”, dodając, że „poważnie rozważyłby podpisanie ustawy wprowadzającej związki partnerskie”.

PIOTR MOLĘCKI / EAST NEWS

WYJEDZIE
Z informacji „Faktu” wynika, że prezydenta będzie rzadziej odwiedzać córka: Kinga Duda wyjeżdża do pracy w jednej z kancelarii prawnych w Londynie.

NIE ZAGŁOSUJE
Coraz większa liczba wyborców poważnie rozważa niegłosowanie na formację polityczną prezydenta: poparcie dla PiS i jej koalicjantów spadło w ciągu miesiąca sporów o sądy z 41 do 35 proc.

NIE ZWOLNI
Stracił stanowisko dyrektor programowy Radia Gdańsk, Mariusz Roman. Wcześniej wysłał nocnego maila, w którym wnioskował o zwolnienie dwóch pracowników, gdyż (pisownia i interpunkcja oryginalne): „Obaj, zostali ukształtowani mentalnie, w pracy zawodowej – wieloletniej, w Gazecie Morskiej, dodatkowo – Ojciec, red. J. Popka, pochodzi z rodziny wojskowej, gdzie Jego Ojciec, przez wiele lat, pełnił wysoką pozycję w Marynarce Wojennej, w czasach PRL, czyli zniewolenia naszej Ojczyzny, od okupanta sowieckiego. W nowej rzeczywistości, odzyskania przekazu informacji dla postronnych obywateli, nie rokują obiektywnego przekazu informacji”.

Położnictwo w kryzysie: będzie tylko gorzej

MAŁGORZATA NOCUŃ

W małych polskich miejscowościach zlikwidowano kilka oddziałów porodowych. Planuje się zamykanie kolejnych, w których rodzi mniej niż czterysta kobiet rocznie (samorządy uznały je za nierentowne). Ciężarne, które poczują bóle porodowe, będą musiały dojeżdżać do odległych placówek. To mało komfortowe, a czasem wręcz niebezpieczne – dla matki i dziecka.

Polskie położnictwo znajduje się w kryzysie. I będzie tylko gorzej. Kryzys powoli dotyka nie tylko prowincję. Mało który student medycyny wybiera specjalizację ginekologiczno-położniczą. Prawie żaden nie decyduje się na neonatologiczną. W dużych miastach nie pozwala się odejść na emeryturę neonatologom: nie ma ich kto zastąpić. Nie mamy też wystarczającej liczby anestezjologów – czasem trzeba wykonać pilne cięcie cesarskie, każdy oddział położniczy musi być w całodobowej gotowości do przeprowadzenia operacji.

Duże miejskie ośrodki, o wyższym stopniu referencyjności, zmuszone są do przyjmowania większej liczby pacjentek. Panuje tłok, a z tłumu trudno wyłonić te kobiety, które rzeczywiście potrzebują pomocy, od tych, które tylko „boją się, że dzieje się coś złego”.

W wielu placówkach ukrywa się braki kadrowe: na oddziale nie ma psychologa, który ma obowiązek udzielenia pomocy kobietom po stracie; matki, które po porodzie nie mogą mieć przy sobie dziecka, co jest traumatycznym doświadczeniem, umieszcza się (niezgodnie z przepisami) na sali z kobietami karmiącymi noworodki piersią.

I podkreślmy: nie jest to wina lekarzy, to wina systemu. Systemu, który sprawił, że bycie ginekologiem, położnikiem, neonatologiem to mało wdzięczna praca. Kiedy podczas porodu albo na oddziale neonatologicznym coś pójdzie nie tak, roszczenia i pretensje pacjentek są, co psychologicznie zrozumiałe, ogromne. A lekarze zostają z tym sam na sam. ©

Wymiar sprawiedliwości: tydzień walki pozycyjnej

„WARTOŚCIOWE FORUM konsultacji społecznych” – przedstawiciel Kancelarii Prezydenta tak określił piątkowe spotkanie organizowane pod auspicjami Polskiej Akademii Nauk, dotyczące zmian w ustroju sądów. Trudno nawet udawać, że obóz władzy cokolwiek w tej sprawie konsultuje. Obecny na spotkaniu wicepremier Jarosław Gowin skorzystał z pretekstu, że jako minister nauki jest nadzorcą PAN, dzięki czemu mógł puścić oko do części elektoratu, ale zarazem nie wyłamać się z dyscypliny narzuconej mu przez starszych braci z PiS.

A dyscyplina pozostaje żelazna, choć tym razem Kaczyński, Ziobro i spółka mają naprzeciw siebie nie tylko protesty organizacji sędziowskich i opinii publicznej, ale konkretny opór organów sądowniczych, skutkujący faktami prawnymi. Niedawne orzeczenia SN dyskwalifikujące nowo utworzoną Izbę Dyscyplinarną SN oraz podważające prawomocność powołań sędziów przez Krajową Radę Sądownictwa w obecnym kształcie zostały zignorowane lub podważone przez ministra sprawiedliwości, Trybunał Konstytucyjny, a także samą KRS (w ubiegłym tygodniu rekomendowała prezydentowi nominacje nowych członków Izby Dyscyplinarnej SN).

Równocześnie prezydent dostał na biurko tzw. ustawę kagańcową i w trakcie spotkania z przedstawicielami opozycji nie wykazywał wątpliwości, czy zamierza ją wkrótce podpisać.

Unijna komisarz odpowiedzialna m.in. za kwestie sprawiedliwości Věra Jourová odwiedziła Warszawę i przynajmniej została przyjęta przez Zbigniewa Ziobrę (na zdjęciu), ale dla władzy była to tylko okazja, żeby powtórzyć argumenty w rodzaju „w Niemczech istnieją podobne rozwiązania”.

Kolejny tydzień trwała więc próba sił bez żadnych widoków na przełom.

©℗ PAWEŁ BRAVO

MACIEK JAŹWIECKI / AGENCJA GAZETA

BEN CURTIS / AP / EAST NEWS

Z PLAGĄ SZARAŃCZY walczą Kenia i Somalia. Setki milionów owadów, z których każdy codziennie potrafi przelecieć 150 km i zjeść tyle traw, ile sam waży, niszczą uprawy zbóż i mogą wywołać klęskę głodu. W Somalii działalność grup zbrojnych uniemożliwia rozpylanie środków owadobójczych z powietrza. Coraz liczniejsze roje szarańczy docierają już do Ugandy i Sudanu Południowego. Na zdjęciu: wieś Katitika, południowa Kenia, 24 stycznia 2020 r. ©℗ ŻYM

Diabelska maszyna

„NAJWIĘKSZE WYŁUDZENIE podatkowe w histroii Europy" – tak aferę „cum-ex" (z łac. „z-bez") określił Christoph Spengel, naukowiec z uniwersytetu w Mannheim zajmujący się podatkami korporacyjnymi.

Mechanizm (nazwany „diabelską maszyną") był skomplikowany i wymagał współpracy wielu stron. Dzięki niemu zaangażowani w wyłudzanie bankierzy inwestycyjni i ich klienci otrzymywali nienależne zwroty podatkowe. W ciągu dekady najwięcej stracił fiskus niemiecki (równowartość ok. 116 mld zł) i francuski (ponad 65 mld zł), Polska także znalazła się na liście okradzionych krajów, opublikowanej przez piszącego o aferze „New York Timesa".

W lutym w Bonn ma się zakończyć proces dwóch byłych pracowników banku inwestycyjnego Merrill Lynch uczestniczących w procederze. Do tej pory wszczęto 56 śledztw, w których niemiecki wymiar sprawiedliwości szykuje oskarżenia dla kolejnych 400 osób. Karami może zostać obłożonych także dziesiątki prawników, tworzących dokumenty oceniające „cum-ex" jako legalne. Jednym z nich jest Hanno Berger, kiedyś najwyżej oceniany urzędnik podatkowy rządu Hesji, który później doradzał firmom i zamożnym klientom, jak unikać podatków. „To nie jest praca dla wrażliwców. Jeśli mierzi was, że z powodu naszej działalności rząd zbuduje mniej przedszkoli, lepiej od razu odejdźcie" – mówił swoim pracownikom. ©℗ PATRYK STANIK

Będą szkoły dla Rohingów

BLISKO PÓŁ MILIONA DZIECI zamieszkujących obozy Rohingów w Bangladeszu uzyska dostęp do tamtejszych szkół. Władze w Dhace potrzebowały dwóch i pół roku, aby wyrazić na to zgodę.

Ponad milion wygnanych z Birmy Rohingów, muzułmanów z pogranicznego stanu Arakan, zbiegło jesienią 2017 r. do sąsiedniego Bangladeszu, chroniąc się przed prześladowaniami. W obozach wojsko i organizacje pozarządowe przygotowały im prowizoryczne schronienia oraz świetlice, w których odbywały się zajęcia z kilku podstawowych przedmiotów. Rząd nie chciał jednak umożliwić dzieciom Rohingów dostępu do bangladeskich szkół – w obawie, że wywoła to protesty obywateli Bangladeszu. ©℗ MR

Trump pogrzebał proces pokojowy

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

A MIAŁO BYĆ TAK PIĘKNIE: PONAD DWA LATA PRACY i zapewniania, że plan pokojowy będzie „szansą stulecia" na trwałą zgodę między Izraelem i Palestyńczykami. Tyle słowa, bo kolejne kroki prezydenta Donalda Trumpa zdradzały, komu sprzyjają prace nad projektem: w ciągu ostatnich dwóch lat prezydent przeniósł ambasadę USA z Tel Awiwu do Jerozolimy, odciął pomoc finansową dla Palestyńczyków i uznał suwerenność Izraela nad Wzgórzami Golan, a sekretarz stanu USA oznajmił, że izraelskie osadnictwo na Zachodnim Brzegu nie jest sprzeczne z prawem międzynarodowym. Nie dziwi więc, że głośno zapowiadany *deal* Trumpa, ogłoszony wreszcie w tym tygodniu, jest jednostronną wizją USA i Izraela, w dodatku nieprecyzyjną i pod wieloma względami wątpliwą. Co najważniejsze jednak – wizją powstałą ponad głowami Palestyńczyków, proponującą im resztki z pańskiego stołu.

Plan Trumpa zakłada powstanie „państwa palestyńskiego" – zdemilitaryzowanego, rozczłonkowanego, połączonego między Zachodnim Brzegiem i Gazą podziemnymi tunelami. Dotychczasowe osiedla na Zachodnim Brzegu miałyby stać się częścią Izraela, a rozbudowa kolejnych zostałaby wstrzymana na cztery lata. Wschodnia Jerozolima byłaby stolicą państwa Palestyńczyków. Ponadto otrzymaliby oni pomoc inwestycyjną w wysokości 50 mld dolarów.

Reakcja Palestyńczyków była jednoznaczna: „tej tak zwanej umowie stulecia mówimy po tysiąckroć nie" – powiedział prezydent Mahmud Abbas, zrywając resztki kanałów dyplomatycznych z Izraelem i Stanami. W Izraelu opinie są podzielone: prawica się cieszy, lewica plan ostro krytykuje.

Nie ulega wątpliwości, że plan Trumpa przyczyni się raczej do pogrzebania niż odnowienia procesu pokojowego na Bliskim Wschodzie. Palestyńczycy – od lat przez Trumpa ignorowani, trawieni dramatyczną sytuacją ekonomiczną i podzieleni politycznie – znajdują się w sytuacji bez wyjścia. To nie pierwszy ich sprzeciw wobec planów pokojowych, i nie pierwszy raz, gdy po odrzuceniu propozycji w kolejnym rzucie otrzymują jeszcze mniej. Odrzucenie projektu, w którym obiecuje się im cokolwiek, skazuje ich na następne lata egzystencji w dramatycznych warunkach. Izrael z kolei musi się liczyć z nawracającymi falami terroru i zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju.

Pytanie, czy przy obecnych układach politycznych – zarówno w Stanach, jak i w Izraelu oraz podzielonej Palestynie – rozmowa o pokoju w ogóle jest możliwa. Konflikt, rozpoczęty sto lat temu, zabrnął zbyt daleko, by mógł go uzdrowić plan obliczony na bieżące polityczne korzyści USA i Izraela. ©

Otwarcie nowej drogi w niemieckim Kościele

WE FRANKFURCIE NAD MENEM obradowała pierwsza trzydniowa sesja (z czterech zaplanowanych w ciągu dwóch najbliższych lat) Drogi Synodalnej. To unikatowy w Kościele wspólny projekt niemieckiego episkopatu i Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików, który ma wytyczyć drogi reform wobec kryzysu m.in. związanego z pedofilią. Biskupi zgodzili się rozmawiać ze świeckimi bez pozycji uprzywilejowanej na cztery tematy: moralności seksualnej, celibatu, podziału władzy w Kościele i miejsca kobiet. Podczas spotkania wybrano 35-osobowe grupy, które mają wypracować propozycje na kolejne spotkanie zaplanowane na 3–5 września. Ustalono, że dokumenty będą przyjmowane większością dwóch trzecich głosów z zastrzeżeniem, że „za" musi być ponad połowa z 70 uczestniczek.

Komentując obrady, wiceprzewodniczący niemieckiego episkopatu bp Franz-Josef Bode nazwał spotkanie „wielkimi warsztatami przyszłości". Z kolei główny krytyk Drogi Synodalnej – metropolita Kolonii kard. Rainer Maria Woelki – powiedział, że „potwierdziły się wszystkie jego obawy", m.in. to, że „spotkanie przypomina synod protestancki" (odpowiadając, przewodniczący episkopatu kard. Reinhard Marx zauważył, że „protestancki" nie jest „brzydkim słowem").

Wśród 230 uczestników jest 69 biskupów. Drodze przygląda się 18 obserwatorów z Kościołów w sąsiednich krajach (w tym ks. Grzegorz Chojnacki z Uniwersytetu Szczecińskiego).

©℗ ARTUR SPORNIAK

Pęknięcie wspólnoty

W ZESZŁYM TYGODNIU w „Rzeczpospolitej" ukazały się wyniki badania zaufania do instytucji publicznych w Polsce. Pokazują, że w ciągu trzech lat zaufanie do instytucji Kościoła spadło niemal o jedną trzecią. We wrześniu 2016 r. ufało Kościołowi 58 proc. badanych. Obecnie ufa mu 39,5 proc.

Komentatorzy zwracają uwagę, że ów spadek zaufania wiąże się z pogłębiającymi się podziałami społecznymi i wyraźnym powiązaniem instytucji kościelnych z jedną stroną politycznego sporu. W konsekwencji to, czy ktoś deklaruje, że ufa Kościołowi, jest silnie skorelowane z jej/jego sympatiami politycznymi.

Analizując dane trzeba pamiętać, że badanymi byli w większości członkowie wspólnoty Kościoła: to katolicy przestają ufać kościelnej hierarchii. Badania pokazują zatem nie tylko dramatyczny spadek zaufania ludzi do pewnej instytucji, ale także (a może przede wszystkim) kryzys zaufania – wręcz pęknięcie – wewnątrz wspólnoty.

©℗ PIOTR SIKORA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PROSZĘ

W nowym włoskim wydaniu Mszału zmieniono fragment modlitwy „Ojcze nasz". Prośbę: „nie wódź nas na pokuszenie" zastąpiono tłumaczeniem: „nie opuszczaj nas w pokusach". Zmianę zalecał Franciszek, który tłumaczył: „To człowiek upada, a nie Bóg wrzuca nas w pokusy, aby potem zobaczyć, jak upadliśmy. Dobry ojciec tak nie robi, pomaga natychmiast się podnieść. Tym, który wodzi nas na pokuszenie, jest szatan, to jego robota. A sens tej prośby jest taki: kiedy szatan wodzi mnie na pokuszenie, proszę Cię, Ojcze, podaj mi rękę".

PRZEPRASZAM

„Wybaczcie za to, co nasz Kościół uczynił anabaptystom w czasach kontrreformacji" – napisał w liście do Wolnych Kościołów w Austrii (zrzesza mennonitów, baptystów i różne nurty pentekostalizmu) arcybiskup Wiednia kard. Christoph Schönborn. Adresaci przyjęli przeprosiny, przyznali, że sami traktowali inne tradycje z arogancją, i również poprosili o przebaczenie.

NBP

DZIĘKUJĘ

Monetę w kształcie kuli, wykonaną z siedmiu uncji czystego złota, nasyconą patriotycznymi symbolami i napisami, o nominale 2018 zł, złożyła na Jasnej Górze przedstawicielka NBP jako dar Banku na 100-lecie niepodległości. Pamiątkowych monet wybito sto, cena katalogowa wynosiła ok. 112 tys. zł. To nie tylko „materialna rzecz o ogromnej wartości, ale przede wszystkim dar serca polskiego narodu, widoczny w tej szczególnej formie" – dziękował generał paulinów o. Arnold Chrapkowski, składając wotum w jasnogórskim skarbcu.

„Przedawnione, dzięki Bogu"

SZYMON ŁUCYK

Kard. Philippe Barbarin, arcybiskup Lyonu (na zdjęciu), został 30 stycznia uniewinniony przez sąd apelacyjny od zarzutu ukrywania pedofilii swojego podwładnego. Mimo korzystnego dla siebie wyroku purpurat ogłosił, że poda się do dymisji.

Proces lyońskiego kardynała ma precedensowy charakter, bo po raz pierwszy we Francji zarzut krycia pedofilii postawiono tak wysokiemu dostojnikowi Kościoła. Na kanwie sprawy powstał także głośny film fabularny „Dzięki Bogu" François Ozona.

JEAN-PHILIPPE KSIAZEK / AFP / EAST NEWS

W pierwszej instancji w marcu ubiegłego roku zapadł wyrok skazujący Barbarina na pół roku więzienia w zawieszeniu. Sąd zarzucił mu, że nie powiadomił prokuratury, iż podległy mu ksiądz Bernard Preynat, duszpasterz skautów, w latach 1971-91 wykorzystywał seksualnie dziesiątki swoich nieletnich podopiecznych. Przypadki te ujawniono po wielu latach dzięki wysiłkom ofiar Preynata. Ten ostatni przyznał się do pedofilskich skłonności i poprosił poszkodowanych o przebaczenie. Grozi mu co najmniej osiem lat bezwzględnego więzienia (proces Preynata trwa).

Dlaczego jednak sąd w apelacji uchylił wyrok niższej instancji w sprawie kardynała? Przede wszystkim ze względu na przedawnienie się zarzutu „niepowiadomienia władz o agresji seksualnej". Barbarin nie może, według sądu, odpowiadać dziś za krycie Preynata, bo zbyt późno postawiono mu zarzuty. Jednocześnie sąd wskazał, że Barbarin wiedział o przestępczych czynach Preynata co najmniej od 2010 r. i nie reagował. Przez kolejne pięć lat nie odsunął też pedofila od kontaktu z dziećmi.

Pozostaje odpowiedzialność moralna – stąd też decyzja kardynała o dymisji (powtórna już, bo za pierwszym razem odrzucił ją papież Franciszek). „Większość faktów uległa, dzięki Bogu, przedawnieniu" – mówił Barbarin cztery lata temu, niedługo po wybuchu afery Preynata.

Prawne paragrafy nie kończą sprawy. Nie wymazują zaniechań tych wszystkich – nie tylko Barbarina, ale innych świadomych sytuacji księży – którzy tak długo zezwalali na bezkarność przestępcy w sutannie. ©

KULTURA W SKRÓCIE

ŚLĄSKIE
Zarząd województwa śląskiego zdecydował o odwołaniu dyrektorki Muzeum Śląskiego Alicji Knast i powołaniu na to stanowisko Marcina Gwoździewicza, dotychczasowego dyrektora Departamentu Kultury Urzędu Marszałkowskiego. Oficjalną przyczyną odwołania Knast są negatywne wyniki audytu przeprowadzonego w muzeum. Marszałek miał się także podpierać decyzją ministra kultury Piotra Glińskiego, który stwierdził jednak, że powodów do odwołania Knast nie ma.

STOŁECZNE
Tymczasem jedna z najchętniej odwiedzanych polskich instytucji kultury, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, wciąż czeka na dyrektora. Mija rok od ogłoszenia konkursu na kandydata na to stanowisko, który dziesięć miesięcy temu wygrał Dariusz Stola. W audycji radia Tok FM Stola mówił o kilku milionach złotych straty, które w tym czasie zanotowało muzeum ze względu na wycofujących się partnerów, oraz zniechęconych pracownikach, którzy odchodzą z POLIN.

DIECEZJALNE
Nowego dyrektora ma Muzeum Narodowe w Krakowie. Andrzej Szczerski ogłosił plany na 2020 rok, a wśród nich wystawę doskonale wszystkim znanych fotografii papieskich Adama Bujaka. Bujak ma na swoim koncie ponad 50 albumów, większość z nich wydał Biały Kruk, oficyna, z którą związany jest także Krzysztof Szczerski, brat dyrektora.

TRÓJMIEJSKIE
Powstała Gdańska Szkoła Szyldu. Związani z nią artyści będą pomagać przedsiębiorcom w ujednoliceniu przestrzeni miejskiej. Z początkiem kwietnia, zgodnie z zasadami uchwały krajobrazowej, mija okres przejściowy na dostosowanie szyldów reklamowych znajdujących się na terenie miasta.

MOTTY / WIKIPEDIA.ORG

JAN STYKA (1858–1925), malarz umiarkowanego talentu („Ty mnie nie maluj na klęczkach, ty mnie maluj dobrze" – miała do niego powiedzieć Matka Boska), za to wielkiego rozmachu, cieszył się miłością odbiorców i niechęcią krytyki. Religijność („Golgota" – największy obraz świata!) i patriotyzm („Polonia") plus erotyka były receptą na sukces. No i panoramy, na czele z Racławicką (Grunwaldzkiej, wewnątrz Barbakanu, uniknęliśmy). Teraz odnalazła się wojenna zguba, „Neron w Baiae" inspirowany przez „Quo vadis". Radowałem się bardziej, kiedy odzyskaliśmy arcydzieła braci Gierymskich. A Neron? Jaki jest, każdy widzi, i dotyczy to też dymiącego Wezuwiusza. Zgubę odzyskaliśmy jednak w dobrym momencie dziejowym. „Najwyższy czas, żeby dokonania Styki nabrały ponownie blasku" – to słowa Jerzego Miziołka, który tak się zasłużył w warszawskim Muzeum Narodowym... ©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

Wolność badacza, niewola małp

NIKOS LOGOTHETIS, jeden z najważniejszych neurobiologów (jego prace cytowano ponad 50 tys. razy) i wieloletni dyrektor Instytutu Cybernetyki Biologicznej im. Maxa Plancka w Tybindze, przeniesie się do Chin i wznowi eksperymenty na mózgach małp. Zaprzestał ich w 2015 r., po tym jak niemiecka telewizja pokazała nagrany w jego laboratorium dokument o trzymanych w złych warunkach makakach. Film wywołał protesty ekologów, przeprowadzono także śledztwo, ale nie zakończyło się ono postawieniem poważnych zarzutów.

W Szanghaju powstaje olbrzymie laboratorium neurobiologiczne, z miejscem dla aż 6000 małp. Część zwierząt pochodzić ma z transgenicznych hodowli. Logothetis będzie współkierować ośrodkiem. Jak podaje „Science", pochodzący z Grecji badacz rozważał pozostanie w Niemczech i kontynuację badań na gryzoniach, ale ostatecznie zgodził się na przeprowadzkę ze względu na brak wsparcia ze strony władz instytutu w związku z aferą oraz wrogie nastawienie niemieckiego społeczeństwa (otrzymywał listy z pogróżkami). Budowa laboratorium w Szanghaju ma zakończyć się w ciągu dwóch lat. ©℗ ŁK

NSO / NSF / AURA (CC BY 4.0)

SŁOŃCE W HD. Oto najdokładniejszy jak dotąd obraz „gotującej się" powierzchni Słońca. Większość z widocznych na nim jasnych obszarów gorącej plazmy ma powierzchnię większą niż Polska, lecz detale są raptem wielkości kilkudziesięciu kilometrów. Zdjęcie wykonano w ramach testów teleskopu słonecznego DKIST, umieszczonego na szczycie hawajskiego wulkanu Haleakalā. Obserwacje, które pełną parą ruszą w lipcu, mają pomóc lepiej zrozumieć zachowanie naszej Dziennej Gwiazdy, a także skuteczniej przewidywać kosmiczną pogodę – w tym zagrażające satelitom i sieciom energetycznym burze geomagnetyczne wywoływane rozbłyskami. © TM

TEMAT TYGODNIKA

EPIDEMII BĘDZIE WIĘCEJ

Naukowcy mają nadzieję, że wirus z Wuhan nie wywoła pandemii na skalę grypy, która przed stu laty zabiła kilkadziesiąt milionów osób. Ale podobne kryzysy będą się powtarzać coraz częściej.

MAREK RABIJ

KEVIN FRAYER / GETTY IMAGES

Kamery na sąsiednich budynkach w czasie rzeczywistym pokazują postępy prac na budowie dwóch szpitali, które w zaledwie 10 dni chińskie władze zamierzają postawić w Wuhan. Codziennie przeszło 40 mln internautów obserwuje ten pokaz siły państwa, które przenosi – dosłownie – góry, by zrobić miejsce kolejnym miastom-fabrykom, bez trudu może więc także usypać teraz nową. Oddany już do użytku szpital nazwano Huosheshan, co można przetłumaczyć właśnie jako „góra ognistego boga" – zapewne dla podkreślenia skuteczności kwarantanny, jaką Pekin zaordynował Wuhan i kilku innym miastom zamieszkiwanym łącznie przez blisko 60 mln osób, gdzie wykryto koronawirusa 2019-nCoV.

Niemal 15 tysięcy chorych i ponad trzystu zmarłych – epidemiolodzy uspokajają, że pod względem tempa rozprzestrzeniania ani tym bardziej śmiertelności nowy patogen nie wydaje się groźniejszy choćby od wirusa SARS. Światowa Organizacja Zdrowia również nie widzi podstaw do ogłaszania stanu pandemii i ogranicza się do ostrzeżenia, że dopiero rozwleczenie 2019-nCoV po krajach o gorszych od Chin standardach opieki medycznej może doprowadzić do stanu zagrożenia zdrowia o zasięgu międzynarodowym.

Ale jeśli to prawda, to jaki sens mają bezprecedensowe środki ostrożności, na jakie zdecydował się Pekin? Czy British Airways i Lufthansa, które właśnie wstrzymały wszystkie loty rejsowe do Chin, sprytnie ograniczają straty, na jakie naraziłoby je utrzymanie tych połączeń w sytuacji, gdy liczba chętnych na podróż w tym kierunku gwałtownie topnieje? A może wiedzą coś więcej? W końcu Rosja także do odwołania zamknęła granicę lądową z Państwem Środka. Tylko dlaczego inni przewoźnicy wciąż do Chin latają?

„Szczur przyniósł zarazę"

Wuhański kryzys oglądany z kamer skierowanych na plac budowy tamtejszych szpitali może się wydać wzorowym przykładem skutecznej walki z epidemią. W europejskich i amerykańskich mediach można już znaleźć analizy, z których przebija wręcz ulga, że epidemia zaczęła się właśnie w Chinach – państwie o gigantycznych rezerwach finansowych i nowoczesnym zapleczu technologiczno-badawczym, a jednocześnie rządzonym autorytarnie i zamieszkiwanym przez społeczeństwo wychowane w duchu podporządkowania jednostki dla dobra ogółu. Ponad 8 mln mieszkańców Wuhan przyjmuje wszak przymusową izolację bez cienia protestów. Do

Pekin, 26 stycznia 2020 r.

walki z wirusem państwo rzuca środki, jakich w wojnie epidemiologicznej świat dotąd nie widział, i identyfikuje jego kod genetyczny już kilka dni po wykryciu. Jednocześnie wszystko odbywa się wciąż bez drakońskich ograniczeń praw obywatelskich i w duchu międzynarodowej współpracy.

Obrazy z kamer rządowej agencji Xinhua, która 24 godziny na dobę pokazuje światu plac budowy w Wuhan oraz pełne troski deklaracje przedstawicieli najwyższych władz, w rzeczywistości służą jednak zamaskowaniu faktu, że w pierwszej fazie tego kryzysu chińskie państwo wykazało się inercją typową dla większości dyktatur. O pojawieniu się nowego wirusa lekarze w Wuhan powiadomili przełożonych już w grudniu, ostrzeżenia jednak zignorowano, a informacje objęto embargiem. Pekin sięgnął w tym celu po uchwaloną dwa lata temu ustawę o niewinnej z pozoru nazwie „przepisy dotyczące administracji internetowych serwisów informacyjnych", która obliguje podmioty zajmujące się działalnością informacyjną do podawania wiadomości publikowanych przez oficjalne rządowe źródła – i to bez reinterpretacji. O tym, co nią jest, a co nie, decyduje oczywiście ↦

partia, dlatego media wolą nie ryzykować polemiki z informacjami Xinhua i rządowych kanałów telewizyjnych. Na mocy tej samej ustawy ośmiu lekarzy-sygnalistów z Wuhan zatrzymano pod zarzutem rozsiewania fałszywych plotek o zagrożeniu epidemiologicznym. Dziś trudno odpowiedzieć na pytanie, czy za tą reakcją stał po prostu oportunizm lokalnych urzędników obawiających się roli herolda złych wiadomości, czy raczej cyniczna kalkulacja Pekinu, który liczył na to, że zagrożenie uda się cichaczem zażegnać lub przynajmniej ukryć do 25 stycznia, kiedy cały kraj miał obchodzić początek chińskiego nowego roku księżycowego. Roku Szczura.

W połowie stycznia partia musiała już przyznać się do błędu. „Szczur przyniósł zarazę" – ta fraza, inteligentne nawiązanie do patrona nowego roku i średniowiecznej epidemii dżumy, błyskawicznie zrobiła karierę w chińskim internecie. Istotnie, kilkanaście dni zwłoki dało wirusowi czas na rozprzestrzenienie się po całym kraju w związku z gorączką noworocznych wyjazdów. Kolejne kroki władz mogły już tylko minimalizować szkody. W aż 14 z 22 prowincji odwołano wszystkie publiczne wydarzenia, ograniczono mieszkańcom swobodę przemieszczania, a pracownikom fabryk, urzędnikom i uczniom zaordynowano przedłużoną przerwę noworoczną. Okręgi autonomiczne Hongkong i Makau praktycznie zamroziły ruch ludności z resztą kraju.

Władze centralne bez wątpienia chciały urządzić obywatelom pokaz siły i przy okazji przekonać inne państwa, że nie popełniły z premedytacją tego samego grzechu zaniechania, z którego musiały się tłumaczyć po epidemii SARS. Znamienne jednak, że odbywa się to przy akompaniamencie dobrze znanego mieszkańcom byłego bloku wschodniego zrzucania odpowiedzialności na urzędników niższego szczebla. Pekin zapowiada rewizję wyroków wuhańskich lekarzy, zarządził też audyt innych decyzji podjętych na szczeblu prowincji Hubei. Burmistrz Wuhan Zhou Xianwang i szef lokalnych struktur partyjnych Ma Guoqiang złożyli tradycyjną samokrytykę na antenie telewizji publicznej CCTV, przyznając, że informacje o zagrożeniu nie zostały przekazane obywatelom dostatecznie szybko. Dlatego obaj gotowi są złożyć dymisję, by „uspokoić uzasadnione oburzenie".

To musi wyglądać na błąd ludzi, nie systemu.

> Kiedy epidemiolodzy modelują scenariusze rozwoju pandemii, ekonomiści liczą koszty ewentualnego zatrzymania lub zwolnienia maszyny światowego handlu, dla którego Chiny to faktycznie Państwo Środka. **O ile poleci cena ropy, dolara i euro?**

Zamożność za posłuszeństwo

Kryzys z Wuhan uderza bowiem także w fundamenty umowy społecznej, którą partia zawarła – a raczej wymusiła – po 1989 r. na społeczeństwie. W zamian za bezwzględne posłuszeństwo i rezygnację z aspiracji politycznych obywatele nowych postkomunistycznych Chin mogą oczekiwać od państwa poczucia bezpieczeństwa, dobrobytu i stabilizacji. W tej nowej koncepcji państwo nie jest już silne przeciwko obywatelom, jak za czasów Mao. Przeciwnie: cała jego moc ma służyć podporządkowanym mu jednostkom – a raczej społeczeństwu, bo od czasów Konfucjusza jednostka w Chinach oznacza nie tyle pojedynczą osobę, ile pojedynczego człowieka pozostającego w polu działania rozmaitych społecznych sił: rodu, lokalnej społeczności, grupy etnicznej i wreszcie władzy centralnej.

Zatuszowanie informacji o rozwoju epidemii w Wuhan falsyfikuje jednak tę teorię właściwie na każdej z płaszczyzn. Dostarcza też dowodów na to, co nawet najbardziej prawowici obywatele podejrzewają od dawna: że we współczesnych Chinach klasę nowych mandarynów tworzą elity partyjne i zblatowani z nimi oligarchowie biznesu, a partia widzi w tym problem tylko w wymiarze propagandowym. Plotki o ewakuacji z Wuhan rodzin partyjnych bonzów i właścicieli tutejszych firm tuż przed ogłoszeniem kwarantanny pomimo wysiłków cenzorów nadal krążą po chińskim internecie (sporo młodych Chińczyków sprawnie omija rządowe zabezpieczenia i mechanizmy cenzurujące).

Epidemia koronawirusa 2019-nCoV poza zagrożeniem dla zdrowia i życia niesie więc ze sobą także ryzyka polityczne. Dla nielicznej, ale wpływowej części chińskiego społeczeństwa, tej, która z racji pełnionych obowiązków lub dzięki statusowi majątkowemu utrzymuje stałe kontakty ze światem zachodniej demokracji, wydarzenia w Wuhan mogą stać się argumentem za ostatecznym porzuceniem i tak dawno nadwątlonej wiary, że demokracja i wolny rynek po chińsku to optymalne modele ustrojowe i gospodarcze. Jak zgrabnie ujął to jeden z chińskich internautów: „fajnie jest czuć dumę z kraju, który jest w stanie zbudować dwa szpitale w jeden tydzień, ale jeszcze fajniej żyć w kraju, w którym szpitali nie trzeba budować w ciągu tygodnia".

Legitymacja partii oparta wyłącznie na cudzie gospodarczym może nie wystarczyć na długo. Od 1979 r. Pekinowi faktycznie udało się wydobyć poza próg skrajnego ubóstwa aż 700 mln mieszkańców – czyli niemal 50 proc. populacji. Efektem ubocznym pośpiesznej industrializacji i urbanizacji jest jednak gigantyczne zanieczyszczenie środowiska. Do miast przemysłowego pasa wschodniego ściągnęły za chlebem setki milionów mieszkańców ubogich prowincji centralnych i zachodnich. Na miejscu nie zapewniono im nawet minimów bytowych, koszarując w hotelach robotniczych w nierzadko kilkunastoosobowych pokojach. Shenzen, pierwsza specjalna strefa przemysłowa w Chinach, w latach 70. była osadą rybacką liczącą 30 tys. mieszkańców. Obecnie mieszka tu ponad 10 mln ludzi. Szanghaj z 10-milionowej metropolii zmienił się w ponad 24-milionowego molocha. Położone pośrodku pasa przemysłowego Wuhan w latach 1979–2018 zwiększyło liczbę mieszkańców z 2,46 do 8,3 mln osób. Za 15 lat, jeśli trendy demograficzne nie ulegną odwróceniu, będzie tam mieszkać już ponad 10 mln

RDC POLSKIE RADIO

MAREK RABIJ będzie gościem Grzegorza Chlasty w środę 5 lutego o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

osób. W tych warunkach coraz łatwiej będzie o mutacje jak ta, którą przeszedł 2019-nCoV. I to na całym świecie.

Wirus w wielkim mieście

W 2018 r., jak wynika z danych ONZ, 33 miasta miały powyżej 10 mln mieszkańców. Do 2030 r. przybędzie ich aż 10. Przyczyni się do tego nie tylko rosnąca populacja globu, ale także postępująca koncentracja ludności w ośrodkach miejskich. Jeszcze w 1950 r. na całym świecie w miastach żyło tylko 751 mln ludzi. W 2018 r. ich liczba wzrosła do 4,2 mld (co stanowiło już 55 proc. światowej populacji) – a do 2030 r. przekroczy 5,2 mld.

W samej Azji awans do rangi megamiast (od 10 mln mieszkańców) spotka tylko Bagdad i indyjski Chennai, ale te, które już dziś mają ten status, będą wciąż rosnąć w niezdrowym tempie. Pakistańskie Karaczi do 2030 r. powiększy liczbę mieszkańców o 28 proc. do ponad 31 mln, co da mu wówczas drugie – po afrykańskim Lagos – miejsce na liście największych ośrodków miejskich globu. Dhace, stolicy Bangladeszu liczącej aktualnie ok. 16 mln mieszkańców, przybędzie 20 proc. Chińskiemu Tianjin – 21 proc., co oznacza skok w okolice 16 mln mieszkańców. Z zachodnich metropolii próg 10 mln przekroczy jedynie Chicago.

W większości miast rozwój ten będzie się nadal odbywać chaotycznie, a ludności napływowej, przywykłej do wiejskich warunków, trudno będzie porzucać stare nawyki, np. wylewania nieczystości wprost do rzeki.

Jak pisze David Heymann, profesor London School of Hygiene and Tropical Medicine, warunki sanitarne w przeludnionych, biednych dzielnicach azjatyckich czy afrykańskich metropolii przerastają zdolności adaptacyjne większości Europejczyków i Amerykanów, a sytuację epidemiologiczną często zaostrza ciepły i wilgotny klimat. Obywatele Paryża, Nowego Jorku i innych wymuskanych metropolii świata zachodniego mają też skłonność do przeceniania bezpieczeństwa, jakie zapewnia dobrze rozwinięta infrastruktura sanitarna i medyczna w miejscu zamieszkania. „W rzeczywistości – pisze Heymann – nie ma to większego znaczenia w sytuacji, gdy każdą luksusową dzielnicę w USA i w Europie od azjatyckich slumsów i targowisk czy południowoamerykańskich faweli dzieli kilkanaście godzin lotu”.

Zaledwie 14 godzin, z krótką przesiadką w Dubaju, potrzeba, by z centrum Warszawy przenieść się np. do slumsów Tejgaon w pobliżu głównego dworca kolejowego Dhaki. Jeśli wierzyć niepewnym statystykom, które muszą uwzględniać fakt, że do stolicy Bangladeszu co roku przenosi się ok. 430 tys. mieszkańców z biedniejszych terenów wiejskich, w ciągnących się wzdłuż torów kolejowych slumsach Tejgaon gęstość zaludnienia sięga sześciu tysięcy osób na kilometr kwadratowy. Prowizoryczne chaty, zbudowane z desek i plastikowych odpadków, a czasem nawet z czegoś w rodzaju cegieł skleconych ze śmieci wepchanych do drucianych koszyków, stoją dosłownie przy torach, którymi co kilka minut mkną pociągi. Kanalizacji rzecz jasna brak, a do kilku studni ustawiają się długie kolejki. Między torami grasują spasione szczury, a obok bawią się dzieci, miejscami grzęznąc po kostki w śmieciach i gnijących odpadach organicznych.

Napotkani w Tejgaon pracownicy Czerwonego Półksiężyca, którzy zaglądają tu niechętnie (bo lokalne gangi uzależniają mieszkańców od taniej metamfetaminy przemycanej z Tajlandii), recytują długą listę chorób, które nękają nędzarzy skazanych z braku pieniędzy na osiedlenie się na wąskim pasie urbanistycznie bezużytecznej ziemi wzdłuż torów: cholera, gruźlica, AIDS plus cała paleta znanych medycynie schorzeń układu pokarmowego. Śmiertelność wśród noworodków, jak wyjaśniał mi w 2014 r. jeden z lekarzy pracujących dla Czerwonego Półksiężyca, sięga 70 dzieci na każde tysiąc urodzeń.

Jaki wpływ gęstość zaludnienia ma na sytuację epidemiologiczną? Dr Mercedes Pascual, biolożka z Uniwersytetu Chicagowskiego specjalizująca się w tworzeniu modeli rozwoju epidemii, w 2016 r. opublikowała w piśmie „Proceedings of the National Academy of Science of the United States of America” wyniki badań, które przeprowadziła w stolicy Bangladeszu, pierwotnie z zamiarem zbadania związku pomiędzy porą roku a zachorowalnością dzieci na biegunki wywoływane przez rotawirusy. W trakcie analizy danych z lat 1990–2012 zauważyła jednak, że w rzadziej zaludnionych peryferyjnych dzielnicach Dhaki w sezonie deszczowym wzrost liczby zachorowań był w zasadzie niezauważalny. Znaczący skok występowania schorzeń wywoływanych rotawirusami notowano natomiast w centralnych dzielnicach stolicy, gdzie warunki sanitarne były lepsze niż na obrzeżach, ale na każdy kilometr kwadratowy przypadało cztery razy więcej mieszkańców. ↦

Kto pierwszy poinformował o wirusie

6 STYCZNIA komunikat o koronawirusie z Wuhan wydało amerykańskie Centrum Kontroli i Profilaktyki Zakażeń, 9 stycznia o szerzącej się chorobie poinformowała także Światowa Organizacja Zdrowia. Obie instytucje wyprzedziła jednak BlueDot, nieduża firma z Toronto, która komunikat z sugestią unikania Wuhanu wysłała swoim klientom już 31 grudnia.
BlueDot założył lekarz epidemiolog Kamran Khan ze Szpitala św. Michała w Toronto, wykładowca medycyny na tamtejszym uniwersytecie. Podczas wybuchu epidemii SARS w 2003 r. (w Toronto zmarły z jej powodu 44 osoby) uznał, że lekarze zbyt mało wiedzą o tym, skąd mogą nadejść zagrożenia epidemiologiczne. Założył więc firmę, której algorytm szuka w internecie danych (co ciekawe: z zasady omija media społecznościowe) pozwalających przewidzieć, gdzie rośnie zagrożenie powstania epidemii. Algorytm jest m.in. karmiony informacjami o sprzedaży biletów lotniczych na całym świecie, co pozwala także analizować drogi rozprzestrzeniania się wirusa. Informacje o prawdopodobieństwach, które podaje algorytm, są oceniane przez epidemiologów, a później rozsyłane klientom BlueDot – instytucjom zdrowia publicznego, liniom lotniczym i szpitalom na całym świecie.
Wcześniej algorytm poprawnie przewidział miejsca, w których pojawi się na Florydzie wirus zika i jak będzie się rozprzestrzeniał wirus ebola w zachodniej Afryce – oba przypadki Khan opisał w prestiżowym czasopiśmie naukowym „The Lancet”.

©℗ PATRYK STANIK

Kto za to zapłaci?

Najprostszym środkiem do zażegnania pełzającej pandemii jest oczywiście ograniczenie swobody podróżowania. Na skalę miasta, prowincji czy nawet kraju jest to dość proste w realizacji, zwłaszcza dla władzy niepoddającej się cyklicznym testom wyborczym. Na poziomie międzynarodowym rzecz komplikuje się o wiele bardziej, zwłaszcza gdy pojawi się pytanie, kto i ile miałby za to zapłacić.

W wielu krajach, zwłaszcza rozwijających się, turystyka stanowi na tyle ważną gałąź gospodarki, by funkcjonować na uprzywilejowanych warunkach. Hongkong i Tajlandia zawdzięczają jej obecnie 11,5 proc. produktu krajowego brutto. Kambodża – blisko 18 proc. W Tajlandii armii zdarza się nawet brutalnie gasić protesty autochtonów przeciwko budowie kolejnych resortów wypoczynkowych. Decyzja o ewentualnym ograniczeniu swobody przemieszczania spotka się tam więc z ostrym sprzeciwem lobby turystycznego, dla którego kwarantanna oznacza milionowe straty. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi zamrożenie ruchu turystycznego z Państwa Środka. W Korei Południowej, jak podaje agencja ratingowa Fitch, na każdych stu turystów aż 37 pochodzi z Chin. W Kambodży – 33 proc., a w Tajlandii – blisko 28 proc. Poza Sri Lanką, gdzie Chińczycy to niespełna 8 proc. gości, właściwie we wszystkich krajach Azji Południowo-Wschodniej turystyka, jako kluczowa branża tamtejszych gospodarek, żyje przede wszystkim z klientów z Chin. To, że pierwszą śmiertelną ofiarę 2019-nCoV poza Chinami odnotowano na Filipinach, nie jest więc pewnie dziełem przypadku; aż 18 proc. turystów odwiedzających ten kraj przylatuje właśnie z Państwa Środka.

> Burmistrz Wuhan i szef lokalnych struktur partyjnych złożyli tradycyjną samokrytykę w publicznej telewizji. **To musi wyglądać na błąd ludzi, nie systemu.**

Szkopuł w tym, że dylematy branży turystycznej można powielić na właściwie każdy sektor gospodarki. Kiedy w 2003 r. świat po raz pierwszy usłyszał o wirusie SARS, Chiny eksportowały rocznie towary za 438 mld dolarów. W 2018 r. Państwo Środka sprzedało do innych krajów produkty już za 2,5 biliona dolarów – czyli za niewiele mniej od rocznego produktu krajowego brutto całych Niemiec. Znaczenie tamtejszej gospodarki, drugiej największej po USA, jest nieporównywalnie większe niż przed 17 laty: chińskie PKB urosło z 1,6 do 13,6 biliona dolarów rocznie.

Kiedy więc epidemiolodzy modelują możliwe scenariusze rozwoju nowej pandemii, w zaciszach gabinetów największych banków i korporacji trwa gorączkowe przeliczanie kosztów ewentualnego zatrzymania lub poważnego zwolnienia maszyny światowego handlu, dla którego Chiny stanowią dziś faktycznie Państwo Środka. O ile poleci cena ropy? Co się stanie z dolarem i euro? O ile podrożeje żywność? No i co z giełdami? Według wstępnych obliczeń Banku Światowego rozlanie się chińskiej epidemii (w obecnym stadium zaostrzenia) na cały świat może kosztować ok. 2,5 proc. globalnego PKB. Lekko licząc – około trzech bilionów dolarów.

W gruncie rzeczy byłaby to jednak stosunkowo niska cena. Jak mówi prof. Włodzimierz Gut, wirusolog z Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego, niewielka jak dotąd śmiertelność wśród zakażonych 2019-nCoV przemawia za tym, że wirus już od pewnego czasu krążył w tamtejszej populacji. Gut podkreśla jednak, że w tej chwili siłę rażenia patogenu można szacować wyłącznie na podstawie danych o zachorowaniach w Chinach, które są jego naturalnym środowiskiem. Niestety, nie ma pewności, że poza Azją dynamika zachorowań i śmiertelność utrzymają się na dotychczasowym poziomie. ©℗ MAREK RABIJ

Konsultacja językowa: Gillian Wang, Tajwan.

Czytaj także: „Martwi altruiści” – tekst Mariusza Gogóla o wirusach w dziale Nauka.

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia**: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Anna Dziurdzikowska, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Wobec zagrożenia

KRZYSZTOF KORZENIEWSKI, EPIDEMIOLOG:

Obecna epidemia powinna nam uzmysłowić, że brak działań prewencyjnych może prowadzić do katastrofy. Polacy nie należą do liderów profilaktyki zdrowotnej.

JERZY DZIEKOŃSKI: Realne zagrożenie czy medialna histeria?

PROF. KRZYSZTOF KORZENIEWSKI: Koronawirusy są znane od lat 60. zeszłego wieku – wtedy pierwszy raz zidentyfikowano je u ludzi. Występują również u innych ssaków i ptaków. Najbardziej spektakularne masowe zakażenia u ludzi obserwowano dotąd na przełomie 2002 i 2003 r. w południowych Chinach (prowincja Guangdong), kiedy u ponad 8 tysięcy ludzi wykryto wirusa SARS, a także w 2015 r. w Arabii Saudyjskiej, gdzie doszło do masowych zachorowań wywołanych wirusem MERS (ponad 2,4 tysiąca przypadków).

Wykryty kilka tygodni temu nowy koronawirus (2019-nCoV) jest znacznie mniej zabójczy od SARS i MERS, w przypadku których śmiertelność wynosiła odpowiednio 10 i 37 proc. W zakażeniach 2019-nCoV śmiertelność do chwili obecnej nie przekracza 3 proc. Co nie zmienia faktu, że medialne doniesienia należy traktować poważnie.

Czy możemy stworzyć symulacje rozwoju sytuacji i ocenić zagrożenie rozprzestrzenienia się koronawirusa w Europie?

Do wybuchu epidemii doszło w najludniejszym państwie świata (1,4 mld mieszkańców), które przeżywa *boom* ekonomiczny. W zagraniczne podróże ruszają dziesiątki milionów Chińczyków.

Chiny w ostatnich latach wydają na turystykę ponad 200 mld dolarów rocznie – to sumy nieosiągalne dla innych krajów. Policzenie tych, którzy na chiński Nowy Rok (25 stycznia) porozjeżdżali się po świecie, jest więc mało realne. Najważniejsze jest w tym momencie sprawne działanie służb sanitarnych poszczególnych państw, zarówno w portach lotniczych i morskich, jak i na granicach lądowych.

Wuhan ma ponad 8 milionów mieszkańców, a jest dopiero dziesiątym co do wielkości miastem Chin. Czy warunki panujące w miastach, gdzie zagęszczenie ludności liczy się w tysiącach, a nawet dziesiątkach tysięcy na kilometr kwadratowy, sprzyjają rozwojowi epidemii? Może miasta europejskie, gdzie gęstość zaludnienia jest wielokrotnie niższa, są pod tym względem bezpieczniejsze?

Oczywiście gęstość zaludnienia ma znaczenie, ale kluczem do rozwoju epidemii jest przede wszystkim brak reżimu sanitarnego i bezwzględnego przestrzegania procedur (izolacja zakażonych, kwarantanna osób, które się z nimi kontaktowały).

Chińczycy wykonują obecnie gigantyczną pracę: kwarantanną objęli nie tylko cały Wuhan, ale również część prowincji Hubei, w której mieszka ponad 50 mln ludzi. Ta bezprecedensowa osłona sanitarna jest najważniejsza. Nie jestem przekonany, czy w innych państwach azjatyckich (może z wyjątkiem Japonii i Korei Południowej) byłoby możliwe prowadzenie tak spektakularnych działań.

Czy w kontekście chińskiego koronawirusa warto przypominać o chorobach obecnych w Europie od dawna, np. odrze czy grypie?

Obecna epidemia powinna nam uzmysłowić, że brak działań prewencyjnych może doprowadzić do katastrofy. Polacy, co mówię ze smutkiem, nie należą do liderów profilaktyki zdrowotnej. Wystarczy spojrzeć na ruchy antyszczepionkowe i gwałtowny wzrost zachorowań na odrę, ściśle związany ze spadkiem liczby szczepień.

A najbardziej znamiennym przykładem jest podejście do szczepienia przeciw grypie. W kraju, gdzie co roku raportuje się kilka milionów zachorowań i podejrzeń o zakażenie wirusem grypy (4,7 mln przypadków w 2019 r.), szczepi się mniej niż 4 proc. populacji!

Ministerstwo Zdrowia przypomina, że mamy sezon wzmożonej zachorowalności na grypę i apeluje o wstrzemięźliwość w wydawaniu sądów odnośnie do możliwego zakażenia koronawirusem. W przypadku wystąpienia objawów grypy zalecana jest wizyta u lekarza rodzinnego, jednak w przypadku gorączki i duszności powiązanych z wizytą w Chinach należy zgłosić się na szpitalny oddział zakaźny. Jak Pan to ocenia?

Pytanie o wizytę w Chinach w ostatnich dwóch tygodniach jest istotne przy zbieraniu wywiadu lekarskiego, ponieważ okres wylęgania choroby trwa poniżej 14 dni.

Apel o zgłaszanie się osób, które wróciły z Chin z objawami chorobowymi, uważam więc za uzasadniony. Nie chodzi przecież tylko o samego chorego, ale również o eliminację ryzyka przeniesienia zakażenia.

Czy personel szpitalnego oddziału ratunkowego albo nocnej pomocy lekarskiej jest przygotowany do zaopiekowania się pacjentem? Czy dorobiliśmy się procedur, które pozwalają na uniknięcie rozprzestrzenienia się koronawirusa w Polsce?

Nie mogę z całą pewnością stwierdzić, że we wszystkich szpitalnych oddziałach ratunkowych i miejscach nocnej pomocy lekarskiej są zachowane procedury izolacji pacjenta stanowiącego potencjalne zagrożenie dla otoczenia, ale nie mam też powodów, aby w to nie wierzyć. Dla oddziałów zakaźnych przypadki zakażenia koronawirusami 2019-nCoV – przypomnę: o zjadliwości kilkakrotnie mniejszej niż SARS i wielokrotnie mniejszej niż MERS – nie powinny stanowić szczególnego wyzwania.

© Rozmawiał JERZY DZIEKOŃSKI

PŁK PROF. KRZYSZTOF KORZENIEWSKI
jest kierownikiem Zakładu Epidemiologii i Medycyny Tropikalnej Wojskowego Instytutu Medycznego.

Premiera –

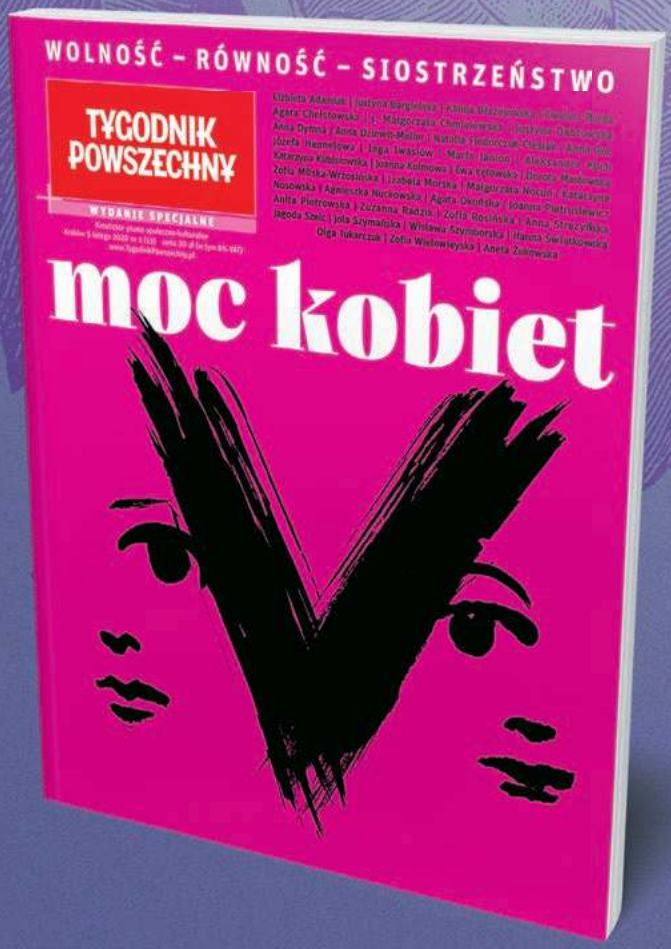

Kobieta ogląda świat z perspektywy żaby, stąd dużo więcej można zobaczyć.

OLGA TOKARCZUK

Cudowne było uświadomienie sobie, że nie zdobędę stuprocentowej akceptacji otoczenia. Szkoda, że tak późno to zrozumiałam.

KATARZYNA NOSOWSKA

Wydanie specjalne – już od środy 5 lutego w sklepach z dobrą prasą i na powszech.net/mockobiet

weź, czytaj!

Chcesz zamówić poprzednie wydanie specjalne?

Napisz na adres: **zamowienia@tygodnik.com.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

W ofercie można zamówić następujące tytuły wydań specjalnych „TP": „Wszystko, co wiemy", „Moc czytania", „Polska Żydowska", „Smak wolności", „Zwierzenia zwierząt", „Halo, tu Ziemia".
***Cena pojedynczego wydania w tej ofercie – 15 zł.**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. EDYTA DUFAJ / KBF // MARCIN DŁAWICHOWSKI / FORUM // MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA GAZETA // GRAŻYNA MAKARA // GRAFIKA NA OKŁADCE: MIECZYSŁAW WASILEWSKI

— już w kioskach!

Wiedźmy są od wiedzenia. A także od tego, co streszcza się w tej pięknej sentencji, że „grzeczne dziewczynki idą do nieba, a niegrzeczne idą tam, gdzie chcą”.

JAGODA SZELC

Macierzyństwo jest boskie, w sensie najzupełniej dosłownym: hebrajskie rahamim, miłosierdzie Boga, pochodzi od rehem – macica.

JUSTYNA BARGIELSKA

Siedzisz ileś tam lat na kanapie przed telewizorem, jedząc w depresji lody z pudełka, a tu nagle wstajesz i walczysz. Odzyskujesz samostanowienie.

DOROTA MASŁOWSKA

O wolności i spełnieniu, przemocy i stereotypach. O pracy, miłości i seksie. O fizjologii, porodzie i nie zawsze łatwym macierzyństwie. O wychowaniu, wierze i religii, życiowych rolach, a także o molestowaniu czy aborcji. Bez tabu.

„Moc kobiet” to także: **Kalina Błażejowska, Ewelina Burda, s. Małgorzata Chmielewska, Justyna Dąbrowska, Anna Dymna, Anna Dziewit-Meller, Natalia Fiedorczuk-Cieślak, Anna Goc, Józefa Hennelowa, Inga Iwasiów, Maria Janion, Katarzyna Kubisiowska, Joanna Kulmowa, Ewa Łętowska, Małgorzata Nocuń, Anita Piotrowska, Zuzanna Radzik i Wisława Szymborska.**

Chcesz zamówić nadchodzące wydania?

Kup 4 wydania specjalne

„Tygodnika Powszechnego”

za

69 zł

TANIEJ* niż w kiosku i z darmową dostawą pod wskazany adres!

Wejdź na **tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate** i wybierz opcję **Wydania Specjalne (nr 2,3,4/2020 i 1/2021)**

* Cena pojedynczego wydania w sprzedaży kioskowej – 20 zł.

WYDAWCA

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNERZY

PAWEŁ

Śpiewak:
Dwie historie Stworzenia

W Torze mamy do czynienia z dwiema paralelnymi historiami Stworzenia. Pierwszą organizuje opowieść o powstaniu ziemi i niebios. Druga koncentruje się na człowieku. W pierwszej opis zaczyna się od wód, a ład wyłania się z chaosu – *tohu wawohu*. W drugiej ziemia jest sucha. Pierwsza kończy się stworzeniem człowieka, druga od tego zaczyna. W pierwszej najpierw pojawiają się zwierzęta, a człowiek ma być ich władcą. W drugiej jest sługą ziemi. W pierwszej kobieta i mężczyzna stworzeni są jako jedno – pierwszy człowiek występuje jako androgyn. W drugiej najpierw pojawia się mężczyzna, a potem kobieta. W pierwszej człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo Boga, w drugiej powstaje z kurzu ziemi i tchnienia Bożego i dopiero na końcu rozdziału, już po pierwszym grzechu, dowiadujemy się, że jest Bogu podobny. W pierwszej wszystko, co zostało stworzone, jest dobre, w drugiej nie ma o tym mowy. Powiedziane jest tylko, że nie jest dobrze, jeśli mężczyzna jest samotny.

W pierwszej Stworzyciel występuje pod imieniem Elochim, w drugiej pod imieniem JHWH. Pierwszym atrybutem Elochim jest sprawiedliwość, a JHWH – miłosierdzie. W pierwszej rośliny zostają stworzone, by były pokarmem człowieka. W drugiej człowiek musi o nie dbać, trudząc się przy pielęgnacji ogrodu. W pierwszej człowiek otrzymuje nakaz rozmnażania i panowania. W drugiej otrzymuje nakaz, by panował nad sobą, ograniczył się i nie dotykał drzewa dobrego i złego. W pierwszej nakaz mnożenia idzie przed jedzeniem. W drugiej jedzenie idzie przed seksualnością, a seksualność łączy się z bólem, wstydem i karą. W pierwszej wolność jest czymś, co nas wyróżnia przed wszelkimi stworzeniami, w drugiej wolność spotyka się z napięciami i okazuje się problematyczna.

W pierwszej dana jest nam kosmiczna wizja i w niej zostaje usytuowany człowiek, który ma w sobie coś majestatycznego i wiecznego. Wywołuje w nas podziw, zadziwienie i poczucie trwogi. Obdarzony jest mocą i zdolnością rozumienia aktu Stworzenia. W drugiej widzimy go w ziemskim bytowaniu, jako istotę cierpiącą. Zdobywamy odpowiedź na pytanie, dlaczego nędza ludzka będzie na zawsze z nami obecna. Wskazuje na znaczenie wiedzy etycznej i nakaz posłuszeństwa Boskim wyrokom. Odsłania początek historii, czasu istniejącego na miarę ludzkiego doświadczenia i ludzkiej prawdy.

Nie sposób – wbrew większości komentatorów żydowskich – zespolić tych dwóch równoległych opowieści i czytać je tak, jakby były całością. Bo nie są. Każda tworzy swoją narrację i z każdej wynikają całkiem odrębne wnioski, choć nie warto jeszcze rozstrzygać, czy są tylko inne, czy ze sobą sprzeczne. Szczególnie jeśli chodzi o pozycję kobiety w obu opowieściach. A nad tym warto się dalej zastanowić. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Pacjent leczy lekarza

Mówimy o sobie, że jesteśmy Kościołem, braćmi i siostrami w Chrystusie, że nam „dane jest poznać tajemnice królestwa Bożego". Słusznie. Jezus mówi: „Wy jesteście solą ziemi. Lecz jeśli sól straci swoją właściwość, czym się ją posoli? Nie nadaje się do niczego, chyba tylko na wyrzucenie i podeptanie przez ludzi. Wy jesteście światłem dla świata. Nie może się ukryć miasto położone na górze. Nie zapala się też lampy po to, by ją schować pod garncem, lecz stawia się ją na świeczniku, żeby świeciła wszystkim, którzy są w domu. Tak też niech świeci wasze światło dla ludzi, aby widzieli wasze dobre czyny i chwalili waszego Ojca, który jest w niebie". Świadomość wybraństwa, mówiąc za Janem od Krzyża, może jednak prowadzić do nabożnej pychy, ale potrafi też zabezpieczyć Kościół przed takim samouwielbieniem.

Deklarując wiarę, z konieczności wystawiamy się na ocenę współwyznawców i pozostałych ludzi. „Od każdego, któremu wiele dano, wiele też będzie się wymagać, a komu więcej powierzono, od tego też więcej będą żądać", czytamy w Ewangelii. A Izajasz, krytykując zrytualizowaną religijność, mówi: „taki jest post, którego pragnę: zdjąć kajdany bezprawia, rozwiązać więzy jarzma, wyzwolić uciemiężonych, połamać wszelkie jarzmo; z głodnym dzielić się chlebem, przyjąć do domu biednych i bezdomnych, przyodziać nagiego, którego zobaczysz, i nie odwracać się od swoich bliskich! Wtedy jak jutrzenka zabłyśnie twoje światło i szybko zabliźnią się twe rany; twoja sprawiedliwość pójdzie przed tobą, a chwała Pana będzie bronić twych tyłów. Wtedy, gdy zawołasz, Pan odpowie, gdy wezwiesz pomocy, powie: »Oto jestem!«".

Sporo takich napomnień i zachęt znajdziemy w Biblii, a to znaczy, że nigdy nie możemy powiedzieć: oto już poznaliśmy Boga, jesteśmy w pełni chrześcijanami. Obecnie, na skutek ujawnienia długo ukrywanych grzechów, związanych nie tylko z pedofilią, mit doskonałego Kościoła padł, ale pragnienie stworzenia Kościoła bezgrzesznego pozostało. Zgorszeni swoją i cudzą grzesznością, dalej pragniemy Kościoła tryumfującego, bez „skazy czy zmarszczki", jak mówi Paweł Apostoł. Ale on mówi o Kościele, którego jeszcze nie ma, a który dopiero się tworzy. Tymczasem papież Franciszek, który też marzy o świętym Kościele, mówi, że Kościół powinien być szpitalem polowym, w którym ratuje się życie. Metodę leczenia w tym szpitalu ujawnił już Izajasz, w przywołanym wyżej cytacie. W Jezusowym szpitalu to pacjenci leczą lekarzy.

Franciszek mówi, że interesując się migrantami i uchodźcami, „interesujemy się także sobą, (...) słuchając ich, udzielamy głosu również tej części nas, którą być może trzymamy w ukryciu, ponieważ nie jest ona dzisiaj dobrze widziana" i uświadomiona, bywa bolesna. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Miejsce Boga

Każde miejsce jest dobre do modlitwy.

ORYGENES

W codziennym życiu człowiek napotyka trudności i szuka szczęścia. Nie osiągnie zadowolenia i nie pokona trudności, jeśli pogrążony jest w niewiedzy.

SUFI LATIF AHMAD

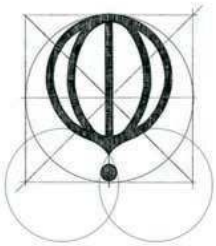

Wybrał PIOTR SIKORA

Niedawno czytaliśmy w Liturgii o pragnieniu Dawida, by Bogu postawić cedrowy, trwały dom w Jerozolimie. Piękne pragnienie króla zostało spontanicznie pochwalone przez proroka Natana (2 Sm 7, 3). Zaraz następnego dnia jednak ten sam prorok przekazał Dawidowi Boskie „nie". Uzasadnienie przedstawione wtedy (bo później doszły jeszcze inne – zob. 2 Krn 22, 8) Dawidowi brzmiało mniej więcej tak: Boga nie da się zamknąć w domu – nigdy w takim nie mieszkał; „miejscem" Jemu właściwym jest namiot (2 Sm 7, 6-7). Bóg jest ciągle w ruchu – nie da się Go zatrzymać – zamknąć w czterech ścianach solidnych murów.

Po jakimś czasie pragnienie ojca podjął syn i dziedzic na królewskim tronie, Salomon. Podjął i zrealizował. Postawił w Jerozolimie świątynię. Wątpliwości (?) ogarnęły go w samym dniu jej poświęcenia: „Czy jednak naprawdę zamieszka Bóg na ziemi? Przecież niebo i niebiosa najwyższe nie mogą Cię objąć, a tym mniej ta świątynia, którą zbudowałem" (1 Krl 8, 27).

Tak. Trudno jest „zamknąć" Boga w „domu". Myślałem o tym wszystkim, siedząc w mojej domowej kaplicy – dwa metry od Jezusa wystawionego w Najświętszym Sakramencie.

W którymś momencie tej medytacji wystawiona na ołtarzu Hostia zaczęła wręcz do mnie „krzyczeć": Tak! Boga nie da się zamknąć w cedrowym czy kamiennym domu, ale: sam się zamyka w maleńkiej Hostii – w „odrobinie Chleba". Zamyka się – również sam – w prostym, nieraz dalece niezdarnym ludzkim Słowie. On, który jest wszechwiedzący, i którego mądrość jest niewypowiedzialna.

W zestawieniu z proponowanymi przez nas miejscami i sposobami potencjalnego „zamieszkania" Bóg wybiera zawsze to, co mniejsze: nie pałac, lecz namiot; ostatecznie, nawet nie namiot (*tabernaculum*), lecz Chleb i Wino. Jest za wielki, by mogły Go ogarnąć nasze „wielkie" propozycje; jest za to nieskończenie pokorny, by wypełnić sobą najskromniejszą formę. Niczego Mu ona nie ujmuje (podobnie zresztą, jak najbogatsza i najbardziej ambitna materialnie forma niczego Mu nie dodaje). Jest jednak w tych Bożych wyborach jeszcze coś więcej. I Chleb z Winem, i Słowo zawierają w sobie dynamikę i logikę ruchu. Nie można Chleba trzymać w nieskończoność pod kluczem w jakimś – nawet najpiękniej wyzłoconym – miejscu. Chleb musi być wyjęty, podany i spożyty. Musi odbyć „drogę" – od *tabernaculum* do człowieka. A nawet wtedy jeszcze się nie „zatrzymuje" – chce być wniesiony do ludzkiego domu, pracy, miejsca wypoczynku itd. Podobnie Słowo – „spełnia się" dopiero wtedy, gdy „biegnie" ku czyimś uszom albo oczom (jeśli jest to słowo pisane). Przez uszy i oczy dociera przecież dalej (do myśli, do serca), i znów nie po co innego, jak tylko, by „uruchomić" człowieka do jakiejś refleksji, a potem wynikającego z niej czynu.

Wtedy też – ostatecznie – jasno widać, że namiotem (a nie domem) wybranym przez Boga jest... człowiek (zob. 2 P 1, 14). ©

CZYTANIA LITURGICZNE (9 – 16 II)

5. niedziela zwykła: Iz 58, 7-10; Ps 112; 1 Kor 2, 1-5; Mt 5, 13-16;
Poniedziałek: 1 Krl 8, 1-7. 9-13; Ps 132; Mk 6, 53-56;
Wtorek: 1 Krl 8, 22-23. 27-30; Ps 84; Mk 7, 1-13;
Środa: 1 Krl 10, 1-10; Ps 37; Mk 7, 14-23;
Czwartek: 1 Krl 11, 4-13; Ps 106; Mk 7, 24-30;
Piątek: Dz 13, 46-49; Ps 117, Łk 10, 1-9;
Sobota: 1 Krl 12, 26-32. 13, 33-34; Ps 106; Mk 8, 1-10;
6. niedziela zwykła: Syr 15, 15-20; Ps 119; 1 Kor 2, 6-10; Mt 5, 17-37.

KOALICJA OBYW
rys
UDK
KOALICJA OBYWATELSKA
rys
BUDKA

MASA SPADKOWA

Najtrudniejsze zadanie stojące przed nowym liderem Platformy to udowodnienie, że jego partia jest w ogóle potrzebna. W tym sensie Borys Budka może być albo odnowicielem PO, albo jej grabarzem.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Na papierze wygląda to imponująco – frekwencja w wyborach na przewodniczącego Platformy wyniosła 76,4 proc., zaś zwycięski Borys Budka zdobył 78,5 proc. głosów. Tyle że w rzeczywistości głosowanie pokazało, iż Platforma znalazła się na zakręcie.

Tak zdecydowane postawienie przez członków największej partii opozycyjnej na polityka, któremu brak jeszcze generalskich szlifów – to jedno. Członkowie Platformy chcieli w ten sposób pokazać czerwoną kartkę odchodzącemu przewodniczącemu, Grzegorzowi Schetynie. O ile cztery lata temu zagłosowało na niego 90 proc. członków Platformy, o tyle teraz Schetyna – czując pismo nosem – nie wystartował. Miał rację: tym razem 90 proc. członków PO zagłosowało na kandydatów innych niż jego faworyt, czyli Tomasz Siemoniak. To wyraźny dowód frustracji spowodowanej działaniami partii w ostatnich miesiącach i latach.

Na pozór imponujące wyniki pokazują jeszcze jeden kłopot Platformy: jej szeregi kurczą się w zastraszającym tempie. W czasach świetności – gdy szefem był Donald Tusk, a partia rządziła krajem – na papierze liczyła ponad 40 tys. członków, zaś aktywnych działaczy było ok. 20 tys. W wyborach wewnętrznych w 2013 r. – gdy Tusk wygrał z Jarosławem Gowinem – zagłosowało 21,8 tys. osób. Tym razem głosujących było dramatycznie mniej – niewiele ponad 8 tys. osób, a w niektórych regionach na wschodzie padło raptem po kilkaset głosów.

Gdy pytam o to Budkę, ciężko wzdycha, przyznając, że to jeden z największych kłopotów, z którym musi się zmierzyć. – Kiedy partia rządzi, to przybywa jej członków. Jest oczywiste, że skoro od pięciu lat jesteśmy w opozycji, to ludzie od nas odpływają, bo na nic nie mogą liczyć – mówi.

Być może ten spadek pokazuje głównie to, że Platforma przestała być atrakcyjnym biurem pośrednictwa pracy. Ale odwrót koniunkturalistów to także jeden z dowodów na to, iż w politycznym światku nie ma wielkiej wiary w przejęcie władzy przez PO.

Zamiana PiS w Platformę

W polskiej polityce role niespodziewanie się zmieniły. Przez lata to PiS uważany był za partię obumierającą, pozbawioną pomysłów i energii, skazaną na wiekuiste pasmo porażek pod przywództwem lidera szorującego dno w sondażach zaufania. Na tym tle Platforma – a mowa o czasach jej świetności pod wodzą Donalda Tuska – uchodziła za partię sprawną, technokratyczną, teflonową, która potrafiła uwodzić wyborców, odwracając uwagę od własnych słabości.

Dziś to PiS jest w natarciu, zaskakująco sprawny i skuteczny w swym rewolucyjnym zapale. Za to Platforma tkwi w marazmie. Nastrój w klubie PO przypomina czasy największej smuty w PiS, czyli lata 2012-13. Tak jak wtedy niewielu wierzyło w to, że Kaczyński kiedykolwiek jeszcze będzie rządził, dziś podobny ateizm polityczny jest dominującą postawą w klubie PO.

Mówi poseł Platformy pierwszej kadencji, ale człowiek niemłody, z bogatą biografią i niezależną pozycją zawodową: – Jestem w ciężkim szoku. Nikomu nic się nie chce. Cokolwiek zaproponuję, to słyszę od kolegów, że się nie da. Rzuciłem pomysł, żeby do harmonogramu prac komisji, w której zasiadam, wprowadzić żądanie audytu w jednej z dużych, ważnych politycznie spółek skarbu państwa. Jeden refren od wszystkich innych naszych ↦

Borys Budka na debacie przedwyborczej w TVP, 1 października 2019 r.

RAFAŁ OLEKSIEWICZ / REPORTER

posłów z tej komisji: „Nie ma sensu, przegłosują nas. A jak nawet się zgodzą, to i tak przedstawią fałszywy audyt. A nawet jak audyt będzie prawdziwy i będą w nim nieprawidłowości, to i tak nic z tego nie wyniknie, bo utrącą nasze wnioski do prokuratury". Zawziąłem się, zgłosiłem wniosek na komisji i ku zdumieniu moich kolegów, PiS się jednogłośnie zgodził na wpisanie audytu do harmonogramu prac. Może nic z tego politycznie nie będzie, ale przynajmniej próbuję.

Platforma jako fundusz emerytalny

Najważniejszym zadaniem Budki jest właśnie przebudzenie klubu i partii, nadanie im impetu i przywrócenie wiary w to, że są szanse na pokonanie potężnego wciąż PiS.

To nie będzie proste. Platformę łączy dziś głównie nienawiść do PiS i otrzymywane z budżetu państwa pieniądze. Budka przejmuje partię przegraną, połamaną, którą część działaczy traktuje jako fundusz emerytalny. – W czasie układania list niektórzy mówili wprost: ja się muszę dostać do Sejmu, bo zostało mi kilka lat do emerytury. To był ich główny argument – mówi członek zarządu PO z czasów Schetyny, który za Budki awansuje jeszcze wyżej.

Wybór Budki oznacza zmianę pokoleniową, jakiej nigdy wcześniej w Platformie nie było.

Od momentu utworzenia PO niemal dwie dekady temu w partii wobec młodych stosowano kanony czeladnicze. Młodsi awansowali tylko, jeśli umiejętnie podpięli się pod idącego do góry seniora Platformy. Często razem z nim też spadali – wiele takich karier zwichnęły zwyczaje panujące w PO. Wypadali ludzie Andrzeja Olechowskiego, Macieja Płażyńskiego, Zyty Gilowskiej, Pawła Piskorskiego czy Jana Rokity.

Młodzi nigdy nie tworzyli zwartego środowiska, które liczyłoby się w partii. Zmieniło się to pod koniec rządów Ewy Kopacz, która – trochę z braku swych ludzi wewnątrz partii – pociągnęła do rządu ekipę 40-latków. Jednak jako środowisko młodzi okrzepli dopiero za rządów Schetyny – i to w kontrze do niego. Nie tylko dlatego, że mieli mu za złe wykończenie Kopacz. Także dlatego, że krytycznie oceniali jego szanse na odbudowę Platformy, zarzucali mu brak pomysłu i charyzmy. No i dlatego, że za Kopacz liznęli poważnej polityki rządowej i już nie mieli ochoty być czeladnikami starszego o dwie dekady Schetyny.

Bilans rządów Schetyny jest gorzki.
Partia przegrała trzy wybory z rzędu i żaden z jej pomysłów programowych nie przebił się do opinii publicznej.

Głośny protest w Sejmie na przełomie 2016 i 2017 r., gdy opozycja okupowała salę plenarną, był ważnym momentem narastającego konfliktu. Schetynie zainicjowana przez młodych akcja była nie na rękę, bo umacniała ich rolę w partii. Dlatego Schetyna po cichu protest torpedował, a gdy się to nie udało – wręcz przeciwnie, przedłużał ponad miarę, by wyczerpać młodych i zamienić okupację Sejmu w karykaturę. W dużej mierze mu się udało.

To idzie młodość

Patrząc na to, kogo Budka zamierza powołać na kluczowe stanowiska w partii – to wciąż nieoficjalne informacje – czuje się pokoleniową zmianę. Wiceprzewodniczący: posłanka Agnieszka Pomaska (40 lat) oraz prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski (48 lat). Szef klubu parlamentarnego Sławomir Nitras (46 lat). Sekretarz generalny Marcin Kierwiński (43 lata). Sam Budka ma 41 lat i jest młodszy od Schetyny o 15 lat – to cała polityczna epoka.

Czy sam młody jak na politykę wiek nowych władz daje szanse na reanimację Platformy? Na pewno nie. Ale dziś partia szuka rozwiązań, które dałyby szybkie efekty wizerunkowe, sondażowe i polityczne. A młodość w polityce dobrze się sprzedaje.

Dla pozycji Budki i odmłodzonych władz PO istotne będą relacje z jednym seniorem – Donaldem Tuskiem. Ojciec założyciel PO po pięciu latach partyjnej ascezy wraca do krajowej polityki. Choć formalnie został szefem międzynarodówki partii centroprawicowych, coraz wyraźniej angażuje się w polskie sprawy. Podczas wewnętrznej kampanii w PO wysyłał jasne sygnały poparcia dla Budki. Oficjalnie Budkę poparła też Ewa Kopacz, uważana za realizatorkę politycznych pragnień Tuska.

Budka nie był wielkim zwolennikiem wyborów szefa partii na początku roku, czyli wedle statutowego kalendarza. Chętnie zgodziłby się na przesunięcie starcia ze Schetyną na czerwiec, po wyborach prezydenckich. Powód jest prosty – ewentualna porażka Małgorzaty Kidawy-Błońskiej poszłaby jeszcze na konto Schetyny.

Ale ponieważ pod koniec roku Schetyna podjął ostrą walkę o utrzymanie się – zaczął także atakować Budkę – młodzi uznali, że im szybciej pozbędą się starego przewodniczącego, tym lepiej. Schetyna czując, że może przegrać, wycofał się z wyborów.

Ale się nie poddał. Wystawił swego kandydata – wspomnianego już byłego szefa MON Tomasza Siemoniaka. I mówił współpracownikom, że jeśli Budka wygra szefostwo PO ze słabym wynikiem, to przegrane wybory prezydenckie jeszcze bardziej go osłabią i schetynowcy zaczną odzyskiwać wpływy. Jednak to, co miało być taktycznym wycofaniem się Schetyny, okazało się raczej jego emeryturą.

Budka wygrał z taką przewagą, że Schetyna nie ma na co liczyć. Niedługo – to uniwersalny mechanizm – zaczną go opuszczać ostatni wierni towarzysze, a po przegranych wyborach do Sejmu i tak zostało mu ich niewielu.

Budka mówi mi dyplomatycznie, że widzi swego poprzednika w nowej Radzie Politycznej czy też Radzie Mędrców PO. Tak, oczywiście, będą tam prezydenci, premierzy, ministrowie. Tak, oczywiście, będą tam głównie emeryci.

Zostało po Schetynie

Bilans, który zostawia po sobie Schetyna, jest dość gorzki. Rządził partią – podobnie jak kiedyś Tusk – jednoosobowo, przy wsparciu grupy klakierów. Tyle że Schetyna nie jest Tuskiem, nie ma ani takiego autorytetu, ani politycznego talentu. Partia przegrała trzy wybory z rzędu – to czarna seria, jakiej nie było w dziejach Platformy. Żaden z jej pomysłów programowych nie przebił się w tym czasie do opinii publicznej. Partia kilkukrotnie ogłaszała nowe otwarcia z nowymi programami, które były powieleniem starych – nikt nawet tego nie zauważył,

bo pomysły nie budziły emocji i nie zapadały w pamięć.

Nawet liderzy gubili się w aktualnych hasłach i projektach partii. Przykłady? Kongres programowy PO w Łodzi jesienią 2017 r. – Schetyna proponuje „wielki projekt »Akcja Twoja Polska«". Nigdy potem nikt o nim nie słyszał. Latem 2019 r. szef PO zgłasza z kolei „sześciopak Schetyny", czyli zestaw fundamentalnych obietnic przed wyborami do Sejmu. W kampanii sam Schetyna nie pamięta, co jest w jego „sześciopaku", dziś zresztą też tego nie wie. To zagubienie da się wytłumaczyć – półtora roku wcześniej Schetyna przedstawił inny „sześciopak", więc łatwo o pomyłkę.

Partia miotała się nieustannie. Długo – i wbrew zdrowemu rozsądkowi – Schetyna wierzył, że uda mu się wygrać wybory i zostać premierem. Gdy w kampanii wyborczej do Sejmu ostatecznie okazało się, że to niemożliwe, wyciągnął z kapelusza Małgorzatę Kidawę-Błońską, ogłaszając wszem wobec, że to ona będzie premierem w razie wiktorii PO. Ruch był spóźniony i nieprzygotowany, Kidawa nawet nie wystąpiła w żadnej debacie w kampanii.

Po porażce wyborczej Schetyna – próbując odwrócić uwagę od siebie – wymusił przeprowadzenie prawyborów prezydenckich i zaczął grać na osłabienie Kidawy, która i tak nie grzeszy polityczną siłą. Jednocześnie zaczął grać na wzmocnienie innych polityków jej kosztem. Np. namawiał marszałka Senatu prof. Tomasza Grodzkiego na zerwanie układu o lojalności z Kidawą i kandydowanie przeciw niej w prawyborach prezydenckich.

Zresztą sama nominacja senacka dla Grodzkiego także okazała się kłopotem. Został on wybrany jako najmniejszy wspólny mianownik w rokowaniach z PSL i lewicą, trzeci czy czwarty kolejny kandydat. Ta nominacja była więc wypadkową interesów Schetyny, Włodzimierza Czarzastego i Władysława Kosiniaka-Kamysza. Tyle że tasując karty przy zielonym stoliku żaden z nich – a zwłaszcza Schetyna – nie zastanowił się nad słabymi stronami tej kandydatury. Lekarz? Profesor? Zamożny? Kocha szybkie auta? To recepta na kłopoty. Z miejsca wyczuł to Jacek Kurski – stąd nagonka TVP na Grodzkiego w sprawie rzekomej korupcji. Dla jasności: nie znaczy to, że Grodzki jest winien. To znaczy, że Schetyna powinien rozumieć polityczne ryzyko takiej nominacji i potrafić je zminimalizować.

Kasa pod lupą Budki

No i wreszcie pieniądze. Nikt poza ścisłym kręgiem ludzi Schetyny nie zna sytuacji finansowej partii. Skarbnikiem był Mariusz Witczak, który o pieniądzach rozmawiał tylko ze Schetyną i grupą jego dworzan. Dość powiedzieć, że Budka – wszak formalnie wiceszef PO za rządów Schetyny – twierdzi, że nie miał na ten temat pojęcia. Dlatego jedną z pierwszych decyzji Budki jako szefa PO jest zarządzenie audytu finansów partii.

Tygodnik „Wprost" opisuje finansowanie z partyjnej sakiewki fundacji Państwo Prawa, założonej przez ludzi Schetyny. Stoi za tym – straszy „Wprost" – potężna groźba: odebranie przez Państwową Komisję Wyborczą wielomilionowych subwencji z budżetu państwa, bez których żadna partia dziś sobie nie poradzi.

Ale, mówiąc szczerze, to mało realne. W umowie z fundacją nie ma nic nielegalnego. W dodatku Państwowa Komisja Wyborcza badała te przelewy w poprzednich latach i sprawozdania PO przyjmowała.

Faktem jest jednak, że umowa z fundacją kojarzoną ze Schetyną budzi w partii emocje. Zwłaszcza że jest coś jeszcze. Oto stworzona przez Platformę Koalicja Obywatelska wydała na sejmowe wybory najwięcej ze wszystkich ugrupowań – ponad 30 mln zł. To gigantyczna kwota. Szkopuł w tym, że w tej kampanii – słabej, bez pomysłu i bez wiary w zwycięstwo – kompletnie nie było widać tych pieniędzy.

Budka, kandydując jako lider śląskiej listy PO, musiał się potykać z przerzuconym tam przez PiS Mateuszem Morawieckim, za którym stał cały przemysł propagandy obozu władzy i rządowa logistyka, opłacana z naszych podatków. Ale następca Schetyny nie miał na Śląsku mocnej, indywidualnej kampanii. Poprzednik nie dał na nią pieniędzy, bo w jego interesie nie był dobry wynik Budki przeciw Morawieckiemu. To najlepsza ilustracja tego, jakie porządki panowały w największej partii opozycji.

To nie znaczy, że Schetyna zostawia po sobie wyłącznie kłopoty. Jego główną zasługą jest to, że Platforma przetrwała i pokonała konkurentów po stronie opozycji. Chodzi o Nowoczesną i KOD, które – od jesieni 2015 r. do końca 2016 r. – nadawały ton wojnie z PiS.

Ale nawet tu są wątpliwości. Bo choć z punktu widzenia działaczy PO to zasługa, z perspektywy wyborców wcale tak być nie musi. Może zatrzymane przez Schetynę zmiany organizacyjne i personalne po stronie opozycji owej opozycji wyszłyby na dobre?

Gafy kandydatki

No bo cóż ma dziś do zaoferowania Platforma? Kampania prezydencka pokazuje, że niezbyt wiele. Małgorzata Kidawa-Błońska nie jest politycznym samorodkiem, nie obudziła w sobie politycznego zwierza, jak Andrzej Duda pięć lat temu (wyciągnięty wszak niespodziewanie z prezesowskiego kapelusza).

Na razie słychać głównie o jej gafach. Na przykład, gdy dowodzi, że krytykująca sądowe zapędy PiS Komisja Wenecka jest ciałem Unii Europejskiej, choć związana jest z Radą Europy, czyli organizacją koordynującą luźną współpracę niemal wszystkich krajów Starego Kontynentu.

Plącze się również w debacie prawyborczej, wypominając PiS sądowe przegrane przed Europejskim Trybunałem Konstytucyjnym i Europejskim Trybunałem Stanu, dochodząc wreszcie do prawidłowego wniosku, że unijny sąd to Trybunał Sprawiedliwości UE.

Wreszcie wypala w rozmowie z TVN: – Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zależy na świecie, na Europie. Jemu zależy tylko na Polsce.

Internet kpi, a politycy PiS mają ubaw. Nawet premier publicznie ją chwali za komplementowanie prezesa.

Oczywiście to na razie jeszcze nic nie znaczy. Kidawę można jeszcze sformatować, wytrenować, wzmocnić. – Sztab kampanii dopiero się tworzy, nie możemy go powołać przed formalnym ogłoszeniem wyborów prezydenckich. Zapewniam: w sztabie będzie mniej polityków, a więcej specjalistów od kampanii – mówi Budka.

Ryzyko porażki wciąż jest jednak bardzo duże. I to nie będzie tylko porażka Kidawy, nawet nie głównie jej. To bardziej będzie kłopot partii i jej szefa – kolejne w serialu przegrane wybory.

– Jeśli Kidawa osiągnie słaby wynik, w partii może dojść nawet do rozłamu – mówi polityk, który po zmianach w Platformie będzie odgrywał ważną rolę.

Czyli jednak albo Budka odnowiciel, albo Budka grabarz.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Lewica puka do domu

RAFAŁ WOŚ

Nowa polska lewica chce pokazać, że spór o politykę rodzinną nie musi się toczyć wyłącznie między liberałami a konserwatystami. Czy to się może udać?

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Włodzimierz Czarzasty w drodze do Sejmu, Warszawa, 7 listopada 2019 r.

Z punktu widzenia sejmowej arytmetyki zaskoczenia być nie mogło. PiS-owska większość najpierw (w ramach kurtuazji wobec opozycji) zgodziła się powołać Magdalenę Biejat z Lewicy na przewodniczącą sejmowej komisji polityki społecznej i rodziny. Szybko jednak publiczne wypowiedzi posłanki zostały uznane za prowokacyjne – w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" mówiła np. o konieczności liberalizacji ustawy aborcyjnej albo o tym, że PiS nie prowadzi systemowej polityki socjalnej, tylko „doraźne rozdawnictwo". Kilka tygodni później Biejat nie była już szefową komisji.

Zanim jednak doszło do jej odwołania, odbyła się jedna z ciekawszych debat w tej kadencji parlamentu. Okazało się, że swoją koncepcję rodziny mają nie tylko konserwatyści i liberałowie, lecz również lewica. A przynajmniej bardzo by chciała mieć.

Skandynawia celem

To, że spór o rodzinę nie rozgrywa się we współczesnym świecie wyłącznie pomiędzy liberałami i konserwatystami, dobrze pokazał już w 1990 r. socjolog Gøsta Esping-Andersen. W pracy „Trzy światy kapitalistycznego państwa dobrobytu" Duńczyk naszkicował trzy modele. Pierwszy z nich jest liberalny. Rodzina nazywana tutaj bywa zazwyczaj „gospodarstwem domowym" i jest jakby rodzajem autonomicznej samosterownej jednostki pływającej po wodach wolnego rynku. Czasem są to wody łatwe do żeglowania (czas dobrej koniunktury), innym znów razem wzburzone sztormem (recesja). Takie życie – powiadają liberałowie. I generalnie są przekonani, że to od gospodarstwa zależy, czy zbuduje sobie na czas złej pogody niezatapialny okręt. W efekcie transfery społeczne i pomoc państwa (co do zasady) nie są tu mile widziane, bo przecież zniechęcają ludzi do brania spraw w swoje ręce.

Ale Esping-Andersen wyróżnia też tzw. konserwatywny model państwa dobrobytu. Korzenie tej filozofii tkwią w krajach, które (Francja, Niemcy, Austria) tradycyjnie stawiały na dobrze zorganizowany aparat państwowy. Państwo nie zostawiało raczej rodzin-łódeczek sam na sam ze wzburzonym morzem. W zamian jednak konserwowano tradycyjny podział ról na statkach: z mężczyzną na kapitańskim mostku i kobietą odpowiedzialną za to, co się dzieje w kambuzie. Zwykło się też uważać, że siłą modelu konserwatywnego jest mocna pozycja religii w społeczeństwie – choć Esping-Andersen pokazuje, że w wielu miejscach model męskiej dominacji przetrwał nawet pomimo postępów sekularyzacji.

Pomysł na państwo dobrobytu realizowany przez PiS od 2015 r. w Polsce znajduje się najbliżej tego modelu. Ale jest jeszcze trzeci wzorzec, Esping-Andersen nazywa go „socjaldemokratycznym" albo „skandynawskim". Wbrew temu, co mówi prawica, nie jest to wizja liberalna. Tutaj oczekiwania wobec pań-

stwa są jeszcze bardziej rozbudowane niż w modelu konserwatywnym. Władza nie tylko może, ale wręcz musi troszczyć się o rodzinne stateczki obywateli. Lista zadań jest długa: rząd powinien inwestować w rodziny, pilnować, by między nimi nie było nadmiernych nierówności, stworzyć system szalup ratunkowych na wypadek sztormu. A nawet (wersja aktywnej keynesowskiej polityki gospodarczej) próbować wygładzać fale cyklów koniunkturalnych oceanu gospodarki.

Tylko jak tam dojść?

Trzeba oczywiście pamiętać, że wszystkie trzy filozofie nie leżą grzecznie na półce sklepowej w oczekiwaniu, że sięgnie po nie ten czy ów polityk. W praktyce zachodzi pomiędzy nimi ciągła hybrydyzacja: np. Niemcy za kanclerza Adenauera realizowały model konserwatywny, w latach 70. zrobiły szereg kroków w kierunku typu skandynawskiego, by w czasach kanclerza Schrödera zakochać się w pomysłach liberalnych.

Na dodatek wszystkie trzy filozofie państwa dobrobytu (a więc i modele rodziny) są ze sobą w stanie agresywnej konkurencji. Konserwatyści (czasem do spółki z socjaldemokratami) dowodzą, że model liberalny prostą drogą prowadzi do jałowego indywidualizmu, który wchodzi w miejsce zniszczonej wspólnoty.

O trwałym sojuszu konserwatystów i lewicy nie ma jednak mowy, bo obie filozofie znajdują się w trwałym sporze. Konserwatyści uważają, że rodzina jest jednak nadrzędna wobec państwa i powinna cieszyć się szeroką autonomią. Socjaldemokraci dopatrują się w tej autonomii zagrożenia ukrywania różnego typu przemocy. Np. dominacji mężczyzn nad kobietami albo tyranii wobec dzieci. Liberałowie w zależności od kontekstu i momentu dziejowego stają albo po stronie jednych (opór wobec państwa), albo drugich (niechęć wobec tradycji).

Słuchając wypowiedzi polityków i polityczek nowej polskiej lewicy (w tym również Biejat) nie ma wątpliwości, że model skandynawski jest ich azymutem. Ale wyznaczyć sobie kierunek to jedno. Łatwo wpisać do programu zapowiedź wsparcia dla rodzin (w planie na wybory 2019 były: bezpłatny żłobek dla każdego dziecka, pełnopłatny i obowiązkowy urlop dla obojga rodziców w wymiarze 12 tygodni oraz zapowiedź ostrego ścigania niepłacących alimentów). Ale dojść tam w praktyce bieżącej polityki to już zupełnie inna sprawa. Tym bardziej że lewica ma w dzisiejszych realiach polskiej polityki fundamentalny problem. Musi zmierzyć się z rozpowszechnionym przeświadczeniem, że rodzina po prostu nie leży w jej kręgu zainteresowań. Albo że jest wręcz rodzinie wroga.

Lewica większości czy mniejszości?

Obawy o kompetencje lewicy do wypowiadania się na temat rodziny da się podzielić na łatwe i trudne do obalenia. Zacznijmy od łatwych. Lewica nie musi się np. wypierać całego dziedzictwa polityki rodzinnej płynącego z klasycznego marksizmu. Bo owszem, Marks i Engels krytykowali rodzinę – ale wcale nie jako ideę. Pisali raczej o konkrecie, który widzieli na własne oczy. O rodzinie, w której relacja małżeńska była rodzajem transakcji rynkowej. Czasem polegającej na niechęci do rozdrobnienia kapitału albo ziemi. Czasem zaś będącej zimną transakcją: ciało (zazwyczaj młodej kobiety) w zamian za opiekę (zazwyczaj starszego mężczyzny).

Dziś trudno w to uwierzyć, ale hasło „wolnej miłości" nie jest wymysłem hedonistycznego ruchu hipisowskiego lat 60., lecz właśnie postulatem brodatego myśliciela z Trewiru. W tym ujęciu miłość miała być wolna nie w sensie pochwały rozwiązłości, co raczej prawa do wolnego wyboru partnera czy sposobu kochania.

To było wyzwanie łatwe. Dużo trudniej robi się jednak, gdy lewica staje wobec zasadniczego pytania: „jaka ma być rodzina, której chcemy?". Nie jest to spór nowy. W pierwszej połowie XX w., gdy lewica była ruchem masowym i walczyła o pełną polityczną stawkę, jej koncepcja rodziny też była większościowa. Dziś powiedzielibyśmy: tradycyjna.

Gdy w latach 1918-34 austriacka socjaldemokracja realizowała projekt „czerwonego Wiednia" (inwestycje w mieszkalnictwo komunalne), to przy przyznawaniu mieszkań posługiwała się kryteriami, które dziś przez większość lewicy zostałyby pewnie uznane za „konserwatywne". Pierwszeństwo miały bowiem rodziny z dziećmi. Bezdzietni single byli w zasadzie wykluczeni. Byłoby przesadą powiedzieć, że inność niemieszcząca się we wzorcu heteronormatywnym (np. homoseksualizm) była zwalczana (choć i takie przypadki się zdarzały). Chodzi raczej o to, że nie była ona traktowana poważnie jako ważny i duży temat polityczny. Czy była to forma dyskryminacji? Ówcześni politycy postępowi wzruszyliby pewnie tylko ramionami i przystąpili do spraw ich zdaniem dużo pilniejszych. Większości ich następców taka odpowiedź nie przeszłaby już dziś przez gardło.

Presję na rozchybotanie tradycyjnej koncepcji rodziny rozpoczęły na lewicy kobiety. Ich walka trwała długo. – Dopiero w latach 70. XX wieku pojawiły się pierwsze analizy nieodpłatnej, domowej pracy kobiet, z których wynika, że przypisana kobietom „bezczynność" jest fantazmatycznym wytworem wynikającym z nieuznawania wykonywanych przez kobiety czynności za pracę – uważa filozofka Ewa Majewska, autorka książki „Feminizm jako filozofia społeczna. Szkice z teorii rodziny". W ślad za kobietami poszły inne grupy (w tym mniejszości seksualne).

Cel zmieniał się dynamicznie. Z początku była nim głównie ochrona przed prześladowaniami i jawną dyskryminacją. W kolejnych dekadach (lata 80. i 90.) pojawiło się hasło równouprawnienia. Czyli w jakimś sensie odebrania rodzinom tradycyjnym dotychczasowych przywilejów. Zasady przydziału mieszkań w czerwonym Wiedniu byłyby dla nowej lewicy nie do zaakceptowania.

W potrzasku

W ten sposób lewica doszła do punktu zwrotnego. – Gdy szła w kierunku silniejszego dowartościowania nietradycyjnych modeli rodziny, to owszem: zyskiwała poklask swoich intelektualnych elit. Ale jednocześnie coraz bardziej oddalała się od modelu rodziny praktykowanego przez większość jej potencjalnych wyborców – twierdzi znawca historii lewicy Rafał Chwedoruk. Od pewnego momentu próby korekty tego kursu i dopieszczenia modelu tradycyjnego były często uznawane za przejaw homofobii czy skrętu na prawo. W potrzasku tym zachodnia lewica znajduje się do dziś.

A w Polsce? – Polska lewica po roku 1989 nie zbudowała swojej koncepcji rodziny. A już na pewno nie takiej, jaką miała lewica przed II wojną światową, gdy istniał mikrokosmos organizacji dbających o dobrostan rodziny na różnych polach: od doradztwa dotyczącego planowania rodziny, przez darmową ↦

opiekę i edukację dzieci, po organizację spędzania wolnego czasu w ramach robotniczych klubów sportowych i wspieranie ludowej turystyki – uważa Michał Syska, szef lewicowego Ośrodka Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle'a.

W Polsce czasów transformacji lewica spod znaku SLD próbowała się raczej upodobnić do zachodnich socjaldemokracji. Właśnie w ten sposób do Polski przeszczepiono model lewicy skupionej na dowartościowaniu nienormatywnych wizji rodziny. To ułatwiło PiS-owi zajęcie miejsca lewicy jako partii socjalno-ludowej.

Dopiero ostatnio na lewicy zaczyna dojrzewać myśl o odzyskaniu terenu. Na razie odbywa się to głównie na poziomie prostych gestów. Posłanka Daria Gosek-Popiołek z Krakowa pojawiła się w Sejmie z niedawno urodzonym dzieckiem (łączenie ambicji politycznych i macierzyństwa akcentowała już w kampanii). Z kolei jednym z deklarowanych powodów, dla których Adrian Zandberg nie startował w wyborach prezydenckich, było właśnie to, że zbyt mocno ceni sobie życie rodzinne. Te gesty nie wszystkich muszą przekonywać. Widać jednak, że nowa lewica chce powiedzieć „nie spadliśmy z Księżyca! Mamy takie problemy jak wy, wyborcy".

Ale w partiach tworzących Lewicę wciąż brak pomysłu, jak uwiarygodnić się w oczach tych wyborców, którzy mają wątpliwości wobec „poszerzenia definicji rodziny o postawy nieheteronormatywne". Przed wyborami wydawało się, że ramy dla takiego podejścia mogłyby wyjść od socjologa (a dziś posła Lewicy) Macieja Gduli, któremu z badania na temat słynnego „Miastka" wyszło, że polska klasa ludowa pod niektórymi względami (stosunek do rozwodów, posłuszeństwo wobec Kościoła) wcale nie jest tak konserwatywna, jak się ją opisuje w mediach. Jak na razie to odkrycie w żaden sposób nie przełożyło się jednak na strategię, która mogłaby doprowadzić do spotkania z pewną częścią zmieniającego się obyczajowo elektoratu w pół drogi.

Trzy miesiące po wyborach Lewica wciąż przypomina proroka próbującego nawrócić na swoją wiarę grzeszne miasto. ©℗ RAFAŁ WOŚ

Sprawy rodzinne

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Pół roku po głośnej tragedii w Olecku głos zabierają bliscy podejrzanej o zabicie dziecka Anny W. – Przez miesiące chroniliśmy dzieci, wyręczając instytucje – mówią.

Przed dwoma tygodniami siostra Anny W. przysłała mail: „Blanka nie będzie ostatnia, jeśli nie zmieni się wiele w naszym społeczeństwie" – napisała. Nawiązała w ten sposób do tytułu reportażu opublikowanego u nas pół roku temu („Blanka nie będzie ostatnia", „TP" 30/2019 oraz na powszech.net/blanka).

– Nie możemy dłużej milczeć. Jesteśmy to winni Blance, rodzinie i innym zagrożonym dzieciom – mówi autorka listu, gdy rozmawiamy w jej mieszkaniu nieopodal Olecka. Na spotkanie przychodzi też jej starsza siostra.

Społeczeństwo: „To patologia!"

Choć w lokalnej społeczności są znane, nie chcą podawać danych. – Chcemy opowiedzieć swoją wersję historii, bo zostaliśmy skrzywdzeni – mówią. – Komentarzami, pytaniami: „Gdzie była rodzina?", „dlaczego matka Anny po tragedii nadal pracowała?". Nikt nie pomyślał, że to był jedyny sposób, by nie oszaleć.

„Patologia" – orzeka po oleckim dramacie internet. Bo przecież w „normalnych rodzinach" nie zabija się dziewięciomiesięcznych dzieci. Co jednak jeśli W. to rodzina jakich tysiące: z małżeństwami, zadbanymi dziećmi, dobrze utrzymanymi mieszkaniami, z kredytami na ich zakup, świętami spędzanymi od lat w gromadzie? Z licznym rodzeństwem Anny W., któremu rodzice zapewnili wykształcenie.

Było ich siedmioro: Anna, jej cztery siostry i dwóch braci. Lata 70. i 80. Trzy pokoje, tata raz jeżdżący taksówką, innym razem wyjeżdżający za chlebem. I mama najpierw poświęcająca się dzieciom, później prowadząca sklep z dewocjonaliami, jeszcze później ekspedientka w sklepie spożywczym (zza witryny będzie widziała okna córki; także wtedy, gdy pod te okna zajadą karetka i radiowóz).

Anna w młodości? Kiedy jeszcze jako dziewczyna urodziła pierwszą dwójkę, nic ponoć nie wskazywało na problemy.

Po kilku latach rodzi kolejne dziecko, mającego dziś 12 lat syna. – Została z trójką sama. Posypał się jej drugi związek – mówią bliscy. Niedługo potem zaczynają się kłopoty. Narkotyki, problemy z emocjami. Pierwsze wizyty na oddziałach szpitalnych po amfetaminie.

Policjant: „I co ja mam z tym zrobić?"

Już wtedy rodzina zaczyna spełniać rolę sztabu kryzysowego. „Coś się dzieje z Anką" – alarmuje coraz częściej pozostałe córki mama. Siostry wsiadają w samochód. – To było osiem lat temu. Przyjechałam, zobaczyłam Ankę po raz pierwszy „pod wpływem". Błądziła wzrokiem po ścianach, nie kontaktowała. Przyjechała karetka, sanitariusze nie mogli jej opanować, więc musieli pomagać policjanci. Zapięli ją w pasy i zawieźli na oddział do Ełku – relacjonuje jedna z sióstr.

Dzieciństwo synów i córki Anny W.? Nie najgorsze: dostęp do babci i licznych cioć mają 24 godziny na dobę.

Kilka lat przed narodzeniem Blanki pod domem znowu jest policja. To wtedy, jak mówią siostry, rodzina W. poczuje po raz pierwszy coś, co za lat kilka będzie czuła na co dzień: są sami. – Zabrałam dzieci wiedząc, że oni nie pomogą. I nawet nikt z funkcjonariuszy mnie nie spytał, kim jestem – opowiada jedna z sióstr .

Wrzesień 2018 r. Anna rodzi czwarte dziecko, Blankę. Nie są z partnerem pod opieką MOPS-u, nie mają założonej Niebieskiej Karty, mimo że nie byli w stanie zajmować się poprzednimi dziećmi. I mimo że policji muszą być znane dotychczasowe incydenty.

Nie ma też – twierdzą dziś jej siostry – opieki ze strony służby zdrowia: to wizyty pielęgniarek środowiskowych

GETTY IMAGES

u nowo narodzonych dzieci służą często do wychwycenia problemów. – Nie pamiętamy żadnej takiej wizyty, mimo że powinny się odbyć – relacjonują siostry.

Blanka ma kilka tygodni, gdy 11-letni syn Anny alarmuje babcię: z mamą coś nie tak. Na miejsce przyjeżdża jedna z sióstr. Widzi Annę w amoku: wybiega na ulicę, chce się rzucić pod samochód. Znowu karetka, szpital. Siostra W. chwilę później pokazuje policjantowi torebeczkę z pozostałością narkotyku. „I co ja mam z tym zrobić?" – słyszy.

Szpital: „Bierze pani to dziecko?"

1 listopada. Rodzina jest w drodze na cmentarz, Anna ma tam dotrzeć z ojcem Blanki. Ten jednak znika. Anna czeka na niego na klatce jego bloku. Na schodach, z miesięcznym dzieckiem, o czym krewnych Anny alarmują telefonicznie sąsiedzi. Sąsiadka zaprasza ją do środka. Tu Anna spędzi najbliższą noc. Nie będzie chciała widzieć rodziny. Jest znowu „pod wpływem", zachowuje się dziwnie.

Siostra Anny: – Zadzwoniłam na policję, bałam się o dziecko. Podjechał radiowóz. Funkcjonariusz otworzył szybę: „Proszę stąd iść, pani Anna śpi, nic złego się nie dzieje. I proszę nie dzwonić, bo to bezpodstawne wzywanie służb".

Nazajutrz sąsiadka informuje, że Anna wyszła „na miasto" z dzieckiem. Rodzinny sztab kryzysowy zamienia się w policję: śledzą Annę w jej marszu przez miasto. I zauważają: przekazuje dziecko „jakiejś kobiecie" (jak się okaże, sąsiadce). Przyjeżdżają wreszcie zaalarmowani funkcjonariusze, jest też karetka. – Zjawiła się pani z MOPS-u. Zapytała: „Czy naprawdę trzeba tak drastycznych środków?" – relacjonuje siostra W.

Dziecko wraz z matką trafia do szpitala. Anna jednak z oddziału znika. A Blanka, po stwierdzeniu odparzeń, zostaje wypisana. Siostra: – „Bierze pani to dziecko?", zapytali. Po tylu zgłoszeniach, po tym jak wszyscy powinni mieć pewność, że dziecko jest zagrożone, dają je nieznanej osobie! Pojechaliśmy do babci Blanki.

Tu do drzwi zaczyna dobijać się Anna. – Wtedy powiedzieliśmy jej już wprost: dość! – opowiadają siostry. – Zadzwoniła pani z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, że jedzie do sądu, wystąpić o tymczasowe ograniczenie praw, co otwiera drogę do rodziny zastępczej.

Ale urzędniczka z PCPR-u dzwoni drugi raz. „Nie da się" – oświadcza. Jest piątek, minęła 15, sąd nie działa. Rodzinny sztab zamienia się więc tym razem w PCPR: to instytucja m.in. od pieczy zastępczej, odpowiedzialna za zabezpieczenie dziecka zagrożonego.

Rodzina Anny dzwoni do Centrum także w innej sprawie: proszą o pomieszczenie, w którym Blanka mogłaby spokojnie mieszkać przez kilka dni z babcią, z dala od hałasu, awantur. Urzędnicy informują: pomieszczenia są, ale dla samotnych kobiet, ofiar przemocy...

Młodsza siostra: – Ja w ciąży, mama tak zdenerwowana, że bliska była zawału. A na klatce hałas, krzyki. Ania dzwoni na policję, my też. Funkcjonariusz mówi, że nic nie zrobią, bo „to są sprawy rodzinne".

Poniedziałkowy poranek: telefon z PCPR. Jest dokument nakazujący umieszczenie Blanki w rodzinie zastępczej. Ale dziewczynkę zawożą do niej nie urzędnicy, lecz siostry Anny W...

Tu Blanka spędzi cztery miesiące.

MOPS: „Przecież nic się nie dzieje"

Odtąd widzenia z dzieckiem są możliwe tylko na terenie PCPR-u. Przychodzą: matka, ciocie, babcia. Anna, tak przynajmniej zapamiętali to jej bliscy, będzie przez te miesiące zachowywać się chwiejnie. Raz przyznawać, że decyzję sądu rozumie, i że musi iść na leczenie. Innym razem się buntować, nawet grożąc siostrom. W styczniu jedna z nich idzie do starostwa po poradę prawną, a potem do MOPS-u. Radca pyta, czy Annie założono Niebieską Kartę. Nie założono. W MOPS-ie na pytanie, dlaczego nie ma Karty, jedna z urzędniczek reaguje zdziwieniem: „Dlaczego? Przecież tam nic złego się nie dzieje!". Siostra pyta też o asystenta rodziny: to funkcjonująca od lat instytucja urzędniczego „anioła stróża" – ma radzić, pomagać, motywować zagrożone rodziny. „Anna nie jest na tyle dysfunkcyjna, by dostać asystenta" – słyszy siostra W. (tuż po śmierci Blanki kierowniczka MOPS-u przedstawi w rozmowie z „TP" wersję częściowo sprzeczną z dzisiejszymi słowami rodziny: że Anna W. istotnie asystenta nie dostała, ale to ona sama odmówiła pomocy).

Połowa marca, posiedzenie sądu rodzinnego. Siostra: – Myśmy nawet nie wiedziały, że zbliża się rozprawa. Nikt też nie zebrał wcześniej wywiadu. Nikt nie zapytał, jak Ania zachowywała się przez te miesiące. To ważne, bo nie interesowała się za bardzo pozostałymi dziećmi. ↦

Sąd: „Sytuacja ustabilizowana”

Orzeczenie: Blanka wróci do biologicznych rodziców. „Ze wszystkich informacji, które do nas docierały, wynikało, że sytuacja jest ustabilizowana” – powie kilka miesięcy później Radiu Olsztyn przedstawicielka oleckiego sądu. I doda: matka „podjęła starania związane z leczeniem odwykowym”. Siostry Anny W.: – Przecież ona ledwo to leczenie zaczęła! Sąd ma w rękach ludzkie życie, powinien wszystko dokładnie sprawdzić, porozmawiać z krewnymi, bliskimi. Naszym zdaniem tego nie zrobiono.

Udział lokalnych instytucji w decyzji sądu? MOPS wnioskował o pozostawienie dziecka w rodzinie zastępczej. PCPR początkowo też, ale podczas rozprawy zmienił zdanie, wnioskując o ścisły nadzór kuratora. .

Od powrotu Blanki do domu do śmierci dziecka miną niemal cztery miesiące. Siostry Anny przyznają: – Oddaliliśmy się. Raz, że Anka uznała nas za wrogów. Dwa, że nie mieliśmy już sił. Przez miesiące wyręczaliśmy instytucje, a teraz sąd uznał, że należy im i naszej siostrze zaufać.

Anna W. ma przez ten czas mieszkać u partnera, ojca Blanki. Na początku mieszka: razem zajmują się córką, rodzina – w tym starsze dzieci Anny – nie dostrzegają niczego niepokojącego. Ale potem zaczynają się kłótnie. On pozostaje w swoim domu, ona wraca do poprzedniego mieszkania (to lokal socjalny, który zamieszkuje z dziećmi).

– Instytucje tak jakby ją wtedy zostawiły. Wszyscy uznali, że skoro sąd zaufał rodzicom, to nie trzeba ich specjalnie kontrolować – mówią siostry.

Kurator: „Brak niepokojących symptomów”

Anna W. jest przez te miesiące – przynajmniej teoretycznie – pod okiem sądowego kuratora i pracownika socjalnego z MOPS-u. Obie instytucje będą twierdzić, że niczego niepokojącego w jej zachowaniu nie wychwycono. Ostatnia wizyta kuratora: połowa czerwca. Wnioski? Brak niepokojących symptomów (sekcja zwłok dziewczynki wykaże jednak ślady znęcania z dwóch miesięcy poprzedzających śmierć).

Piątek, 21 czerwca. Pod dom Anny W. zajeżdża karetka i radiowóz. SMS-y, telefony od znajomych do sióstr. Matka Anny widzi podjeżdżające pod dom samochody sprzed sklepu, który właśnie miała zamykać.

– Wiecie, co się stało? – pytam.

– Nie wiemy – odpowiadają siostry Anny. – Nie wiemy kto, dlaczego, jak. Nie wiemy, gdzie była Blanka w chwili śmierci. Nie bronimy Anny, nie oskarżamy jej. Choć zdajemy sobie sprawę, że niezależnie od wyroku to matka jest odpowiedzialna za bezpieczeństwo dziecka. Czekamy.

W poniedziałek z samego rana starsza siostra Anny idzie do MOPS-u. Chce rozmawiać z pracownicami socjalnymi, które miały kontakt z siostrą. „Chciałam pani podziękować. Przyczyniła się pani do śmierci mojej dziewięciomiesięcznej siostrzenicy” – mówi jednej z nich. Druga pyta: „A ty jako siostra co zrobiłaś?”. – Odpowiedziałam, że wszystko, co mogłam – opowiada dziś kobieta.

Burmistrz: „Nic pod presją”

Siedem miesięcy po tragedii rodzina dźwiga traumę.

– Łapię się na nierealnych myślach, trwają ułamki sekund. Że zadzwoni Ania i powie, że wszystko jest w porządku – wyznaje jedna z sióstr.

Od ponad dwustu dni żyją między poczuciem winy a powracającymi jak natręctwo pytaniami: – Co jeszcze mogliśmy zrobić? Jakie zgłoszenie zrobiłoby wrażenie na policji? Na MOPS-ie? Mama i my łapałyśmy się przecież wszystkiego!

Anna W. pisze z aresztu listy. Do mamy, taty, dzieci. Że tego nie zrobiła. Że jak wyjdzie, to nadrobi stracony czas. – Tak jakby była oderwana od rzeczywistości – mówią siostry.

Organa badają sprawę. Prokuratura regionalna w Gdańsku (tam przeniesiono dochodzenie) informuje, że status podejrzanych mają oboje rodzice, choć w areszcie przebywa tylko matka.

Dochodzenie drugie toczy się „w sprawie” niedopełnienia obowiązków przez instytucje.

Warmińsko-Mazurski Urząd Wojewódzki już sprawę zbadał. Wnioski to liczne zaniedbania MOPS-u: brak wywiadu środowiskowego, analizy sytuacji rodziny, brak asystenta rodziny, niewszczęcie procedury Niebieskiej Karty.

Urząd Miejski (nadzorujący MOPS) odnosi się do kontroli ze zrozumieniem. Ale sam wewnętrzny audyt wykonał wiele miesięcy temu i nie doszukał się nieprawidłowości. Burmistrz zwolnił dyrektorkę MOPS-u, jednak dopiero w grudniu. Dymisje mających opiekować się Anną pracownic? Burmistrz czeka na raport nowej kierowniczki, niczego nie chce robić pod presją. Gdy pytam, czy w MOPS-ie zatrudniono nowych asystentów rodziny (zwolniona kierowniczka mówiła pół roku temu „TP”, że występowała o to od dawna, ale nie było funduszy), burmistrz odpowiada: nowa kierowniczka wystąpiła o dofinansowanie do Urzędu Wojewódzkiego. Ale na razie – ponad pół roku po tragedii – jest, jak było: jeden asystent na ponad 20 tysięcy mieszkańców...

Fundacja: „Nie chcemy powtórki”

Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę apeluje: „Nie chcemy, by kolejne dziecko zostało zabite”. Potencjalne przyczyny tej i podobnych tragedii można mnożyć – błędy ludzi, brak współpracy między instytucjami, pobłażliwość sądów i urzędników dla rodziców biologicznych stosujących przemoc – ale Fundacja skupiła się na systemowym konkrecie. Wysłała do prezydenta apel o „wprowadzenie prawnie obowiązującej procedury analizowania okoliczności wszystkich przypadków maltretowania dzieci – w szczególności (...) ze skutkiem śmiertelnym. To kluczowa procedura, stosowana w wielu krajach. Bo w Polsce – mówią eksperci – po każdej tragedii lecą głowy, pojawiają się szczątkowe wnioski. Ale nigdy się „nie spotykają”. Nie układają w spójny pomysł, jak łatać dziurawy system. Fundacji udało się doprowadzić do powstania grupy ekspertów przy prezydencie, która przygotowuje projekt ustawy. Do parlamentu ma szansę trafić w najbliższych miesiącach. Do systemowych zmian daleka więc droga. – Bardzo byśmy chciały, żeby ta tragedia była otrzeźwiająca. – mówią siostry Anny W. – Bo jeśli instytucje będą działać tak jak w Olecku, tragedia się może powtórzyć.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI będzie gościem Pawła Sulika w Popołudniu Radia TOK FM w środę 5 lutego o godz. 17.40.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

ANNA

Dziewit-Meller:
Kwestie duszy

Mamo, to prawda?! – zapłakana Basia stała pochylona nad moim telefonem, z którego dudniła reklama nowego radiowego podcastu o tematyce ekologicznej. Kanapka z masłem orzechowym zastygła dziecku w ręce, a po brudnej od pasty do zębów buzi płynęły łzy. – To prawda, że jest już koniec świata? Jest już po nas?!

Z telefonu płynęły bowiem informacje o nowej audycji, reklamowanej dramatycznym głosem spikera mówiącego o zagładzie planety, wymieraniu zwierząt i końcu wszelkiego życia. Nim zdążyłam go wyłączyć, w domu rozpętała się prawdziwa drama, pocieszanie pięciolatki zajęło dłuższą chwilę, więc finalnie wszyscy, dość roztrzęsieni, spóźniliśmy się do przedszkola, do szkoły i do pracy.

Wieczorem tego dnia, mimo intensywnej pracy nad wyprowadzeniem jej z żałoby po ginącej planecie, Basia przyszła do naszego łóżka, mówiąc, że gdy zamyka oczy, widzi, jak Ziemia się rozpada „na równe połówki, a mama znika". To była naprawdę wyrazista wizja, której wolałabym jej oszczędzić. Aczkolwiek nie wiem, czy była do uniknięcia.

Moja szkolna przyjaciółka, osoba religijna, co tydzień prowadzi dzieci na mszę do jednego ze śląskich kościołów. Powiedziała mi, że jej trójeczka przeżyła niedawno szok nie mniejszy niż moja córka, na którą spadła nagle cała groza apokalipsy klimatycznej. Najpierw, ze dwa miesiące temu, przypałętał się do nich piesek, poszukiwania właściciela nie przyniosły rezultatu, Rudi został więc z nimi, stając się szybko ukochanym domownikiem. Pewnego dnia, już po pojawieniu się Rudiego, dzieci podczas modlitwy wiernych na niedzielnej mszy postanowiły pomodlić się za swojego psa. Od celebrującego mszę księdza usłyszały jednak stanowcze „nie" – że za psa to jednak nie można, bo pies niestety nie ma duszy. Powiedzieć, że dzieci wpadły w otchłań rozpaczy, to nic nie powiedzieć. Nie tylko one jedne zresztą – szok wśród najmniejszych uczestników mszy był tak wielki, że jego echa dotarły w końcu do niechętnego modlitwie za zwierzęta księdza.

I nawet na nim ostatecznie zrobiły wrażenie. Bo gdy wybuchły pożary w Australii, dzieci w tym samym kościele zaczęły podczas modlitwy wiernych modlić się w intencji wszystkich ofiar tych potwornych wydarzeń – mieszkańców Australii, którzy tracili swoje domy, strażaków, ale także wszystkich ginących tam koali, kangurów i innych zwierząt. Dorośli obecni podczas tych mszy nie kryli poruszenia. Małe dzieci odzywające się do kościelnego mikrofonu uświadamiały im boleśnie, jak wiele rozumieją już z tego, co wydarza się w świecie, jak bardzo dotyka je to wszystko, co filtrują z szumu informacyjnego, jaki mają wokół siebie, jak wielka jest ich wrażliwość na zło. I przede wszystkim – jak bardzo wplątane są już w straszliwe sprawy dorosłych. Modlitwa za psa zdała się więc wszystkim absolutnie oczywistą. Za psa, kota, kangura, królik, pszczoły i ostatecznie za człowieka – żeby jakoś wspólnie przetrwali, mimo wszystko. Nasze dzieci coraz bardziej się boją, że nie przetrwają. Zatrzymajmy się nad tym, póki czas.

Amerykańskie Towarzystwo Psychologiczne już w 2017 r. publikowało efekty kolejnych badań nad stanem psychicznym dzieci i młodzieży, pogarszającym się wskutek obarczania ich często niedostosowaną do wieku wiedzą na temat zagrożeń klimatycznych. Psychologowie alarmowali: „Kiedy myślimy o zmianach klimatycznych, zdrowie psychiczne nie jest być może pierwszą rzeczą, która przychodzi nam na myśl. Amerykanie zaczynają lepiej rozumieć związki między kryzysem klimatycznym a ich wpływem na zdrowie fizyczne. Zauważają nasilające się ataki astmy, cierpią z powodu silniejszych alergii, ma na nich wpływ stres związany ze wzrostem odczuwalnych temperatur, obawiają się nowych chorób, zagrożenia huraganami, powodzią czy suszą. Związek zmian klimatycznych z pogarszającym się dobrostanem psychicznym społeczeństwa nie ulega najmniejszej wątpliwości".

Zwłaszcza kiedy mówimy o dzieciach i młodzieży. Cytowany przez „New York Times" psycholog John Fraser, szef New Knowledge, think tanku zajmującego się wpływem środowiska na zdrowie ludzi, mówi wprost: „ Wielu dorosłych rozmawiając z dziećmi o zmianach klimatycznych projektuje na nich swoje najgorsze obawy i najgłębsze lęki. To dzieci przeraża. Nie wypracowaliśmy niestety jeszcze żadnych dobrych kulturowych narzędzi, żadnych bezpiecznych sposobów na rozmowy z nimi o tych zagrożeniach".

Niezłomni Amerykanie, szukając jednak rozwiązań, stawiają przede wszystkim na budowanie więzi pomiędzy dzieckiem a naturą i mówią wyraźnie: straszenie zagładą planety jest stanowczo mniej skuteczne niż pozwalanie dzieciom na częsty kontakt z przyrodą. Tylko tak można wychować przyszłe pokolenia ludzi, które będą chciały zaangażować się w zmianę. I wcale nie trzeba od razu wyprowadzać się w głuszę, wystarczy uważnie przyglądać się życiu w najmniej spektakularnych jego formach – choćby ptakom żyjącym w mieście, owadom na balkonie, drzewom w parku. Warto wpuścić naturę w życie swojej rodziny.

Módlmy się więc, ile wlezie, za wszystkie gołębie na placu Konstytucji i na Rynku, za psy w naszych domach, koty na kanapach i osy latające wokół butelki soku. Jeśli tylko mamy duszę. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 280/19 postępowanie z wniosku Malwiny Koczorowskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Konarzewskiej, zm. 18 czerwca 2019 r., ostatnio zamieszkałej w Raszewach. W skład spadku po zmarłej wchodzi prawo do lokalu mieszkalnego położonego w Raszewach.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

JEZUS W BRUDNYCH SPODNIACH

Kościół w Polsce dał się podzielić politykom – mówi kardynał Michael Czerny. Stosunek do imigrantów stał się deklaracją „prawicowości" bądź „lewicowości" .

EDWARD AUGUSTYN Z RZYMU

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Kard. Michael Czerny w Pałacu Apostolskim, Watykan, 5 października 2019 r.

Najpierw widać gwóźdź. Zwykły, sczerniały od starości, zagięty, wystający na centymetr, może dwa. Był w desce, z której Domenico Pellegrino, sycylijski artysta, wycinał krzyż, i tak został. To resztki z łodzi rozbitej u brzegów Lampedusy. Jednej z tych, którymi dopływają – lub nie – imigranci z Afryki. Krzyż zamówił jezuita, o. Michael Czerny, podsekretarz Sekcji ds. Migrantów i Uchodźców w Dykasterii Integralnego Rozwoju Człowieka.

– Gwóźdź w krzyżu nie powinien dziwić – pisze mi w mailu Pellegrino, zapytany o symbolikę dzieła. – Ale ten tkwi w jego centrum, oddziela dwie części: dolną, w kolorze czerwonobrązowym, jak krew, i górną, niebieską, jak woda w Morzu Śródziemnym albo ściana grobu. Boli nasze oczy, wbija się w sam środek układu nerwowego drewna. Wyłowione z morza deski były jednocześnie słone i gorzkie. Farba wydobywa strukturę drewna, pomarszczoną jak stara mapa. Strużki, niczym ludzkie drogi, przecinają się, schodzą, rozbiegają w różne strony. Granice się zacierają.

Czerny dotarł do Pellegrina przez wspólnych znajomych, gdy dowiedział się o kardynalskiej nominacji i musiał pomyśleć o krzyżu pektoralnym. Chciał, by był nie tylko prosty i skromny, ale żeby stał się rozpoznawalnym symbolem jego misji. – To była jego inicjatywa – pisze artysta. – I on sam zainspirował mnie do poszukania materiału.

Jaskrawe kolory ostro odcinają się od białej koszuli kardynała. Gwóźdź przyciąga wzrok, drażni i niepokoi.

Rzeczywistość to nie problem

– Sam jestem uchodźcą – mówi kard. Czerny, gdy odwiedzam go w biurze na drugim piętrze Palazzo di San Callisto, wybudowanego w miejscu męczeńskiej śmierci papieża Kaliksta. Budynek położony jest na Zatybrzu, tuż obok bazyliki Santa Maria in Trastevere, ale administracyjnie należy do Watykanu (strefa eksterytorialna).

– Miałem dwa lata, gdy moi rodzice uciekli z Czechosłowacji do Kanady. Pewnie dlatego jestem tak wrażliwy na problem przymusowej migracji.

Matka kardynała miała żydowskich dziadków, w czasie II wojny światowej trafiła więc do obozu w Terezinie. Ojciec, który odmówił rozwodu „z Żydówką", został wysłany na przymusowe roboty. Babcia ze strony mamy zginęła w Auschwitz. Była ludową artystką. Jeden z jej rysunków – „Ucieczka do Egiptu" – kardynał wybrał na swój biskupi prymicyjny obrazek. W 1948 r. rodzice z dwuletnim Michaelem uciekli do Kanady. Przyjęła ich pod dach obca rodzina. Dziesięć lat później sami spłacili dług wdzięczności – przez pół roku gościli w swym domu uciekiniera z Węgier, który opuścił ojczyznę po upadku antykomunistycznego powstania.

Pochodzenie z Europy Środkowej to jeden z powodów zainteresowania kardynała sytuacją w naszym regionie.

– Cieszę się z tego wywiadu – mówi – bo dzięki niemu mogę dotrzeć do polskich, myślących katolików. Wasz kraj, podobnie jak i inne państwa Grupy Wyszehradzkiej, cierpi na silne upolitycznienie tematu migracji. Populistyczny dyskurs rozbija się o dwie kwestie: niezależności od Brukseli i zagrożenia tożsamości chrześcijańskiej Europy. To bardzo polityczne i instrumentalne podejście do tematu.

W odniesieniu do migracji kardynał nie używa słowa „problem". Mnie też kilka razy poprawia. Przypomina, że migracja to prawo człowieka. „Wszyscy jesteśmy migrantami" – to jego słowa. Każdy ma prawo, by szukać dla siebie i swojej rodziny najlepszego i najbezpieczniejszego miejsca do życia.

– Migracja to nasza rzeczywistość, nie problem. Problemem jest jedynie migracja wymuszona. Część ludzi musi porzucić swe domy, uciekać, szukać schronienia, czy to z powodu wojny, prześladowań, czy biedy. Te osoby wymagają naszej szczególnej troski. Jeśli ktoś jest w potrzebie, należy mu pomóc.

Czwarty ślub

Właśnie ten niewielki, ale najbardziej wrażliwy i bolesny ułamek migracyjnych ruchów jest przedmiotem zainteresowania jego urzędu: uchodźcy z krajów objętych konfliktem wojennym, przesiedleńcy, osoby zmuszone do emigracji z powodów ekonomicznych, ofiary handlu ludźmi, obcokrajowcy o nieuregulowanym statusie prawnym. Tak – ich sytuacja stanowi problem, ale nie dlatego, że sprawiają nam, dostatnim, zachodnim społeczeństwom kłopot, tylko dlatego, że łamane są ich podstawowe prawa.

Obronie praw najbiedniejszych i wykluczonych kardynał poświęcił ponad połowę życia (ma 73 lata). Najpierw w zakonie: w Kanadzie zakładał jezuickie Centrum Sprawiedliwości Społecznej, w Salwadorze był dyrektorem Instytutu Praw Człowieka na Uniwersytecie Środkowoamerykańskim (został tam skierowany przez przełożonych w 1989 r., gdy wojskowe komando zabiło sześciu jego współbraci pracujących na uczelni i zaangażowanych w pokojowe rozmowy z partyzantką), w Afryce koordynował pracę instytucji walczących z AIDS. W 2010 r. do Watykanu ściągnął go ghański kardynał Peter Turkson, przewodniczący papieskiej rady Iustitia et Pax. Gdy sześć lat później Turkson objął „ministerstwo" ds. integralnego rozwoju człowieka, Czerny został w nim podsekretarzem. ↦

1 września 2019 r., kiedy papież ogłaszał listę nowych kardynałów, Czerny był w São Paulo, w Brazylii, na kongresie ruchów ludowych. Nominacja go zaskoczyła, nie był przecież biskupem. Święcenia przyjął dopiero dzień przed otrzymaniem czerwonego biretu.

Pytam, dlaczego się zgodził, skoro – składając śluby w zakonie jezuitów – przyrzekał, że nie będzie ubiegać się o żadne urzędy i stanowiska w Kościele.

– I nie ubiegałem się – wyjaśnia z uśmiechem. – To prawda, w naszych konstytucjach jest, by nie przyjmować propozycji biskupstwa. Więc gdyby mnie o to zapytano, pewnie bym odmówił. Ale ja takiej propozycji nie dostałem. Papież po prostu mianował mnie kardynałem.

W herbie jezuitów jest monogram IHS, średniowieczna wersja skróconego zapisu imienia Jezus, i trzy gwoździe, którymi Chrystus został przybity do krzyża. To także symbol trzech ślubów zakonnych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa. Jezuici księża (bo są też bracia zakonni, bez święceń) na ostatnim etapie wieloletniej formacji składają jeszcze ślub czwarty: bezwzględnego posłuszeństwa papieżowi.

Populizm nie przejdzie

Dykasteria, w której pracuje, to młody urząd. Powstała z początkiem 2017 r. z połączenia czterech papieskich rad (Iustitia et Pax, Cor Unum, Duszpasterstwa Migrantów i Podróżujących, Duszpasterstwa Chorych i Służby Zdrowia). Sekcja ds. Migrantów i Uchodźców jest jej ważną częścią. Tak bardzo, że przewodniczenie tej strukturze pozostawił sobie – na razie tymczasowo – papież Franciszek. Kardynał Czerny podlega bezpośrednio jemu.

Sekcja pomaga Kościołom lokalnym w organizowaniu „korytarzy humanitarnych", dzięki którym udało się kilkuset uchodźców z obozów w Libii i Grecji przetransportować do Europy. Służy wiedzą i doświadczeniem w procesie aklimatyzacji i integracji przesiedleńców. Reprezentowała Watykan podczas negocjacji nad Światowym Paktem o Migracji. Propozycje Stolicy Apostolskiej – jak mówi kardynał – były podstawą tego dokumentu. Pakt został podpisany pod koniec 2018 r. przez 164 kraje. Polska była jednym z pięciu państw głosujących przeciw (12 krajów wstrzymało się od głosu).

Zna więc dobrze kontekst polityczny i społeczny decyzji podjętej przez władze naszego kraju.

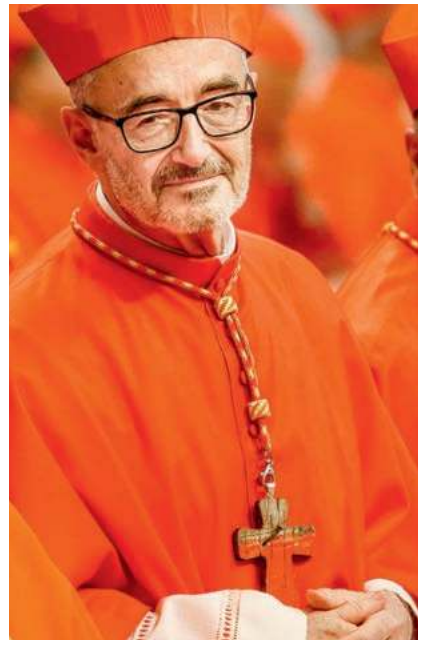

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

KARDYNAŁ MICHAEL CZERNY:

Duszpasterstwo nie może sprowadzać się jedynie do czynności liturgicznych i homiletycznych. Najlepszy przykład damy, jeśli naszą energię i środki przeznaczymy na pomoc potrzebującym.

– Rozumiem strach przed imigrantami – wyjaśnia. – To naturalna reakcja. Ale nieludzka. Bo strach nie może rządzić człowiekiem. Potrzebny jest, by zachować czujność, ale nie może wpływać na podejmowanie decyzji. Różni ludzie, zwłaszcza politycy, celowo go rozniecają. I nie tylko budzą nienawiść do obcych i dyskryminację, ale rozbijają społeczeństwo, prowadząc do starcia tych, którzy są wrażliwi na potrzeby innych, z tymi, którzy padli ofiarą populistycznych, wyborczych technik. Tyle że populizm nie ma przyszłości. Nie buduje rozwoju gospodarczego, nie tworzy wspólnoty. Prędzej czy później się skończy.

Ale najbardziej interesuje go i boli kontekst religijny.

– Niestety, nawet Kościół w Polsce dał się podzielić politykom – zauważa. – Przygotowując się do naszej rozmowy, znalazłem taką wypowiedź o. Macieja Zięby, dominikanina, z którą się całkowicie zgadzam: „Zastanawia fakt, jak szybko chrześcijanie w Polsce dali sobie narzucić język polityki, socjologii i ideologii w opisywaniu problemu uchodźców, odrzucając w ten sposób religijny opis rzeczywistości. Stosunek do tej kwestii bardzo szybko przestał być mierzony wiernością lub niewiernością Ewangelii, a stał się deklaracją »prawicowości« bądź »lewicowości«. A te kategorie nie mają nic wspólnego z Ewangelią".

Złe ideologie

A co – pytam – jeśli odmowę pomocy uchodźcom i emigrantom próbuje się tłumaczyć Ewangelią? Opowiadam, jak kilka lat temu, gdy fala uchodźców przetaczała się przez Węgry i wydawało się, że zaraz dotrze do polskiej granicy, albo później, podczas burzy, jaką wywołała propozycja relokacji, w dyskusjach cytowano fragment z Ewangelii według Mateusza: „Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom a rzucać psom".

– Tym, którzy zasłaniają się Ewangelią, chciałbym przypomnieć inne słowa naszego Pana, odnoszące się wprost do tej sytuacji: „Pójdźcie, błogosławieni Ojca mojego, weźcie w posiadanie królestwo, przygotowane wam od założenia świata, bo byłem przybyszem, a przyjęliście mnie". I potem: „Wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, mnieście uczynili".

Modne było też powoływanie się na „porządek pomagania" (*ordo caritatis*). Robili to nie tylko katoliccy publicyści, ale nawet niektórzy księża czy biskupi.

– Znam te tłumaczenia – mówi kardynał. – *Ordo caritatis* to scholastyczne pojęcie, z Summy Teologicznej św. Tomasza z Akwinu, przywoływane tu bez uwzględnienia całego kontekstu. Św. Tomasz pisał, że jeżeli nie można pomóc wszystkim, trzeba zapewnić pomoc tym, z którymi związało nas życie: rodzinie i bliskim. Przypomnę tylko, jak zakończył swoje rozumowanie. Pisze, że są jednak sytuacje, gdy trzeba bardziej pomóc nieznajomemu, który jest w skrajnej potrzebie, niż własnemu ojcu, który takiej potrzeby nie doświadcza.

– Myślę, że zasłanianie się cytowanym przez pana fragmentem Ewangelii, czy średniowieczną koncepcją scholastyczną to po prostu próba usprawiedliwiania własnej wrogości do migrantów z różnych grup etnicznych czy religijnych – mówi Czerny. Mam wielką nadzieję, że katolicy

w Polsce, którzy padają ofiarą złych ideologii, będą mogli odkryć siłę wiary w Jezusa Chrystusa. I że pełna bólu pamięć waszej dramatycznej przeszłości stanie się siłą dla chrześcijaństwa dojrzałego, miłosiernego i otwartego na innych.

Służenie Jezusowi

Pytam też, czy to dobrze, że Kościół zajmuje się bardziej mówieniem o prawach człowieka czy ekologii niż o Bogu? Czy nie wyręcza polityków albo organizacji pozarządowych? Czy jego podstawową misją nie jest troska o zbawienie wiernych?

– Troska o zbawienie wieczne bez troski o tymczasowe potrzeby braci jest nie tylko podejściem redukcyjnym, ale i sprzecznym z Ewangelią – odpowiada Czerny. – Doktryna katolicka nie oddziela duszy od ciała. Człowiek ewangelizowany nie jest bytem abstrakcyjnym. To konkretna osoba, uwarunkowana kwestiami społecznymi i ekonomicznymi. Przyjęcie do domu drugiego człowieka, obcego, biednego, głodnego, w brudnych spodniach czy koszuli, mówiącego innym językiem, to cenna okazja do spotkania i służenia samemu Jezusowi, który puka do naszych drzwi. My decydujemy, czy wpuścić go do środka, czy pozostawić na zewnątrz. Prawdziwe chrześcijaństwo, autentycznie przeżywane, daje radość służenia drugiemu człowiekowi, dzielenia z nim odpowiedzialności za jego los. Jestem przekonany, że czas, w którym żyjemy, to właśnie okazja do głębszego przeżywania naszej wiary.

– Papież Franciszek często mówi, że rzeczywistość jest ważniejsza od idei – kontynuuje kardynał. – Boże Słowo trzeba stosować w praktyce, poprzez dzieła sprawiedliwości i miłosierdzia. Zapominanie o tym, że Słowo Boże musi się odnosić praktycznie do rzeczywistości, w jakiej żyjemy, to budowanie na piasku, bujanie w obłokach, zamykanie się w sobie i gnostycyzm. Przez to nasze życie staje się bezowocne i jałowe.

A zatem nie ma innego sposobu głoszenia Ewangelii niż rozwiązywanie problemów społecznych?

– To najbardziej konkretny sposób. Tak uczy nas Kościół. Zaangażowanie w życie społeczne to najlepsze ćwiczenie z chrześcijańskiej doskonałości.

A może to po prostu, jak się czasem słyszy, obsesja papieża Franciszka?

– Wszystkich, którzy tak mówią, zachęcam do sięgnięcia po nauczanie Jana Pawła II. Nie rozumiem, dlaczego nie pamięta się, zwłaszcza w Polsce, jego gorliwego zaangażowania w międzyludzką solidarność? Czyżby Polacy nie zgadzali się ze swoim papieżem? Myślałem, że nie zgadzają się tylko z Franciszkiem. Co powiedziałby papież Wojtyła o wyzwaniach, przed jakimi stoi dziś Kościół? Czy mówiłby, że chrześcijaństwo to skarb, który należy chronić w naszych europejskich strefach komfortu? Czy raczej w kontekście przymusowej migracji widziałby okazję do spotkania z żywym Chrystusem? Jeszcze w 2000 r., w przesłaniu na Światowy Dzień Migracji, pytał: „W jaki sposób ochrzczeni mogą mówić, że przyjmują Chrystusa, jeżeli zamykają drzwi przed cudzoziemcem, który do nich przychodzi?”.

Kogo trzeba leczyć

Niemniej – zauważam – to ciągłe mówienie, że Kościół jest jak szpital polowy, staje się już przedmiotem żartów. Co zrobić, by to określenie nie było pustym sloganem? Jak wypełnić je treścią na co dzień, choćby w realiach zwykłej, polskiej parafii?

– Określenie „szpital polowy” odnosi się do każdej sytuacji, gdy spotykamy człowieka bezbronnego, poranionego, gdy mamy do czynienia z jego słabością i kruchością. Oznacza też, że Kościół ma służyć – niczym szpital na polu bitwy – wszystkim ludziom w potrzebie, bez rozróżniania na sojuszników i przeciwników. W praktyce duszpasterskiej takich krajów jak Polska oznacza to na przykład, że parafia ma za zadanie otoczyć opieką nie tylko swoich „rdzennych” mieszkańców, ale też osoby, które znalazły się na jej terytorium tymczasowo lub całkiem od niedawna, jak Wietnamczycy czy Ukraińcy, przyjeżdżający do was do pracy. Bez względu na to, czy są katolikami, czy nie.

Kardynał przekonuje, że posługa duszpasterska nie może sprowadzać się jedynie do czynności liturgicznych i homiletycznych. W parafialnej codzienności też trzeba stosować cztery zasady papieża Franciszka (po raz pierwszy sformułowane w przemówieniu na Międzynarodowym Forum „Migracje i pokój” w lutym 2017 r., a potem wielokrotnie powtarzane): przyjąć, chronić, wspierać, integrować. Odnoszą się do wszystkich osób wykluczonych i pozostawionych na marginesie społeczeństwa: bezdomnych, biednych, trwale bezrobotnych, chorych psychicznie, wychodzących z więzienia, ofiar przemocy, przedstawicieli mniejszości narodowych. Nie ma takiej wspólnoty parafialnej, w której by ich brakowało.

Ale „szpital polowy” jest nie tylko dla wykluczonych. Także dla wykluczających. Dla tych wszystkich, którzy chcieliby margines odgrodzić, zamknąć i ukryć przed swymi wrażliwymi oczami.

– Zadaniem Kościoła jest leczyć negatywne nastawienie do obcych i zmarginalizowanych – mówi kardynał i podsumowuje z goryczą: – Ich obecność jest niewygodna, bo burzy nasz mit postępu i rozwoju. Wciąż się nim szczycimy, zapominając, że i postęp, i rozwój dostępne są tylko nielicznym, choć zbudowano je kosztem wielu. Nasze siostry i nasi bracia, którzy wybrali się do naszego świata w poszukiwaniu raju, boleśnie się na nas zawiedli.

Uchodźcy w prowizorycznych obozach na Lesbos czy bezdomni na dworcach i ulicach polskich miast są jak sterczący gwóźdź w krzyżu mojego rozmówcy. Estetyczny zgrzyt, drażniący szczegół. Nie da się go nie widzieć, choćbyśmy odwracali wzrok. Nie można przestać o nim myśleć. Nie pozwala się przyzwyczaić i zobojętnieć.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Dzierżoniowie, w sprawie z wniosku Agaty Cieśli, zam. 58-200 Dzierżoniów, ul. Brzegowa 1a/13, sygn. akt I Ns 664/19, toczy się postępowanie o uznanie za zmarłego Piotra Cieślę, s. Jana i Weroniki z domu Szewc, ur. 11 września 1975 r. w Bielawie, ostatnio zamieszkałego w Dzierżonowie, ul. Brzegowa 1a/13, który opuścił miejsce swojego zamieszkania i prawdopodobnie wyjechał za granicę.

Sąd wzywa Piotra Cieślę, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia zgłosił się do tut. Sądu, gdyż w przeciwnym wypadku może zostać uznany za zmarłego. Ponadto Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o Piotrze Cieśli, aby w terminie 3 miesięcy od chwili ukazania się ogłoszenia przekazały je Sądowi.

Koledzy Franciszka

DOMINIKA MATEJKO Z BUENOS AIRES

Podążanie argentyńskimi śladami filmu „Dwóch papieży" pomaga zrozumieć, dlaczego Kościół Franciszka nie może być inny.

Myślisz, że się zgubiłeś? Nie przejmuj się, bo Bóg nie daje za wygraną" – mówi Bergoglio, grany przez Jonathana Pryce'a w pierwszej scenie filmu „Dwóch papieży". Rzecz dzieje się w 2005 r. Ówczesny arcybiskup Buenos Aires odprawia mszę na placu w stołecznej faweli. Nie po raz pierwszy.

Papież ze slumsów

Villa 31, mimo że znajduje się w samym środku argentyńskiej stolicy, jest odgrodzona od Buenos Aires wysokim na cztery metry murem. To największa dzielnica biedy w mieście. Zamieszkuje ją ok. 50 tys. osób, choć dokładną liczbę mieszkańców trudno oszacować. Tu nikt nie prowadzi statystyk ani nie wydaje pozwoleń budowlanych. Kanciaste, samozwańcze wieżowce burzą symetryczną architekturę boskiego Buenos. W powietrzu kłębi się dym spalonego mięsa, który miesza się z zapachem leżących w skwarze popołudniowego słońca śmieci. Lepiej oddychać płytko, żeby odór nie trafił prosto do żołądka. Sylwester 2019. Najgorszy dzień na wizytę w slumsach. Jak tłumaczy Brayan, mój doświadczony w ulicznej rzeczywistości towarzysz: – Dzisiaj wszyscy kradną, żeby „zamknąć noc" i dobrze zacząć Nowy Rok.

Przebrani za „lokalnych", w basenowych klapkach, z telefonami schowanymi głęboko, przemierzamy w poszukiwaniu śladów papieża wąskie, wydeptane przez mieszkańców ulice bez nazw. To właśnie Villa 31 była kiedyś miejscem często odwiedzanym przez obecnego biskupa Rzymu.

– Kiedy dołączyłem do ekipy *curas villeros* (księży ze slumsów) w 1999 roku, było nas dwunastu – opowiada w rozmowie z „Tygodnikiem" ojciec Guillermo Pablo Torre, wieloletni współpracownik Jorgego Bergoglia. – Tworzenie kościołów w slumsach było jednym z głównych priorytetów Jorgego.

Kościół narkomanów

Tam, gdzie gangi i bieda decydują o życiu lub śmierci, Bergoglio posyłał świeżo wyświęconych księży, takich jak Guillermo. Trudno umówić się z nim na rozmowę. Ma dużo zajęć. Równie trudno znaleźć jego parafię – główny kościół w Villa 31. Na mapach miasta, nawet tych z Google'a, parafia Cristo Obrero (Chrystus Robotnik) położona jest na skraju czegoś na kształt *terra incognita*. Dla ułatwienia umawiamy się więc na ulicy Mugica, która istnieje tylko w świadomości mieszkańców Villa 31. Dla paralelnej rzeczywistości Buenos Aires ulica Mugica jest tylko bezimienną bramą do getta.

Na twarzy Guillerma widać wyraźnie ostatnie 20 lat, jego koszula z koloratką pamięta obydwie dekady. Przed kościołem, schowanym pod wiaduktem drogi szybkiego ruchu, kilku mężczyzn już czeka na powrót Guillerma. Mężczyźni leżą na kamiennym podwyższeniu tuż przy wejściu do kościoła. Jak się dowiem chwilę później, kamienne podwyższenie, służące za legowisko i schronienie przed ostrym słońcem, to mauzoleum księdza Carlosa Mugici. Mężczyźni proszą o coś do jedzenia. Kiedy odchodzą, Guillermo mówi mi, że to nowo przybyli podopieczni Hogar de Cristo (HDC), organizacji działającej na rzecz osób uzależnionych od narkotyków, którą w 2007 r. założył wraz z innymi *curas villeros* przy wsparciu kardynała Bergoglia.

Ksiądz komunista

Guillermo dwa lata prosił Bergoglia, aby ten powierzył mu posługę w Villa 31. W ciągu ostatnich lat seminarium pracował w innej dzielnicy biedy, Bajo Flores. Potem został wysłany do, jak mówi, „normalnej parafii". Wtedy Jorge co jakiś czas zapraszał go na rozmowę.

„Nadal ci chodzi po głowie ten pomysł z zostaniem *cura villero*?" – pytał.

Chciał się upewnić, że to coś więcej niż przelotna manifestacja domniemanej odwagi. Bergoglio wiedział, że posyła go jak owcę między wilki. Wielu *curas villeros* nie dokończyło swojej posługi. Znany w całej Argentynie ksiądz Pepe musiał uciekać z Villa 31. Otwarcie mówił o handlu narkotykami i zdecydowanie wiedział za dużo. Ks. Mugica, którego imię nosi główna ulica w slumsach i na którego grobie odpoczywają podopieczni HDC, został zastrzelony w 1974 r. przez Triple A (Antykomunistyczny Sojusz Argentyński – prawicowe szwadrony śmierci). Mugica zginął, bo otwarcie popierał ludzi wykluczonych i kubańską rewolucję. Przez wojsko był uważany za komunistę. Dzisiaj to lokalny święty.

Guillermo zna historię tych księży. Wie, że z nim może być podobnie. Musi uważać, z kim rozmawia, co mówi. Nie może zadawać niepotrzebnych pytań. Ale nie mógłby być gdzie indziej.

– Ta praca to życie – tłumaczy Guillermo. – I jak w życiu są w niej rzeczy ciężkie i bardzo piękne. Ludzie w Villa 31 wyrażają swoją wiarę lepiej, niż ja jestem w stanie to zrobić. Dla mnie moi parafianie to rodzina.

W zakrystii trwają właśnie przygotowania do mszy. Co chwilę ktoś wchodzi:

NATACHA PISARENKO / AP / EAST NEWS

Prowizoryczne mieszkania zbudowane pod drogą szybkiego ruchu, przecinającą dzielnicę biedy Villa 31 w Buenos Aires, maj 2017 r.

dzieci śpiewające na mszy, kobieta, która posługuje, rozdając komunię, i bezpański pies. Nastolatka z papierosem w ręku schowanym za plecami pyta, czy ksiądz przyjdzie do jej sąsiadki, bo ta jest bardzo chora. W ciągu paru minut w zakrystii robi się spory harmider. Co chwila słychać „*hola padre*" (cześć, ojcze). Każdy coś chce, o coś prosi. Niektórzy przyszli pogadać. Jak w rodzinie. Guillermo mówi, że posługa w slumsach to nauka ewangelii w praktyce. Nie ma w niej logiki. Villa 31 to miejsce, w którym czasem wydaje się, że starczy jedzenia dla dwóch, a trzech wychodzi z obiadu najedzonych. Miejsce, w którym nocą dochodzi do strzelaniny, a rano cała ulica zrzuca się na pochówek.

– Matki, które straciły synów przez narkotyki, a mimo to patrzą na życie, widząc w nim sens, są dla mnie najlepszym przykładem tego, że życie i wiara to jedno – komentuje Guillermo.

María od herbaty

– W życiu bym nie pomyślał, że będzie mi dane pracować tu na stałe – Guillermo uśmiecha się szeroko, mówiąc tonem, jakim ludzie opowiadają o wygranej na loterii.

Kiedy idzie tutejszymi uliczkami, ludzie z daleka machają do niego i wołają go po imieniu. Przyznaje, że nie jest w stanie zapamiętać wszystkich parafian. Ma ich w końcu kilka tysięcy. – Jorge to pamiętał imiona wszystkich bez wyjątku – wspomina Guillermo. – Jak ostatnio byłem u niego w Rzymie, to wypytał o całą moją rodzinę. O każdego z osobna.

Tego, że Franciszek ma pamięć do ludzi, doświadczają wszyscy, którzy znali go jeszcze jako Jorgego. Przy innej okazji rozmawiałam z Carlosem, który przez dwa lata pracował dla Bergoglia przy pracach renowacyjnych w seminarium duchownym Collegium Maximum, i który podczas wakacji w Rzymie odebrał telefon od papieża: „Cześć, Carlos, tu Jorge. Słyszałem, że jesteś w Rzymie. Co u ciebie? Jak żona?".

Jorge zawsze znajduje i znajdował czas dla dawnych znajomych.

– Nawet jak miał ważne obowiązki, a my zapraszaliśmy go na jakąś uroczystość, to przychodził. Nigdy nie odmówił – opowiada Guillermo.

Po Villa 31 krążą anegdoty z czasów, w których Bergoglio przemierzał piechotą tutejsze uliczki. Dzięki niemu do legendy przeszła doña María – specjalistka od yerba mate, tradycyjnego argentyńskiego naparu z ostropestu paragwajskiego. Zawsze czekała na Jorgego w zakrystii z kubkiem gorącej yerby. Kiedy Jorge przekraczał granicę z Villa 31 pytał: „Gdzie jest María?".

– Czasem już dzwoniliśmy na mszę, ludzie w ławkach siedzieli, a Jorge z Marią w zakrystii zagadani sączyli yerbę – wspomina Guillermo.

María zmarła kilka lat temu, ale do dzisiaj wszyscy wspominają ją jako „Marię od yerba mate".

Błogosławiony grill

– Ludzie z Villa 31 mogą ci wybaczyć ludzkie błędy, ale nigdy nie wybaczą tego, że będąc księdzem odmówisz im rozmowy, sakramentu czy błogosławieństwa – tłumaczy Guillermo.

Za czasów Bergoglia, podczas uroczystości ku czci Jezusa z Mailín, ludzie zatrzymywali procesję, której przewodniczył kardynał, prosząc, żeby pobłogosławił ich domy. W zamian szykowali grilla.

– Jorge często siedział u kogoś w domu. Ludzie zapraszali go na obiad – wspomina Guillermo. – Niektórzy traktują takiego grilla z księdzem jako największe błogosławieństwo.

Jorge sam raz w tygodniu zapraszał swoich przyjaciół i współpracowników na przygotowany przez siebie obiad. Tu, w Argentynie, zawsze był wśród ludzi. Do tego stopnia, że zyskał przydomek „Sól gruboziarnista", bo, jak tłumaczą bywalcy słynnych obiadów u Jorgego – był wszędzie i we wszystkim. Jak sól.

Gdy rozmawiamy z Guillermem w kościele, za ścianą podopieczni HDC szykują grilla. Jest godzina 17. Pora obiadowa minęła już dawno, a do późnej argentyńskiej kolacji zostało jeszcze parę godzin. Ale to nieważne. Grill to stały element tutejszej kultury. Kiedy wychodzimy, ojciec Guillermo prosi jednego z mężczyzn, żeby odprowadził nas na przystanek autobusowy. Ten spogląda z rozrzewnieniem na czekający na niego posiłek i prosi kolegę, żeby popilnował mu talerza. Należy do tych ludzi, którzy wyglądają bardzo młodo i staro zarazem. Idzie szybko i mówi jeszcze szybciej. Ma niecałe 500 metrów na to, by opowiedzieć historię swojego życia. Jest z Urugwaju. Cała jego rodzina zginęła. On sam przez ponad 10 lat był bezdomny i brał narkotyki. Ojciec Guillermo zabrał ↦

go z ulicy. Dał nowe ubranie, nakarmił i pomógł przejść przez odwyk. Teraz on sam pomaga ludziom uzależnionym od narkotyków na terenie Villa 31. Jeszcze kilka godzin temu szukał chłopaka, który niedawno dołączył do HDC, a który zeszłej nocy uciekł w poszukiwaniu narkotyków. Znalazł go nieprzytomnego w jednym z zaułków.

– Wiedziałem, gdzie go szukać. Zawsze wiem – opowiada w pośpiechu.

Mało kto doświadcza brutalności życia w takiej dawce jak on. Mało kto, tak jak on, wychodzi z tego obronną ręką. Zwłaszcza tutaj.

Bubi, zrób doktorat

Na początku była impreza. Typowa latynoska fiesta na kilka tysięcy osób. Ojciec Jorge Seibold to intelektualista, syn emigranta z Niemiec. Kiedy dostał polecenie pracy w dzielnicy biedy w prowincji Buenos Aires, został zmuszony do przedefiniowania własnej, wystudiowanej wersji religijności. Kiedyś przyszedł do swojego lokalnego pomocnika, pana Laurentina, z pomysłem zorganizowania procesji. Ten powiedział: „Dobrze, ale pamiętaj Jorge, Boga chwali się z uniesionymi rękami i w tańcu".

Załatwił więc muzykę i zorganizował jedzenie. Procesja po raz pierwszy zorganizowana przez Seibolda w 1976 r. jest dziś jedną z najliczniejszych w tym rejonie Ameryki Południowej.

– To było przełomowe wydarzenie w mojej posłudze duszpasterskiej. Wtedy postanowiłem zająć się mistyką popularną – tłumaczy Jorge Seibold. Studiował z Bergogliem w seminarium.

– Na początku nie rozmawialiśmy ze sobą za dużo. Ja byłem rok wyżej, a do nowo przybyłych, takich jak Jorge, nie wypadało się odzywać – żartuje.

Po seminarium układ sił się odwrócił i to Bergoglio został jego przełożonym. Widząc potencjał intelektualny starszego kolegi, polecił mu: „Bubi, zrób doktorat z filozofii!".

Posłuchał. Przez lata pracowali w tym samym budynku, w którym teraz siedzimy. Okna wychodzą na patio, które było scenerią kilku filmów o Franciszku. Seibold opowiada, że medialny talent Bergoglia rozwinął się dopiero po tym, jak został papieżem. Jorge, jakiego pamięta, chodził zawsze bardzo skupiony, z surowym wyrazem twarzy. Momentami bywał oschły, bardzo oszczędny w słowach.

– Jak czyjeś intencje nie są jasne, to odpowiada krótko, zwięźle – komentuje Seibold.

Jorge, jakiego zna, długo zachowuje dystans. Podobnie jak on sam.

Podczas naszej pierwszej rozmowy, dwa lata temu, na pożegnanie dostałam od niego jeden z dwóch istniejących egzemplarzy pracy doktorskiej – tej napisanej z polecenia Franciszka – z podpisem „padre Seibold". Dwa lata później wręcza mi swoją najnowszą książkę, podpisuje i mówi: – Teraz już Bubi.

Bergoglio u Videli

Rozmawiamy o czasach dyktatury. Mówi się, że Franciszek w tym budynku ukrywał poszukiwane przez władze osoby. Pytam, czy coś wiedział.

– Podejrzewałem, że może być do tego zdolny, ale nawet będąc w tym samym budynku, nic nie zauważyłem. Później się dowiedziałem, że ukrywał tu kogoś, i że stąd organizował tym ludziom transport do Urugwaju – opowiada Jorge Seibold. – To były ciężkie czasy – podkreśla.

Do dziś niektórzy zarzucają Bergogliowi kontakty z władzą i to, że nie bronił innych jezuitów.

– Jorge nie jest Bogiem – komentuje Seibold. – Musiał przekonywać księży, żeby się nie wychylali. Chodziło mu o bezpieczeństwo, to budziło i nadal budzi w ludziach dużą podejrzliwość co do tego, na jakich warunkach wchodził w kontakt z ówczesną władzą.

Czasy dyktatury wojskowej wymagały od Bergoglia nieustannego balansowania pomiędzy dobrem a złem. Pomiędzy tym, co słuszne, a tym, co rozsądne.

Pytam, czy faktycznie bywał u Videli, przywódcy junty wojskowej. – Mogło tak być. To były inne czasy. Nie nam to oceniać. Zawsze trzeba patrzeć na kontekst – kwituje.

Kościół Franciszka

Praca w najbiedniejszych dzielnicach, lata życia w strachu o siebie i innych pod rządami dyktatury wpłynęły na to, że zarówno Seibold, jak i Bergoglio wykształcili w sobie szczególną wrażliwość na drugiego człowieka. To człowieka, a nie przepisy czy tradycję, stawiają w centrum swojej wizji duszpasterskiej.

– Czasami życie staje się niezwykle skomplikowane – przyznaje o. Jorge Seibold. – Nie możemy ewangelizować, bijąc w dzwony i czekając, aż wierni sami do nas przyjdą. Kościół katolicki musi się zaadaptować do nowych rzeczywistości, i to na wszystkich poziomach. Również na takich, o których dawniej się nie mówiło.

Ojciec Seibold twierdzi, że ewangelią nie należy straszyć – ona ma przynosić nadzieję. – Nie można komuś powiedzieć, że Bóg go potępi. Bóg podnosi i obejmuje z miłością.

W kraju Franciszka ewangelię realizuje się w działaniu, w kontakcie z ludźmi, przyjmując ich życie takim, jakie jest.

© DOMINIKA MATEJKO

TP

Kluby „TP" zapraszają na spotkania

BIELSKO-BIAŁA
▪ **poniedziałek, 10 lutego, godz. 17**
„Po dwóch latach od diagnozy. Czy nadal słabo rozumiemy siebie?". Gościem będzie prof. Rafał Matyja. Miejsce: Książnica Beskidzka (ul. J. Słowackiego 17a).

GLIWICE
▪ **wtorek, 11 lutego, godz. 18**
„O Kościele nie z tej Ziemi". Gościem będzie Mirosław Wlekły. Miejsce: Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

RZESZÓW
▪ **poniedziałek, 10 lutego, godz. 19**
„Dzieci z dworca Brześć". Gościem będzie Marina Hulia. Miejsce: Klasztor oo. Dominikanów (ul. Dominikańska 15).

WARSZAWA
▪ **czwartek, 6 lutego, godz. 19**
„Nauka i sztuka jako dialog. Czytamy Tischnera". Miejsce: Sala KIK, II piętro (ul. Freta 20/24A).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Przepis na sacrum

MARCIN CHODUŃ

Projekt nowego wnętrza kościoła dominikanów w Katowicach wywołuje skrajne reakcje wiernych: od zachwytu po zarzuty o nihilizm. Czy to coś mówi o naszej religijności?

ARCHIWUM DOMINIKANÓW W KATOWICACH

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA GAZETA

Powyżej: *Projekt nowego wnętrza dominikańskiego kościoła w Katowicach.*

Obok: *Spotkanie parafian z architektami w sprawie projektu. Katowice, 27 stycznia 2020 r.*

Siedzą zasłuchani – ona w białej czapce, on w grubym szarym płaszczu. Ot, para starszych ludzi w kościelnej ławie. Po chwili wstają i szybkim krokiem kierują się ku wyjściu.

Co sądzą na temat projektu przebudowy kościoła?

– To już nie nasz kościół, na pewno go zmienię – mówi kobieta.

– Czy widział pan kiedyś modernistyczny kościół pełen ludzi? – dodaje mężczyzna.

Ksiądz za ladą

Dwie godziny wcześniej, kościół parafii Przemienienia Pańskiego przy ulicy Sokolskiej w Katowicach. Właśnie zakończyła się wieczorna msza. Kościół jednak nie pustoszeje, przeciwnie: ludzi wciąż przybywa. Po kilkunastu minutach zapełniają się prawie wszystkie ławki.

Godzina dziewiętnasta, początek spotkania. Zebranych wita proboszcz i zarazem przeor katowickiego klasztoru dominikanów, o. Tomasz Golonka. Obok niego siedzą twórcy projektu przebudowy świątyni: architekci Tomasz Chmiel, Bartłomiej Nawrocki oraz Joanna i Wojciech Małeccy, a także dr hab. Grzegorz Hańderek z katowickiej ASP.

Przeor zaczyna od wyjaśnienia, dlaczego zmieniono pierwotny projekt autorstwa obecnego dzisiaj Tomasza Chmiela (odnowione wnętrze miało ulec jedynie pewnemu unowocześnieniu, charakter kościoła wzniesionego w latach 1974-77 miał zostać zachowany; jako budulec przewidziano drewno i cegłę – materiały dające wrażenie ciepła i prostoty).

Otóż po udostępnieniu projektu do przeora co rusz dochodziły głosy, że wśród wiernych jest jeszcze kilku architektów, którzy mają nieco inne pomysły na remont. Przeor spotkał się z nimi i dał się przekonać do zmian. Powstał zespół obecnych na dzisiejszym spotkaniu twórców, którzy wypracowali nową koncepcję wnętrza: bardzo oszczędnego w swej klarownej, modernistycznej formie. Jego wizualizację umieszczono 14 stycznia 2020 r. na stronie facebookowej klasztoru.

I rozgorzała dyskusja. Zdecydowana większość głosów była krytyczna. Pojawiły się porównania do targu rybnego czy magazynu nawozów w GS-ie, a nawet takie określenia jak „pustka" i „ohyda spustoszenia". Ktoś napisał: „Typowe posoborowie: Pan Jezus wyrzucony na bok, podobnie jak krzyż. Na środku ksiądz, który stoi jak za ladą sklepową".

Stąd decyzja przeora o zorganizowaniu spotkania: – Chcemy przedstawić założenia, które nam towarzyszyły przy tworzeniu projektu.

Rzeczy najważniejsze

Bartłomiej Nawrocki: – Kierowaliśmy się dwoma założeniami. Po pierwsze – że nie ↦

↦ budujemy od zera. To kościół szczególny, modernistyczny, i stworzenie czegokolwiek w opozycji do historii i tożsamości tego miejsca byłoby nieporozumieniem. Drugie założenie wynikało ze słów przeora: „Chcę, żeby od razu przy wejściu do kościoła było widać, co w nim jest najważniejsze, czyli ściana ołtarzowa, sam ołtarz i ambona".

Wojciech Małecki: – Rozpoczęliśmy od przeanalizowania przestrzeni, które widzieliśmy podczas naszych podróży czy znamy z fachowej literatury, a w których Bóg jest według nas bardziej obecny.

Początek prezentacji: na ekranie pojawiają się zdjęcia kościołów będących inspiracją dla twórców projektu: krypta św. Leonarda na Wawelu, średniowieczne kościoły w Hiszpanii, Słowenii, Niemczech, katedra Chrystusa Króla w Katowicach, dwa kościoły w Japonii, kościół św. Józefa w Zabrzu, opactwo Matki Bożej w Nowym Dworze. Surowość, minimalizm.

Joanna Małecka: – W tych przestrzeniach nie ma żadnych elementów, które rozpraszałyby widza dodatkowymi bodźcami. Oszczędność detali, prostota, spójność przestrzeni i materiałów. To wszystko bardzo nam się kojarzyło z charyzmatem dominikanów, którzy w swej regule nawiązują do pokory i umiaru.

Bartłomiej Nawrocki: – Doszliśmy do wniosku, że lekarska zasada *primum non nocere* jest wystarczająca, że w przestrzeni zaprojektowanej przez Tadeusza Łobosa w 1974 r. w trakcie przebudowy pierwotnego kościoła neogotyckiego wszystko, co potrzebne, już jest. Wystarczy tylko zacząć tę przestrzeń na nowo odkrywać.

Grzegorz Hańderek: – Przyświecała nam idea, aby każdy znak, nie tylko w postaci materialnej, również każdy gest, każde słowo były w tej przestrzeni silnie obecne, by nic ich obecności nie zakłócało. Postanowiliśmy więc skoncentrować się na celebracji Eucharystii. Bo przecież to jest główny powód naszej obecności w kościele jako budynku.

Tomasz Chmiel: – Najważniejszym elementem projektu jest ściana ołtarzowa. To złamana płaszczyzna, przypominająca złożone płótno czy korporał, przez co odsyła nas do krzyża rozumianego nie jako symbol wiary, tylko do krzyża, który pojawia się na całunie. Chodziło nam o coś, co będzie odwoływało się do konkretnego znaku, a jednocześnie poprzez swoją materię przeniesie nas do zupełnie innej rzeczywistości.

Głosy parafian

Koniec prezentacji. Kilka rąk w górze.

Mężczyzna siedzący w jednej z pierwszych ławek. Od dziecka w tutejszej parafii. Projekt mu się podoba, ale chciałby zapytać o przedmioty zgromadzone w kościele: co z nimi będzie? Co się stanie z obrazem ołtarzowym autorstwa Adolfa Hyły, co z korpusem krzyża, który pamięta początek kościoła, zbudowanego przecież jako neogotycka świątynia w 1875 r.? Co z tabernakulum? Czy, innymi słowy, zostanie uszanowane zaangażowanie ludzi, którzy tu od 150 lat się gromadzą? On pamięta np. dokładnie ludzi, którzy nosili kamienie na budowę istniejącego obecnie prezbiterium. Sam pomagał przy montażu ołtarza. Co z tym dziedzictwem będzie?

Zgłasza się kolejny chętny. Jest ministrantem. W projekcie podoba się mu zmiana formy prezbiterium: z półkolistego na proste. To bardzo ułatwi poruszanie się w tym miejscu.

Kolejny chętny: nie jest parafianinem, ale zamierza w tutejszym kościele w czerwcu wziąć ślub. Czy kościół będzie już wtedy gotowy?

Kobieta z tylnego rzędu, w białej czapce: – Jestem przedstawicielką starszego pokolenia, z rozmów z moimi kolegami i koleżankami wiem, że ten projekt starszym parafianom zdecydowanie się nie podoba. W takim wnętrzu można zrobić salę gimnastyczną albo teatr, ale nie kościół.

Mężczyzna w piątej ławce: – Ja też jestem starszym parafianinem i chcę powiedzieć, że wszyscy przychodzimy do kościoła, żeby się modlić. I że nam nie potrzeba takiego wnętrza, w którym nie będzie obrazów czy krzyża. Chcielibyśmy naprawdę czuć, że to jest kościół, a nie jakaś hala, w której nawet tabernakulum nie jest na środku. Przyzwyczailiśmy się do ładnego, złotego tabernakulum pośrodku ściany ołtarzowej. Co w nim złego?

Kobieta na ławce pod ścianą. Przedstawia się krótko: Ewa Chudyba, specjalista ds. edukacji i promocji w Muzeum w Gliwicach: – Modernizm w ogóle nie jest najlepszym pomysłem na kościół. Kościół powinien być przede wszystkim kościołem. Tutaj o wiele większy nacisk kładzie się na modernistyczny charakter architektury niż na samo miejsce. A przecież kościół to coś więcej niż budynek, to jest dom Boży. Tu jest Bóg. Co z tymi parafianami, którzy nie czują estetycznego charakteru tego miejsca? I kwestia obrazów: dlaczego ma ich nie być? Mnie ikony na przykład bardzo pomagają. W internecie mnóstwo ludzi prosiło o choć jedną ikonę. Bo Chrystus nie wcielił się w jakiś znak, tylko w czło-

POŻEGNANIE

Ś.† P.

Wiesław Müller

1929–2020

Zmarł 29 stycznia 2020 roku w Lublinie.
Profesor KUL-u,
wspaniały pedagog, dobry mąż, ojciec, dziadek i pradziadek.

Pogrążona w żalu

RODZINA I PRZYJACIELE

POŻEGNANIE

Głęboko poruszeni śmiercią Isi

Marii Kott z domu Kłoczowskiej

składamy całej Rodzinie wyrazy współczucia.

STROJNOWSCY

wieka. My czcimy nie krzyż, tylko Chrystusa.

Kolejny mężczyzna: – Ja też chciałem zapytać o tabernakulum: dlaczego ono ma być na boku? Przecież to dom Jezusa, a Jezus powinien być w centrum.

Kobieta z tylnych rzędów: – Podczas dyskusji tutaj i na Facebooku podkreśla się, że kościół tworzą ludzie. Dlatego warto byłoby wziąć pod uwagę głosy krytyczne, bo to jest przestrzeń dla wielu ludzi. Może są jakieś rozwiązania, które pomogą osiągnąć większy konsensus.

Starsza parafianka: – Może taki kościół będzie się podobał młodym ludziom. Ale my, starsi, żałujemy na przykład, że w nowym wnętrzu nie będzie głównego krzyża na ścianie ołtarzowej. A on dla nas jest bardzo ważny.

Naczynie do wypełnienia

Niewielka sala w podziemiach kościoła. Przy stole twórcy projektu i przeor.

– Czy ojciec nie obawia się, że może z powodu nowego wnętrza kościoła stracić część wiernych?

O. Tomasz Golonka: – Ja co niedzielę wychodzę celebrować mszę świętą i głosić homilię. Patrzę na zgromadzonych ludzi i za każdym razem się boję, czy za tydzień oni znów przyjdą do kościoła. I to wcale nie zależy od przestrzeni, w której się gromadzimy. Jednym ona będzie na pewno odpowiadać, innym nie.

– Czy takie różne reakcje mogą być odbiciem różnych rodzajów duchowości?

– Tak, można na to z pewnością spojrzeć jak na rozmowę o rozumieniu wiary i rodzajach duchowości. Na czym ta różnica polega? Widzę tu dwa poziomy. Pierwszy to według mnie ludzie, którzy uważają, że Sobór Watykański II był zwykłą pomyłką. Dla nich proponowana przez nas przestrzeń będzie nie do przyjęcia. Na drugim poziomie są ci, którzy traktują religię jako obronę przed światem, przed nimi samymi, przed jakimiś demonami, które gdzieś tam harcują. Oni też będą mieć trudności. Natomiast dla ludzi, którzy nie boją się siebie ani świata i którzy nie widzą w swoich słabościach demonicznych sił, przestrzeń ta będzie miejscem spotkania z samym sobą, z Bogiem takim, jakim On jest, z własnym wnętrzem.

Wojciech Małecki: – Ta przestrzeń to po prostu naczynie do wypełnienia. Usunięto z niej wiele elementów, żeby mógł ją wypełnić Bóg.

Z ascetyczną przestrzenią bez zbędnych detali jest jak z ciszą. Każdy za nią tęskni, ale nie każdy jest na nią gotowy.

O. Tomasz Golonka: – Kościół jako budynek jest przecież zasadniczo pusty. Dopiero podczas liturgii zostaje wypełniony wiernymi i obecnością Pana.

Grzegorz Hańderek: – To jest tak jak z ciszą. Każdy za nią tęskni, ale nie każdy jest na nią gotowy.

Joanna Małecka: – A może ta przestrzeń jest dla niektórych trudna do zaakceptowania, bo w tradycyjnej, figuratywnej przestrzeni sakralnej mamy podaną na tacy pewną definicję i obraz Boga. Nie musimy nawet zagłębiać się w siebie, żeby Go odnaleźć. Po prostu patrzymy na gotowe obrazy.

O. Tomasz Golonka: – Pamiętam serial Franca Zeffirellego „Jezus z Nazaretu". To była wielka ewangelizacja. Ale jednocześnie wiele osób myślało, że Pan Jezus wyglądał istotnie tak, jak w tych filmach. A przedtem każdy musiał sobie wizerunek Jezusa wyobrażać. I my taki rodzaj trudniejszej duchowości właśnie proponujemy.

Właściwy Kościół

Wedle krakowskiego dominikanina o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego, duszpasterza i filozofa, z wykształcenia historyka sztuki, surowa przestrzeń zaprojektowana dla kościoła w Katowicach jest propozycją pójścia w głąb siebie. Duchowny uważa jednak, że na głównej ścianie świątyni powinien zawisnąć wysokiej klasy, duży obraz przedstawiający Przemienienie Pańskie. – Taki, na którym można będzie zatrzymać wzrok. Bez niego wierni mogą mieć trudności ze skupieniem się. A przecież ma to być też miejsce osobistej modlitwy.

– Tego rodzaju uproszczenia przestrzeni łatwiej akceptują ludzie młodzi – kontynuuje o. Kłoczowski – którzy generalnie wolą, żeby w świątyniach było mniej ozdób, złoceń, elementów baroku ludowego czy mieszczańskiego. Dla ludzi, którzy szukają pewnego rodzaju „gotowców" w kościele, propozycja takiej ikony wydaje się dobra. Najlepiej takiej, która przedstawia właśnie Przemienienie Pańskie. Bo przecież chrześcijaństwo jest w swej istocie przemianą duchową, metanoią.

Ewa Klekot, antropolożka z Instytutu Projektowania Uniwersytetu SWPS: – Parafianie, którzy nie chcą nowego, modernistycznego wnętrza, są przyzwyczajeni do innego rodzaju religijności. Wyrastali w pewnym duchu rozumienia bytów metafizycznych i kontaktu z nimi. Teraz tracą poczucie bezpieczeństwa. Chwieje się jego podstawa.

Niektórzy chodzą do kościoła bardziej z powodów społecznych niż religijnych. – Takie osoby są bardziej przywiązane do formy, tradycyjny wystrój daje im poczucie zakorzenienia i stabilizacji. Natomiast ci, którym ta zmiana odpowiada, są już prawdopodobnie przyzwyczajeni do innej estetyki, w założeniu prostszej formalnie. Może się w niej manifestować duchowość, nazwijmy ją posoborową, nastawiona na pewną swobodę formy kontaktu z absolutem. W Europie, zwłaszcza we Francji, jest sporo kościołów modernistycznych akceptowanych przez wiernych i wyrażających właśnie ducha katolicyzmu posoborowego: wspólnotowego, ascetycznego w formie oraz wolnego od przegadanych symbolicznych treści. Wierni mogliby powiedzieć: po co nam obrazy na ścianach, skoro to my mamy sprawić, by Bóg był między nami?

Do przodu

Co dalej? Wedle o. Golonki projekt będzie realizowany w obecnym kształcie. Przeor chce dalej rozmawiać i ma nadzieję, że sceptyczni parafianie przekonają się do niego ostatecznie, gdy nowe wnętrze zostanie już ukończone.

– Bardzo się cieszę, że mieliśmy na tym spotkaniu okazję wysłuchać ludzi z naszej parafii, którzy odczuwają ból z powodu nadchodzącej zmiany. Rozumiem, że cierpią, ponieważ zabiera się im krzyż, drogę krzyżową czy obraz Pana Jezusa, i im współczuję. Ale dajemy im coś w zamian, czego na razie jeszcze nie mogą poczuć. No, ale idziemy do przodu.

© MARCIN CHODUŃ

PÓKI MY ŻYJEMY, ONA ŻYJE W NAS

Gdy Władimir Putin tłumaczył na telekonferencji, dlaczego Rosja chce wchłonąć Białoruś, w Grodnie punkowy zespół Dzieciuki ostrzył gitary.

TEKST MACIEJ PIOTROWSKI Z GRODNA, ZDJĘCIA MAŁGORZATA KAWKA

Był koniec grudnia 2019 roku, kiedy prezydenci Białorusi i Rosji, Aleksandr Łukaszenka i Władimir Putin, spotkali się w Sankt Petersburgu, aby prowadzić kolejne negocjacje o coraz ściślejszej integracji obu krajów (czyli: o coraz silniejszym podporządkowaniu Mińska).

W tym samym czasie w białoruskim Grodnie muzycy z punkrockowego zespołu Dzieciuki wieźli instrumenty do klubu Crazy Dog. Wkrótce w dawnej grodzieńskiej fabryce włókienniczej ryknął białoruski punk. Był to pierwszy koncert tego zespołu w rodzinnym mieście jego twórców – choć kapela istnieje już od siedmiu lat.

Co łączy spotkanie przywódców Rosji i Białorusi – oraz trwające dziś „przeciąganie liny" między Moskwą a Mińskiem – z historią siedmiu outsiderów spod polsko-białoruskiej granicy?

Piotr Dudanowicz, animator białoruskiej kultury w Polsce, niesiony przez tłum na koncercie Dzieciuków. Klub Crazy Dog, Grodno, 21 grudnia 2019 r.

Punk nad Niemnem

– Grodno od lat 90. XX w. było stolicą białoruskiego punk rocka – opowiada mi Piotr Dudanowicz, animator białoruskiej sceny w Polsce, który zaprosił nas na koncert Dzieciuków. – Scena punkowa na Białorusi w pewnym momencie składała się z dwóch środowisk: grodzieńskiego i ogólnobiałoruskiego. A to wszystko dzięki Stasowi Poczobutowi, kreatorowi nadniemieńskiego punka.

Piotr Dudanowicz opowiada, jak sprowadzał zespoły z Grodna na koncerty do Suwałk, Warszawy i innych miast Polski. – Zapraszało się pięciu chłopaków, ale dzięki temu mogły wystąpić ze cztery kapele. Wprawdzie grał niby jeden skład, ale zamieniał się gitarzysta, więc występował już drugi – mówi.

W pewnym momencie Stas Poczobut (prywatnie młodszy brat Andrzeja Poczobuta, korespondenta „Gazety Wyborczej") wyjechał z Grodna – najpierw na skłot Rozbrat do Poznania, a później do Petersburga. Siłą rzeczy grodzieński punk zaczął umierać śmiercią naturalną.

Wtedy jednak, w wyniku transformacji kolejnych kapel, powstały Dzieciuki. To jest już raczej postpunk: z akordeonem, z białoruską dudą, czasem z gitarą akustyczną. Niekiedy zahaczający o folk, ale często potrafi wejść w rejony ciężkiego hardcore'u.

Geopolityka i poziom artystyczny

Przed siedem lat swojej historii zespół zagrał już setki koncertów. Nie zawsze mogli grać na Białorusi. W takich momentach występowali – jak każdy opozycyjny czy alternatywny białoruski zespół – na Festiwalu Basowiszcza w Polsce (od 1990 r. odbywa się co roku w lesie koło wsi Gródek, w powiecie białostockim). Mieli też trasy klubowe po Polsce, grali na Ukrainie.

Z czasem zaczęli występować w swoim kraju – w Mohylowie, Mińsku, Homlu. Ale nigdy nie grali w domu, w Grodnie. „Niski poziom artystyczny" – taką opinię wydawali grodzieńscy urzędnicy, na podstawie Kodeksu Kultury Republiki Białoruś.

Chłopcy z Dzieciuków niewiele mogli na to poradzić. Mogli tylko – ironicznie – wypisać sobie tę formułkę na koszulkach.

Jednak tu na scenę weszła geopolityka. Prezydent Łukaszenka w ostatnich miesiącach chciał ponoć udowodnić prezydentowi Putinowi, że z integracją Białorusi i Rosji, którą wymarzył sobie rosyjski władca, nie będzie tak prosto. Że ruchy niepodległościowe, w tym alternatywna młodzież, działają w Mińsku, Mohylowie, Homlu. A nawet i w Grodnie.

W ramach swoistej odwilży zaczęto pozwalać na więcej – i opozycji politycznej, i środowiskom alternatywnym. I w stolicy, i na prowincji. Więc tym razem Dzieciuki dostali zgodę – i mogli zaprosić swoich przyjaciół na pierwszy oficjalny koncert w Grodnie, w klubie Crazy Dog.

Kastuś w dzielnicy Lenina

Dawna fabryka nitek – a ściśle rzecz biorąc: syntetycznego włókna – na ul. Gorkiego 91 ciągnie się przez cały kwartał dzielnicy im. Lenina w Grodnie. Fabryczny budynek wydaje się być dłuższy niż mrówkowiec naprzeciw Dworca Wschodniego w Warszawie, spod którego wyruszyliśmy na koncert dzień wcześniej.

Po tym, jak zakład podupadł, jego poszczególne części zaczęto wynajmować na inne cele. Jest tu galeria handlowa (choć bardziej przypomina bazarek żywcem wyjęty z końca polskich lat 90.), sklep budowlany i oddział banku. Jest też sporo pustostanów, dawnych magazynów. Wszystko pod jednym adresem, więc przy poszukiwaniach można zwątpić, czy na pewno to tam znajduje się pub, w którym ma odbyć się koncert Dzieciuków.

Na szczęście, jak po nitce do kłębka, za magazynem z drewnem i postojem taksówek znajdujemy poszukiwany klub. Wewnątrz – cała załoga grodzieńskich punkowców, opozycjonistów i outsiderów. Przy wejściu: sklepik z punkowymi płytami, z biało-czerwono-białymi flagami (narodowe kolory niepodległej Białorusi, dziś zakazane), z koszulkami z wizerunkami nie tylko zespołów, lecz także – historycznych bohaterów tego kraju.

Słychać już krzyki: „*Żywie Biełaruś!*". Niech żyje Białoruś!

Są też oni: siódemka punkowców, nerwowo chodzących po scenie w oczekiwaniu pierwszego koncertu w swoim mieście.

Ze ściany patrzy na nich Kastuś Kalinauski, czyli Konstanty Kalinowski – ten 26-letni powstaniec styczniowy, ↦

komisarz powstańczego Rządu Narodowego na województwo grodzieńskie, ujęty przez Rosjan i powieszony w Wilnie w 1864 r. jest dziś bohaterem narodowym białoruskiej opozycji.

Ponoć niektórzy jej weterani, starsi wiekiem, narzekają – że na Dzieciukowej grafice Kastuś wygląda bardziej jak pirat, i że tak się nie godzi. Ale to tylko forma ekspresji. Muzycy podchodzą do swojej historii z pietyzmem.

– Mamy szczęście, że za naszych czasów znaleźli Kalinauskiego i innych powstańców – mówi wokalista Aleś Dzianisaŭ.

Ukrainiec nie „chachoł", Polak nie „pszek"

Miejsce pochowania Kastusia i innych powstańczych dowódców straconych w Wilnie do niedawna było nieznane. Odnaleziono je dopiero w 2017 r., podczas prac na stoku Góry Giedymina. 22 listopada 2019 r. szczątki Kalinauskiego i kilkunastu jego towarzyszy pochowano uroczyście na cmentarzu na Rossie – podczas wspólnej uroczystości litewsko-polsko-białoruskiej.

Równolegle Dzieciukom nieobca jest też ironia. Śpiewają o Stanisławie Auguście Poniatowskim, że był prawdziwym Białorusinem, bo „oddawał wszystko na lewo i prawo". Daleko im do nacjonalizmu. „Dla nas Ukrainiec to nie *chachoł*, Polak to nie *pszek*" – śpiewają, nawiązując do pogardliwych określeń obu tych narodów w języku rosyjskim.

Równocześnie chcą wspierać białoruski rozwój narodowy. Po piosence „Smutne reggae" ogłaszają minutę ciszy – dla tych, którzy zginęli w „Kuropatach, Katyniu i Chatyniu".

Kuropaty koło Mińska to miejsce egzekucji przeprowadzanych przez NKWD w latach 1937-41, a Chatyń to białoruska wieś spacyfikowana przez Niemców w 1943 r.; podobieństwo pisowni jej nazwy w języku angielskim do Katynia wykorzystywała sowiecka propaganda, aby podkreślaniem cierpień obywateli sowieckich przykryć na Zachodzie zbrodnię katyńską.

„Za naszu i waszu swabodu"

Specjalnych odniesień do aktualnej rzeczywistości politycznej nie słychać. Zespół deklaruje się wszak jako apolityczny. Zresztą dla zgromadzonej publiczności mniej istotne są chyba powody, które przyczyniły się do wydania pozwolenia na koncert. Raczej ważne jest, że takie święto się odbywa i można się spotkać, wspólnie pośpiewać i pójść w pogo.

A jednak... Z piosenki na piosenkę emocje narastają i impreza przekształca się w coś więcej niż punkowy gig. W pewnym momencie ze sceny padają i takie słowa: „Póki my żyjemy, to żyje Białoruś. Miejmy nadzieję, że także ci, którzy stoją pod czerwono-zielonym sztandarem, też to zrozumieli i coś takiego czują" – krzyczy do publiki wokalista Aleś (zielony i czerwony to kolory obowiązującej dziś flagi białoruskiej, nawiązującej do tej, jaką miała Republika Białoruska w składzie Związku Sowieckiego).

Rozmawiam z Alesiem po koncercie. Jeszcze nie ochłonął z emocji: – To była euforia. O co naprawdę chodziło, zrozumiem dopiero jutro.

Wcześniej mówił tylko o zachwycie, który towarzyszył wchodzeniu na scenę, gdy poczuł, że jest u siebie, idąc wśród znajomych twarzy i przybijając piątki zgromadzonym.

– Zaśpiewaliśmy więcej piosenek, niż zgłosiliśmy urzędnikom. Jeszcze nie wiem, czym to się skończy – mówił mi Aleś.

Podobno wśród publiki byli ludzie, którzy kontrolowali i nagrywali koncert.

– O władzach, o komunistach, o KGB: o tym śpiewać nie powinniśmy. No cóż, przyjdzie zapłacić mandat: połowę my, połowę organizator – powie Aleś.

Pytam Piotra Dudanowicza, jak to jest z kontrolą KGB na koncertach (białoruska tajna policja nosi taką samą nazwę jak w czasach sowieckich). – Kagiebiści byli na pewno, ale gdybyś się ciągle zastanawiał, kto to był i gdzie, tobyś zwariował – odpowiada.

Odnotujmy więc, że na koncercie, oprócz kagiebistów, byli też ludzie w koszulkach z „Pogonią" (herbem Wielkiego Księstwa Litewskiego, a w latach 1991-95 Republiki Białoruś, dziś używanym przez opozycję) i biało-czerwono-białą flagą. Byli w koszulkach Misfits, Dezertera, NRM. Byli punkowcy z Antify, byli starzy białoruscy opozycjoniści. Była dziewczyna, która otworzyła sklep z książkami dla dzieci po białorusku. Była rodzina z dziećmi znającymi teksty Dzieciuków na pamięć, proszącymi zespół o piosenkę „Czorny chleb i garbata" (Czarny chleb i herbata) – *cover* polskiego „Czarnego chleba i czarnej kawy".

Euforia poniosła i zespół, i publikę, która w pogo, przy piosence „Tadewusz Kas'cjuszka" (Tadeusz Kościuszko) krzyczała: „*Za naszu i waszu swabodu*".

Po lewej: Kola Palako – akordeonista Dzieciuków. Ich muzyka łączy nurty punkowe z brzmieniami folkloru miejskiego i wiejskiego.

Po prawej: Dzieciuki na scenie Crazy Dog. W tle biało-czerwono-biała flaga narodowa i „piracki" portret Kastusia Kalinowskiego, dowódcy powstania styczniowego na terenach obecnej Białorusi.

W tym tłumie wydawało się, że zaraz wszyscy ruszą w bój o Białoruś, razem z „chłopcami bałachowcami" (żołnierzami oddziałów dowodzonych przez Stanisława Bułaka-Bałachowicza, walczącymi w latach 1918-20 przeciw Armii Czerwonej, także po stronie Wojska Polskiego) czy „leśnymi braćmi" – jak na Białorusi i w krajach bałtyckich nazywa się partyzantów walczących po 1944 r. przeciw władzy sowieckiej. O jednych i drugich też śpiewają Dzieciuki.

Kraj na sprzedaż

Na zewnątrz jednak, po wyjściu z klubu, dzielnica niosąca wciąż imię przywódcy bolszewików jest tak samo szara jak wcześniej.

W jednej z najciekawszych piosenek, „Kraj na sprzedaż", Dzieciuki śpiewają o kraju „wolności, wieczorem na kuchni". Wers mógłby traktować również o swobodzie w piwnicznym klubie na tyłach fabryki włókienniczej. – Młodzież to jeszcze do klubu wyjdzie, ale na protest już raczej nie – komentował po koncercie jeden ze starych zgorzkniałych opozycjonistów.

„Kraj wystawiony na sprzedaż / Prawie za darmo / Cały kraj – a co, mało?" – mówi refren. Dalej jest o państwie paradoksów, za które „walczyć pójdą zdrajcy", o kraju „wyszywanki koloru khaki". Śpiewają w niej o kraju „opozycji z niezrozumiałą pozycją", kraju „prozaika, który pisał wiersze", kraju „posłów wybranych na wieczność", o „niewolnikach zatrudnianych na kontrakty".

Aleś opowiada, że napisał ją ponad dwa lata temu, nie sądząc, że jej aktualność tylko wzrośnie: – Myślałem o tym, że jest u nas za dużo ludzi, którzy coś między sobą dzielą. A za mało tych, którzy zastanawiają się nad tym, że jak wszystko podzielimy, to już nic nie zostanie. Wtedy już nie będzie tego kraju.

Pytam, czy sądzi, że Białoruś zostanie w końcu naprawdę sprzedana. I czy jednak poza tym klubem jest jeszcze ktoś, kto rzeczywiście chciałby go bronić.

Tydzień przed koncertem Dzieciuków w wielu miejscach w Białorusi odbyły się demonstracje w obronie niepodległości i przeciw wchłonięciu przez Rosję. Władze ich nie tłumiły.

Niestety, jak mówi Aleś, w 380-tysięcznym Grodnie na placu zgromadziło się raptem ok. 200 osób. – Ludzie się boją. Ale i Łukaszenka się boi. To bardzo złożona gra. Dziś Łukaszenka w jakiś sposób jest gwarantem niepodległości Białorusi. On balansuje w rozmowach z Putinem, próbuje rozgrywać niepodległość – mówi muzyk.

– Jeśli dojdzie do integracji z Rosją, będą tacy, którzy spróbują stawiać opór. Część emigruje, ale większość prawdopodobnie przystosuje się do nowej rzeczywistości – twierdzi Piotr Dudanowicz.

Pytam Alesia o jego słowa z koncertu: o nadziei.

Tłumaczy: – W rządzącej ekipie są ludzie, którzy myślą o dłuższej perspektywie niż nasze czasy, niż rządy Łukaszenki. Wierzę w to. Nie wierzę we władzę, ale w ludzi. Wielu dinozaurów białoruskiej opozycji mówi, że wybuchnie bunt, ale wydaje mi się, że większość ludzi będzie milczeć. Mam jednak nadzieję, że ostatecznie ludzie pomyślą, że dobrze żyć w swoim domu, a nie w domu sąsiada.

© MACIEJ PIOTROWSKI

MACIEJ PIOTROWSKI *jest animatorem kultury na wschodzie Polski, działaczem Stowarzyszenia Folkowisko, w ramach którego współtworzy portal translatorski Rozstaje.art; współpracował przy książce „Ogień Majdanu" Fundacji Ośrodek Karta.*

MAŁGORZATA KAWKA *jest z wykształcenia kulturoznawczynią, z zawodu fotografką. Łączy obie pasje, zbierając historie głównie na wschód od Wisły.*

Fiński młynek szczęścia

PATRYCJA BUKALSKA

Ten kraj przoduje w rankingach szczęścia, ma system edukacji uważany za wzorowy oraz młodą i energiczną panią premier. Dlaczego wielu ludzi w Europie o lewicowych poglądach patrzy z nadzieją na Finlandię?

Sanna Marin, 34-letnia socjaldemokratka, stanęła niedawno na czele rządu w Helsinkach po tym, jak do dymisji podał się jej poprzednik, który na stanowisku spędził zaledwie pół roku. Świat zachwycił się młodą, postępową polityczką i faktem, że także pozostałymi partiami z koalicji rządzącej kierują kobiety.

Marin nie zaczyna jednak z czystą kartą: problemy, z którymi zmagał się poprzedni rząd, pozostały – w tym spór między pracodawcami a związkami zawodowymi. Jej rząd obiecuje 60 tys. nowych miejsc pracy i wzrost zatrudnienia. – Jeśli Sanna Marin ominie te rafy, to najgorsze będzie miała za sobą – uważa dr Jussi Jalonen z Uniwersytetu w Tampere.

Łatwo jednak nie będzie. Poprzedniego premiera zmusił do odejścia strajk pracowników poczty, a Marin także ma już swój pierwszy protest: pod koniec stycznia do strajku przystąpiło kilkanaście tysięcy pracowników przemysłu papierniczego i drzewnego z ponad stu zakładów. Wśród postulatów są podwyżki i lepsza organizacja czasu pracy. Z kolei w lutym strajkować zamierzają pracownicy sektora chemicznego.

Gdy kraj się starzeje

Ale nie są to jedyne poważne wyzwania. Pozostaje jeszcze wpisana w program rządu neutralność klimatyczna do 2035 r. Ambitny cel z kilkoma pułapkami po drodze, takimi jak np. koszty w sektorze ciepłowniczym. – Marin prawdopodobnie będzie z większą determinacją podchodziła do polityki klimatycznej i środowiskowej. Ale to może doprowadzić do problemów w koalicji, w której są też „hamulcowi", tacy jak Partia Centrum – zwraca uwagę Jalonen.

– Sytuacja w koalicji jest bardzo złożona, zmieniła się osoba na stanowisku premiera, ale tarcia pozostały – zgadza się Piotr Szymański, analityk z Ośrodka Studiów Wschodnich w Warszawie. – Sanna Marin odziedziczyła problemy nie tylko poprzedniego rządu, ale nawet tego jeszcze wcześniejszego, centroprawicowego. Już poprzedni premierzy potknęli się zwłaszcza o reformę wydatków socjalnych.

Społeczeństwo Finlandii – kraju o powierzchni wprawdzie trochę większej od Polski, ale liczącego zaledwie 5,5 mln obywateli – starzeje się (podobnie jak inne społeczeństwa Europy), a to oznacza coraz większą liczbę osób korzystających z usług socjalnych.

– Obecny model jest nie do utrzymania – podkreśla Szymański. – Finowie będą potrzebowali imigrantów, ale imigracja łączy się z osobnymi problemami socjalnymi, a także z eurosceptycyzmem. A w tle jest także rosnące poparcie dla Partii Finów.

W opozycji do ekologów

Partia Finów – nacjonalistyczna skrajna prawica – jest dziś drugą najsilniejszą partią w państwie. W ostatnich wyborach przegrała z socjaldemokratami dosłownie o włos (a dokładniej: o jeden mandat). Czy jej poparcie, obecnie utrzymujące się w okolicy 20 proc. (tutaj, gdzie system partyjny jest bardziej rozdrobniony niż w Polsce, to bardzo dużo) może jeszcze wzrosnąć?

Kobiety w Skandynawii, czyli historia ideału z rysą

DR AINUR ELMGREN, FIŃSKA HISTORYCZKA:

Mamy bajkę o mężu i żonie, którzy zamienili się obowiązkami. On doświadcza komicznych wypadków, zajmując się dziećmi i zwierzętami, a żona bez zbędnego hałasu radzi sobie z „męskimi" zadaniami.

YVES HERMAN / REUTERS / FORUM

Sanna Marin na spotkaniu w Brukseli, grudzień 2019 r.

– Nie sądzę, oni osiągnęli chyba już swoje maksimum. Bardziej istotne jest pytanie o ich potencjał koalicyjny – mówi Jussi Jalonen, który od lat obserwuje rozwój ugrupowań populistycznych i ekstremistycznych.

Jalonen zwraca jednak uwagę na pewien ciekawy aspekt sukcesu Partii Finów: znaczenie problemów klimatycznych w dyskusji politycznej, w której prawicowi radykałowie ustawili się w roli głównych oponentów nurtu proekologicznego.

– Okazuje się, że na tej sytuacji zyskują nie tylko Zieloni, ale też Partia Finów – mówi Jalonen. – W naszym małym kraju, z dużymi obszarami wiejskimi, gdzie mieszkają rodziny, które lubią swoje samochody, Partia Finów wchodzi w rolę przeciwnika radykalnych rozwiązań. Ich ulubiony argument jest taki, że skoro za kryzys klimatyczny winne są Chiny, to czemu malutka Finlandia ma płacić za konsekwencje tego, co robią Chińczycy. Ich głównym tematem już nie jest tylko imigracja i multikulti. Nauczyli się nowych sztuczek.

Idealistka z silną wolą

Sanna Marin jest symbolem nie tylko sukcesu kobiet w polityce, ale także nowego, bardziej postępowego pokolenia, które dochodzi do głosu – i to nie tylko w jej partii. Jak ujmuje to Piotr Szymański, „gwardia zimnej wojny" odchodzi do tylnych ław w parlamencie. To oznacza zmiany, a te łączą się z możliwą – o ile nie pewną – krytyką.

Czy uda się jej przetrwać dłużej niż poprzedniemu premierowi? Może nawet kolejną kadencję? – Jeśli jej się nie uda, to już nie wiem, komu mogłoby się udać – wzdycha Jussi Jalonen. – Reprezentuje ona nowy rodzaj lewicy, łączący społeczną odpowiedzialność i sprawiedliwość z otwartością i liberalnymi wartościami. Ona jest idealistką, ale i polityczką o silnej woli, z zasadami. W moim mieście, w Tampere, gdy Marin zasiadała w radzie miasta, żartowano, że nawet Chuck Norris by się jej bał... Wierzę, że ma szanse na pozostawienie po sobie w polityce czegoś ważnego.

– W fińskiej mitologii istnieje opowieść o „młynku szczęścia", nazywa się go *sampo*. Kto ma młynek, ten ma dostatek. Może Finowie rzeczywiście go znaleźli? – żartuje Piotr Szymański. – W końcu w rankingach uchodzą za taki szczęśliwy, postępowy naród...

Teraz *sampo* przydałby się Sannie Marin. ©℗

PATRYCJA BUKALSKA: Nominacja 34-letniej Sanny Marin na stanowisko premiera została na świecie przyjęta jako sensacyjna. W samej Finlandii takiego poruszenia chyba nie było? Finowie są przyzwyczajeni do kobiet w polityce...

AINUR ELMGREN: Rzeczywiście, Finowie chętnie identyfikują się dzisiaj jako pionierzy równości płci, ale to dość świeże zjawisko. Kiedy kobiety przekroczą symboliczny próg, to przez pewien czas wywołuje to powszechne zadowolenie. Do chwili, gdy kolejne pokolenie nie podniesie nowych postulatów, wcześniej lekceważonych czy wyciszonych.

Powszechne prawa wyborcze dla mężczyzn i kobiet wprowadzono w Finlandii już w 1906 r. [była wtedy częścią carskiej Rosji, choć cieszyła się pewną autonomią – red.]. Jednak symboliczna wartość tej reformy została przyćmiona przez pragmatyczny stosunek do polityki i reprezentacji płci. Po ogłoszeniu przez Finlandię niepodległości w 1917 r. odsetek parlamentarzystek się zmniejszył. Przed rokiem 1949 w skład rządu kobieta weszła tylko raz. Kobieca reprezentacja polityczna nie rosła aż do lat 60. zeszłego wieku. 80 lat – licząc od momentu przyjęcia konstytucji w 1919 r. – zajęło Finlandii wybranie kobiety na stanowisko prezydenta [w 1999 r. urząd ten objęła Tarja Halonen – red.]. Jeszcze dłużej – na stanowisko premiera. Dopiero w 2003 r. funkcję tę powierzono Anneli Jäätteenmäki.

Dziś kobieta stoi na czele rządu, kobiety przewodniczą wszystkim pięciu partiom koalicji i stanowią ponad połowę składu gabinetu Sanny Marin.

Po drugiej stronie sceny politycznej również są kobiety. Liderem największej opozycyjnej formacji, Partii Finów, jest wprawdzie mężczyzna, ale są tam też bardzo widoczne polityczki, jak Laura Huhtasaari czy Riikka Purra, pierwsza ↦

wiceprzewodnicząca. Obie urodziły się w latach 70. XX w., należą do tego samego młodego pokolenia co Marin. Huhtasaari, która kandydowała w wyborach prezydenckich, pasuje do profilu innych kobiet na wysokich szczeblach prawicowych populistycznych partii w Europie Zachodniej. Politolożka Laura Parkkinen ukuła określenie „cekinowy populizm": dobrze ubrane, fotogeniczne matki, często blondynki, które mówią o wartościach rodzinnych i pozują do zdjęć z małymi dziećmi i domowymi zwierzętami. Jednocześnie Huhtasaari ma bardziej agresywny – powiedziałabym: trumpowski – profil w mediach społecznościowych niż np. Marine Le Pen we Francji. Być może dlatego, że zabiega o poparcie zdominowanej przez mężczyzn bazy partyjnej.

Sanna Marin została wychowana przez dwie kobiety i to też wzbudziło zainteresowanie na świecie. Ona sama przyznawała, że z tego powodu jej dzieciństwo nie było wolne od przykrych doświadczeń i dyskryminacji.

Akceptacja mniejszości LGBT jest raczej niedawnym zjawiskiem. W Finlandii liberalizacja prawa nastąpiła na wzór zmian w Danii i Szwecji, ale z opóźnieniem 10–15 lat. Ostatni zapis wcześniejszego restryktywnego prawodawstwa – „zakaz promocji homoseksualizmu" – został zniesiony w 1999 r., tym samym, w którym prezydentką została Halonen. Ona była sojuszniczką środowisk LGBT w walce o ich prawa i jej wyborcze zwycięstwo było świętowane również w tym symbolicznym kontekście.

Zmiana nastąpiła więc gwałtownie i odbicie tego widzimy w życiorysie Sanny Marin. Dziś nie jest problemem wyobrażenie sobie polityka, który nie ukrywa, że jest gejem – np. jak nasz minister spraw zagranicznych Pekka Haavisto, który może zostać prezydentem w następnych wyborach. W ostatnich sondażach wysuwa się na prowadzenie.

Razem z innymi krajami skandynawskimi Finlandia jest w czołówce listy Global Gender Gap Index, który opisuje udział i szanse kobiet m.in. w edukacji, gospodarce, polityce. W 2018 r. na pierwszym miejscu znalazła się Islandia, potem Norwegia. A następnie Szwecja i właśnie Finlandia. Polska była 42. na tej liście.

AINUR ELMGREN:

Nasz progresywizm był zawsze pragmatyczny. W 1906 r. kobiety zyskały prawo wyborcze, bo ich walkę połączono ze zmaganiami o ochronę fińskiej autonomii w ramach imperium rosyjskiego.

Skąd to zjawisko w krajach skandynawskich?

Zrobiłam sobie takie nordyckie porównanie i sprawdziłam, ile te kraje miały kobiet na urzędzie premiera i ile czasu rządziły. Sanna Marin jest trzecią kobietą na tym stanowisku w Finlandii, jednak poprzednie dwie były u władzy krótko, w sumie 14 miesięcy. Jeśli chodzi właśnie o czas sprawowania rządów, prowadzi tu Norwegia – dzięki wieloletnim rządom socjaldemokratki Gro Harlem Brundtland i konserwatystki Erny Solberg. Druga jest Islandia, trzecia Dania. Co nieco zaskakujące, Szwecja nie miała jeszcze kobiety na stanowisku premiera. Ale prawdopodobnie będzie miała królową – po raz pierwszy od 300 lat.

Fiński progresywizm zawsze był z gruntu pragmatyczny. W 1906 r. kobiety zyskały prawo wyborcze na takich samych warunkach jak mężczyźni, ponieważ ich walka była połączona z narodowymi zmaganiami o ochronę fińskiej autonomii w ramach imperium rosyjskiego. Co więcej, spora część mężczyzn również była wykluczona przed rokiem 1906 i nie mogła głosować.

Była to zatem wspólna sprawa mężczyzn i kobiet?

Tak, przykładowo na wsi, gdzie popierano powszechne prawo wyborcze, bo – jak twierdzi historyczka Irma Sulkunen – wieś postrzegała i mężczyzn, i kobiety jako równie ważnych pracowników. Wspólną walkę mężczyzn i kobiet o prawa wyborcze było też widać w ruchu robotniczym. Np. Tampere, rodzinne miasto Sanny Marin, było centrum fińskiego industrializmu i aktywności robotniczej na początku XX w. Wiele kobiet, które pracowały w przemyśle tekstylnym, włączało się w działalność związków zawodowych i organizacji politycznych.

Sytuacja polityczna i społeczna Finlandii była wtedy dość skomplikowana.

W ciągu niespełna 30 lat, od roku 1890 do 1917, doszło do olbrzymiej zmiany w pozycji Finlandii w imperium rosyjskim. Od zajęcia naszego kraju przez Rosję w 1809 r. Finlandia miała polityczną, prawną i gospodarczą autonomię. Władze carskie sprzyjały wręcz początkowo fińskiemu nacjonalizmowi, bo uważały, że prowadzi on do zerwania naszych wcześniejszych więzi ze Szwecją. Jednak po prawie stuleciu takiej względnej harmonii Rosjanie zwrócili się przeciwko fińskiej autonomii i starali się podważyć fińską konstytucję. Finowie odebrali to jako złamanie swego rodzaju honorowej umowy społecznej i narracja o idyllicznej harmonii bardzo szybko zamieniła się w narrację o rosyjskiej opresji. W demonstracjach przeciw rusyfikacji istotną rolę jako organizatorki odegrały właśnie kobiety.

Natomiast głębsza zmiana społeczna przychodziła powoli – np. z wyborów samorządowych kobiety dalej były wykluczone, a system wyborczy wiązał wagę głosów z płaconymi podatkami. Narastały nierówności i konflikt między fińskimi partiami politycznymi.

Po wojnie domowej w 1918 r. [Rosja bolszewicka usiłowała wtedy opanować Finlandię, a wielu Finów o lewicowych poglądach stanęło po stronie bolszewików – red.] i krótkiej fazie monarchistycznej, Finlandia stała się w 1919 r. republiką. Reformistyczny ruch robotniczy w dalszym ciągu oferował kobietom ścieżkę do polityki – przykładem pierwsza kobieta w rządzie, socjaldemokratka Miina Sillanpää. Jej karierę ułatwił fakt, że nie była zamężna – w Finlandii aż do 1930 r. mąż był prawnym pełnomocnikiem żony i jej majątku.

Fińska historia jest specyficzna, ale od jakiegoś czasu cały region jest uważany za przodujący w lewicowo-liberalnych projektach społecznych. Jaki wpływ na to ma sytuacja w innych krajach skandynawskich?

Przykład pannordycki był dla Finlandii ważny, jeśli chodzi o politykę socjalną – często wprowadzano u nas podobne reformy, tyle że po kilku latach debato-

WARDA AHMED

DR AINUR ELMGREN (ur. 1979) jest historyczką z Uniwersytetu w Helsinkach. Zajmuje się historią praw mniejszości i praw obywatelskich oraz kulturą polityczną krajów nordyckich. Jest również rysowniczką i autorką komiksu.

wania. Przyczyny tego są i symboliczne, i pragmatyczne. Chcieliśmy mieć sojuszników na Zachodzie, przy jednoczesnym zachowaniu naszej neutralności. Natomiast praktyczny wymiar miała np. nordycka współpraca w kwestii przepływu pracowników [w 1952 r. Dania, Szwecja, Norwegia i Finlandia zniosły kontrole paszportowe dla swych obywateli; w 1954 r. powstał wspólny nordycki rynek pracy – red.].

Podobnie jest, gdy idzie o poprawienie sytuacji społecznej kobiet.

Niektórzy doszukują się korzeni tego trendu w pozycji „silnej nordyckiej kobiety" w społeczeństwie agrarnym, gdzie – mimo podziału pracy ze względu na płeć – kobiety czasem musiały zastępować mężczyzn, przejmować ich role i obowiązki. Czy istnieje polska wersja skandynawskiej bajki o mężu i żonie, którzy zamienili się swoimi obowiązkami na jeden dzień? U nas jest taka właśnie bajka. Mąż doświadcza licznych i komicznych wypadków, zajmując się domem, dziećmi i zwierzętami, aż wraca żona, która tymczasem bez zbędnego hałasu uporała się z „męskimi" zadaniami i teraz zabiera się za sprzątanie bałaganu, którego mąż narobił...

Nie słyszałam u nas o takiej opowieści.

Może taka postawa – gdy kobieta musi umieć zastąpić mężczyznę w razie jakichś kłopotów, ale nie otrzymuje w zamian nawet słowa pochwały – jest tradycyjnie fińska? Kobiety tutaj uważa się za bardziej elastyczne i oczekuje się, że dostosują się do potrzeb i sytuacji.

Podobne oczekiwanie jest w Polsce jak najbardziej widoczne... Wracając do czasów współczesnych: co pozostaje do zrobienia w Finlandii w kwestii sytuacji kobiet? Bo przecież nie tylko prawo się liczy, ale też mentalność.

Jestem optymistką, jeśli chodzi o postępy na małą skalę, ale pesymistką co do szerszej skali. Zgadzam się, że progresywne reformy to nie wszystko. Jednocześnie pewne zmiany prawne doprowadziły z powodzeniem do zmiany przekonań obywateli, przynajmniej w krajach nordyckich. Kary cielesne wobec dzieci są zakazane w Finlandii już od 1984 r., na podstawie szwedzkiego precedensu z 1979 r. W obu krajach nastąpiła potem zmiana w postawie społeczeństwa, bo wcześniej w Finlandii ok. 50 proc. populacji akceptowało kary cielesne. W 2007 r. było to już tylko 26 proc., a w domach, gdzie wychowywały się dzieci, było to zaledwie 10 proc. Oczywiście pojęcie „kara cielesna" jest różnie definiowane, np. dla niektórych pociągnięcie za włosy to nie przemoc.

A co z przemocą wobec kobiet?

Tutaj Finlandia ma przygnębiającą statystykę. W 2016 r. jedna trzecia przestępstw z użyciem przemocy została popełniona przez obecnego lub byłego partnera, większością ofiar były kobiety. Policja ocenia, że 80 proc. przypadków przemocy seksualnej i znęcania się nie jest zgłaszanych. Przy czym zarówno jeśli chodzi o zgłaszanie takich przypadków, jak też ich ściganie zauważalne są duże różnice między poszczególnymi regionami Finlandii. To oznacza, że czynniki regionalne, kulturowe czy historyczne mogą negatywnie wpływać na równość wobec prawa.

W porównaniu ze skandynawskimi sąsiadami, od pierwszych lat XX w. Finlandia w znacznie większym stopniu zmagała się z brutalnymi przestępstwami. Dzisiaj – w porównaniu z latami 20. czy 70. ubiegłego wieku – poziom przemocy się zmniejszył, ale wiele kobiet nadal nie czuje się bezpiecznie we własnych domach. Pytanie, jak zapobiec znęcaniu się, jeszcze zanim do niego dojdzie? Niektórzy mają nadzieję, że problem rozwiąże zmiana pokoleniowa. Inni zwracają uwagę, że nowe pokolenie też wyrośnie na sprawców i ofiary, jeśli nie zostanie to rozwiązane na poziomie strukturalnym.

Również mowa nienawiści i zorganizowane akcje nękania *online* i *offline* wydają się częściej dotykać kobiet. Z powodu kilku głośnych przypadków jest teraz większa tego świadomość. Lecz podobnie jak z przemocą seksualną, zmiany prawne nie mogą być jedyną odpowiedzią. Istnieje wiele zapisów prawnych, które mają chronić ofiary, ale jeśli nękanie nie jest poważnie traktowane przez władze, to zwycięży kultura milczenia i wstydu.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Desperaci z Golden Gate

MARTA ZDZIEBORSKA Z SAN FRANCISCO

Most nad zatoką San Francisco to jedno z najpopularniejszych miejsc wśród samobójców. W ciągu 83 lat życie odebrało tu sobie ponad 1700 osób.

Często wygląda to podobnie, jak w tamten poranek 29 stycznia 2008 r. Siedemnastoletnia szatynka o równo przystrzyżonej grzywce wychodzi z samochodu przy punkcie widokowym na wiszący most Golden Gate. Lekko zdenerwowana, zapala papierosa i idzie w stronę chodnika prowadzącego na drugą stronę zatoki San Francisco. Gdy dziewczyna jest już na miejscu, gasi niedopałek. Następnie wspina się na barierkę mostu i po chwili wahania skacze do wody.

Z raportu policyjnego, którego autorzy zrekonstruują później przebieg tego dramatu – oparto go m.in. na miejskim monitoringu, stąd jego szczegółowość – wynika, że między zaparkowaniem auta a skokiem minęło zaledwie pięć minut.

Jednak rodzice Casey (tak nastolatka miała na imię) długo nie chcą w to uwierzyć. Przecież tak szybko giną, zdawałoby się, tylko desperaci. Tymczasem ich córka miała dobre życie: wychowywała się w kochającej rodzinie na bogatych przedmieściach San Francisco, w liceum miała grono przyjaciół. Niedługo przed śmiercią dostała się na prestiżowe studia w Bennington College w stanie Vermont i planowała przeprowadzkę na Wschodnie Wybrzeże USA. Nie musiała się nawet martwić o wysokie czesne, bo za wszystko mieli płacić rodzice. Można by powiedzieć, że Casey była w czepku urodzona. Ona czuła jednak inaczej.

NASZA CÓRECZKA Casey urodziła się jako Joanna gdzieś na Mazurach. W tym czasie John i Erika Brooks od kilku lat starali się o adopcję. Gdy procedura w Stanach przedłużała się, zaczęli myśleć o adopcji w Polsce. Był to dla nich naturalny wybór, gdyż Erika ma polskie korzenie.

W lipcu 1990 r. w końcu dostali zielone światło i polecieli do Polski, gdzie mieli umówione spotkanie w domu dziecka w Mrągowie. Poznali tam 14-miesięczną dziewczynkę, która niedługo potem stała się Casey Joanną Brooks (polskie imię nadała jej biologiczna matka i Brooksowie to uszanowali). John i Erika dowiedzieli się, że dziewczynka była wcześniakiem, i że miała siostrę bliźniaczkę, która urodziła się martwa. Casey Joanna została porzucona przez matkę niedługo po porodzie.

– Gdy po raz pierwszy wziąłem naszą córeczkę na ręce, wpatrywała się we mnie oczami wielkimi jak spodki – wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem" John Brooks. – Zachowywała się tak, jakby nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny. W domu dziecka opiekunkami były tylko kobiety. Casey trafiła tam prosto ze szpitala, gdzie jako wcześniak spędziła

MARTA ZDZIEBORSKA

dwa miesiące w inkubatorze. Pewnie dlatego była nieco opóźniona w rozwoju.

– Kiedy ją adoptowaliśmy, była na poziomie półrocznego dziecka – mówi dalej ojciec. – Nie potrafiła siedzieć ani raczkować. Trudno jej było nawiązać kontakt z innymi ludźmi. Lekarze nie wykluczali, że cierpi na dziecięce porażenie mózgowe. Tuż po adopcji wydarzył się jednak cud. Po kilku dniach Casey zaczęła sama siadać. Pomyśleliśmy wtedy, że wystarczy okazać dziecku miłość, a wszystkie problemy znikną.

OSTATNIA KŁÓTNIA Problemy jednak nie zniknęły. Casey od najmłodszych lat miała niekontrolowane ataki złości. Wystarczyło, że zdenerwował ją jakiś drobiazg, a płakała i krzyczała przez kilka godzin. Lata mijały, a Casey nie potrafiła zapanować nad emocjami. W liceum zachorowała na bulimię i zaczęła się ciąć. Psychologowie i psychiatrzy powtarzali, że ma trudny wiek i jak każdą zbuntowaną nastolatkę trzeba ją trzymać krótko.

Może nikt nie brał pod uwagę, że Casey jest adoptowanym dzieckiem i porzucenie przez biologiczną matkę mogło odbić się na jej psychice? Po latach John mówi, że córka zachowywała się tak, jakby wciąż jej w życiu czegoś brakowało. Że choć oni otaczali ją miłością, ona traktowała ich jak wrogów i wciąż miała do nich pretensje.

W noc przed tragiczną śmiercią miała z nimi burzliwą kłótnię. – Casey jak zwykle pyskowała, a my krzyczeliśmy, że wymagamy szacunku – wspomina John. – Na koniec zamknęła się w swoim pokoju i groziła, że wyprowadzi się z domu i nigdy jej nie zobaczymy. Odpowiedziałem, że droga wolna i nie będziemy znosić jej kolejnych ataków złości. Kilka godzin po kłótni poszedłem do kuchni nalać sobie lampkę wina. Casey siedziała w salonie i oglądała program „America's Next Top Model". Pamiętam, że wymieniliśmy gniewne spojrzenia. Żałuję, że jej wtedy nie przeprosiłem. Przez lata czułem się tak, jakbym swoim zachowaniem sam zepchnął ją z mostu – mówi z płaczem.

Gdy następnego dnia rano wszedł do jej pokoju, na biurku znalazł notkę pożegnalną: „Samochód jest zaparkowany przy moście Golden Gate. Przepraszam". Kluczyki od auta policja znalazła na barierce mostu.

Mimo trwających kilka dni poszukiwań ciała Casey nie odnaleziono. Jedynym śladem po nastolatce jest dziś tablica pamiątkowa w kościele episkopalnym, do którego należą jej rodzice. John napisał też o córce książkę „The Girl Behind the Door" (polskie wydanie „Mogło być inaczej") i stworzył poświęconą jej stronę internetową Iheartcasey.com.

Tak wspomina córkę w internetowym epitafium: „Bardzo liberalna – na pewno zagłosowałaby na Baracka Obamę. Lubiła przytulać drzewa i kochała filmy z Johnnym Deppem. Niezależna i zdecydowana kobieta spod znaku byka, jednak z konfliktem wewnętrznym między tym, czego potrzebuje i chce, a tym, co myśli i czuje".

MIEJSCE OPTYMALNE Casey jest jedną z ponad 1700 osób, które od otwarcia mostu Golden Gate w 1937 r. odebrały sobie tutaj życie. Do lodowatych wód Zatoki San Francisco skoczyli m.in. Roy Raymond, założyciel firmy bieliźniarskiej Victoria's Secret, i Marc Salinger, syn Pierre'a Salingera, sekretarza prasowego prezydenta Johna F. Kennedy'ego.

Golden Gate jest jednym z najbardziej popularnych wśród samobójców mostów na świecie. Z ich perspektywy konstrukcja łącząca San Francisco z hrabstwem Marin to miejsce optymalne. Trwający od czterech do pięciu sekund skok z wysokości 67 m oznacza niemal pewną śmierć – ciało uderza w wodę z prędkością 120 km na godzinę i jeśli nawet ktoś przeżyje upadek, zwykle umiera w wyniku utonięcia lub hipotermii. O desperatach z Golden Gate opowiada dokument filmowy „The Bridge". Jego twórca, amerykański reżyser Eric Steel, przez rok obserwował most i zarejestrował większość z 24 popełnionych w tym czasie samobójstw (film wywołał duże kontrowersje i dyskusje nad etycznością postępowania reżysera).

W 2018 r. na Golden Gate zginęło 31 osób, a policja powstrzymała przed skokiem 187 osób. Oznacza to, że patrolujący most policjanci co 2–3 dni spotykają człowieka, który chce tu odebrać sobie życie. Na co dzień, gdy na wydzielonym dla pieszych chodniku roi się od rowerzystów i turystów, o mrocznym obliczu tego miejsca przypominają gęsto ustawione budki telefoniczne: można z nich dzwonić na infolinię kryzysową lub wysłać esemesa na bezpłatny numer 741741. Jeśli ktoś ma szczęście, przed skokiem powstrzymają go funkcjonariusze. Podczas półgodzinnego marszu na drugą stronę zatoki San Francisco mijam trzy małe wozy policyjne, które przeciskają się wśród turystów na chodniku o szerokości 3 metrów.

BLUZA Z KAPTUREM O to, jak rozpoznać potencjalnego samobójcę, pytam funkcjonariusza patrolu drogowego. Nazwijmy go Mike – barczysty mężczyzna rozmawia bez zgody przełożonych i prosi ↦

↦ o anonimowość. Spotykam go na parkingu przy punkcie widokowym, który znajduje się w Sausalito, po drugiej stronie mostu. To tu 17-letnia Casey zaparkowała samochód, podobnie jak wielu innych.

Mike mówi, że podczas patrolu zwraca uwagę na osoby, które nie wpisują się w profil turysty. Np. ktoś kręci się bez celu przy barierkach, nie robi zdjęć i wpatruje uporczywie w wodę. Ktoś inny rozmawia nerwowo przez telefon lub płacze. Niektórzy noszą bluzę z kapturem, kryjąc twarz.

– Gdy widzę kogoś podejrzanego, łączę się z centralą i mówię, by skierowano na tę osobę kamerę – tłumaczy Mike. – Na moście jest 130 latarni, więc nie ma problemu z podaniem lokalizacji. Zwykle proszę też o wysłanie dodatkowego patrolu. Pytasz, jak rozmawiam z potencjalnymi samobójcami. Czasem miękko, czasem szorstko. To zależy od człowieka. Najważniejsze, by wybić taką osobę z transu i odwieść od skoku. Wystarczy nawet drobiazg. Np. pytam, co ktoś jadł na obiad. To zaskakujące, ale wiele osób otwiera się i zaczyna opowiadać o swych problemach. Najgorsze, gdy trafi się trudny przypadek i konieczna jest interwencja z użyciem siły. Miałem kilku, którzy stali już na platformie za barierkami. Jeśli coś wtedy schrzanisz, trudno potem uciec od poczucia winy – dodaje Mike.

RĘKA SIĘ POLUZOWAŁA Mike wyznaje, że nie może sobie wybaczyć sytuacji sprzed kilku lat. Podczas patrolu mijał dwie kobiety spacerujące z niemowlakiem w wózku. Nie dojechał do końca mostu, gdy jedna z nich skoczyła. Potem okazało się, że miała depresję poporodową; na Golden Gate wybrała się w towarzystwie teściowej. – Powinienem był wtedy zareagować – wyrzuca sobie Mike. – Przecież kto idzie z małym dzieckiem w zimowy poranek na most? Takie sceny zostają w człowieku.

– Nie zapomnę też, gdy na początku pracy na Golden Gate dostałem wezwanie do zabrania zwłok – wspomina. – Samobójca skoczył, została z niego miazga. Na miejscu okazało się, że w trakcie skoku jego noga zaplątała się w konstrukcję mostu i trzeba było ją ściągnąć. Pierwsze, co pomyślałem, to do jakich służb powinienem zadzwonić. Szybko jednak dotarło do mnie, że to moja robota.

Mike mówi, że rozumie desperację samobójców. – Ale nikt nie zastanawia się, z jakimi traumami musimy się przez nich zmierzyć – dodaje. – Jeden z kolegów z policji opowiadał mi o kobiecie, którą złapał za rękę w ostatnim momencie. Jej ciało zwisało w powietrzu, a on mocował się, by wciągnąć ją z powrotem na most. Pech chciał, że jej ręka poluzowała się w uścisku i kobieta spadła do wody. Jak można pójść po czymś takim na kolejny patrol? Każdy z nas musi tę robotę jakoś odreagować. Ja na przykład dużo piję. Niby mogę iść w pracy do psychologa, ale on nie zrozumie mnie tak, jak koledzy przy piwie.

Mike przerywa, bo obok przejeżdża radiowóz na sygnale. To pościg za złodziejem, który włamał się do auta na parkingu przy Golden Gate. Z Mikiem ruszamy na obchód w poszukiwaniu okradzionego pojazdu, temat samobójców schodzi na plan dalszy. Na pożegnanie Mike pyta, czy chcę zrobić zdjęcie jego wozu patrolowego. – Tylko proszę, nie cytuj mojego imienia – upewnia się ponownie.

BRZYDKI WIDOK Choć mogą być tak obciążające dla służących tu policjantów, stałe patrole prewencyjne na Golden Gate to właściwie jedyny skuteczny sposób na powstrzymanie potencjalnych samobójców przed skokiem.

W 2008 r. lokalne władze zgodziły się na budowę ogrodzenia na moście, ale projekt realizowany jest powoli i efekty będzie można zobaczyć najwcześniej w 2023 r. W ramach inwestycji kosztującej 211 mln dolarów – most ma aż 2,7 km długości – po obu jego stronach, sześć metrów poniżej chodników dla pieszych, będzie instalowana metalowa siatka. W trwającej od lat burzliwej debacie nie brakowało przeciwników budowy tego zabezpieczenia, mającego uniemożliwić skok. Argumentowali, że oszpeci widok z kultowego mostu i za bardzo obciąża lokalny budżet. Natomiast rodziny ofiar przekonywały, że gdyby taka konstrukcja powstała wcześniej, powstrzymałaby ich najbliższych. Dziś jedynym zabezpieczeniem jest tymczasowe ogrodzenie na obu krańcach mostu.

KULA ZAMIAST KOZETKI Jak wynika z danych Bridge Rail Foundation, statystyczny samobójca z Golden Gate nie skończył czterdziestki i mieszka nie dalej niż godzinę drogi od mostu. Wśród desperatów przeważają studenci i nauczyciele, a ponad 10 proc. to nastolatki.

Można powiedzieć, że osoby skaczące z tego mostu to samobójcy nietypowi. American Foundation for Suicide Prevention podaje, że co drugi samobójca w USA ginie przez zastrzelenie się. Co czwarty się wiesza, a co siódmy umiera przez otrucie. Codziennie odbiera sobie życie średnio 129 Amerykanów.

W 2017 r. zginęło tak 47 tys. osób: to trzy razy więcej niż pod koniec lat 90. XX w. Zdaniem socjologów i ekonomistów winna temu jest m.in. recesja, zapoczątkowana kryzysem z lat 2008/2009. Według badań czasopisma „Social Science and Medicine" wzrost liczby samobójstw dotyczy szczególnie białych Amerykanów, którzy coraz częściej zaglądają do kieliszka i biorą narkotyki. Anne Case i Angus Deaton, ekonomiści z Princeton University, piszą o „zgonach z desperacji" wynikających z pogorszenia sytuacji gospodarczej białej klasy pracującej.

Fala samobójstw najsilniej uderza w prowincję, która zmaga się z biedą i beznadzieją. Wśród stanów z największą liczbą samobójstw królują Montana (średnio 28,9 samobójstw na 100 tys. mieszkańców), Alaska (27 na 100 tys.) i Wyoming (26,9 na 100 tys.). Sytuacji nie ułatwia, że w takich miejscach jak Wyoming pomoc psychologiczna jest tematem tabu. Dla kowbojów ze Środkowego Zachodu niekiedy łatwiejszy od rozmowy na kozetce wydaje się samobójczy strzał.

Ci Amerykanie, którzy zdecydują się zwrócić o pomoc, mogą zadzwonić na ogólnokrajową infolinię kryzysową. Dziennik „Wall Street Journal" podaje, że w czerwcu 2018 r. infolinia przeżywała oblężenie tuż po głośnych samobójstwach projektantki mody Kate Spade i mistrza kuchni Anthony'ego Bourdaina. Liczba dzwoniących wzrosła wówczas o jedną czwartą.

■■■

Ricardo, który od 15 lat sprząta przy punkcie widokowym na most, twierdzi, że tutejszych potencjalnych samobójców można podzielić na dwie grupy. Pierwsi snują się, wyraźnie szukając pomocy. Drugich przed skokiem nie powstrzyma nawet patrol policji. – Nie rozumiem, czemu ludzie ulegają romantycznej wizji śmierci na Golden Gate – komentuje Ricardo. – Przecież można zabić się w domu. Za każdym razem, gdy widzę na parkingu stojący od kilku dni samochód, zastanawiam się, czy jego właściciel nie jest już topielcem. Gdy czasem przychodzi do mnie w tej sprawie policja, odpowiedź jest raczej oczywista.

© MARTA ZDZIEBORSKA

ANDRZEJ

Stasiuk:
Wspominając Nikitę

Obiecałem Redaktorowi, że napiszę coś o kulturze. Że w końcu zajmę się jakimś porządnym kulturalnym wydarzeniem, bo ostatnio zrobiłem to długie lata temu, opisując obraz Ilii Repina pod tytułem „Zaporożcy piszą list do sułtana". Bo jedna z gazet – wiadomo jaka – wymyśliła, że ludzie kultury, cokolwiek by to znaczyło, powinni napisać list do rządzących, cokolwiek by to znaczyło, żeby byli mądrzejsi i lepsi. Od tamtej pory już się kulturą nie zajmowałem. W każdym razie w felietonach. Ja bardzo zazdroszczę takiemu na przykład Krzyśkowi Vardze, bo on gdzie nie spojrzy, to widzi kulturę. Ba, on od razu widzi gotowy felieton o kulturze. Co tydzień. No więc czuję zazdrość i podziw. Może to się bierze z wczesnej młodości, bo on kończył Liceum św. Augustyna, a ja poszedłem do zakładowej szkoły przy Fabryce Samochodów Osobowych. Bez sukcesu zresztą. Jeśli Varga jest istnym drapieżnikiem kultury i wszędzie węszy zdobycz, to ja nie jestem nawet przeżuwaczem. Patrzę jak wół na jakieś wrota i nie odróżniam kultury od reszty.

Więc dałem spokój i w święta czytałem biografię Chruszczowa. Dość starą zresztą, ale biografie nie starzeją się tak szybko, zwłaszcza gdy ich bohaterowie już nie żyją. Autorstwa Williama Taubmana, wydana po polsku w 2012 r. przez oficynę Bukowy Las. Im jestem starszy, tym bardziej jestem ciekaw, ile straciłem w dzieciństwie nie interesując się polityką. Zresztą czegóż bym się wtedy dowiedział z czarno-białej telewizji, i na dodatek jeszcze cenzurowanej. Polecam młodzieży karkołomne ćwiczenie intelektualne: wyobrazić sobie czarno-biały obraz, jeden kanał i jeszcze cenzurę. No ale wyobrażanie sobie cenzury to oddzielne ćwiczenie na giętkość intelektu...

W każdym razie Nikita Chruszczow w książce Taubmana to postać, od której nie można oderwać oczu. Syn zapadłej ukraińskiej Kalinówki, „uczył się tylko dwie zimy, a jego ojciec zapłacił księdzu za naukę dwoma pudami ziemniaków". Gdy porzucił rolnictwo dla ślusarstwa i przeniósł się do miasteczka Juzowka, „zbudował ze złomu rower". Zaraz później zamontował do niego silnik i miał motocykl. Dwadzieścia parę lat później, gdy Stalina już wypchają i zabalsamują, jego najwierniejszy uczeń, też nielicho unurzany we krwi, raptem zmienia front i na początek eliminuje arcyspryciarza Berię, który w dodatku niczego się nie spodziewa. On, geniusz manipulacji, daje się podejść jak dziecko chłopkowi-roztropkowi, który na nocnych przyjęciach u Józefa Wissarionowicza bawił towarzystwo tańcząc hopaka. Niedługo potem zabiera się za pamięć samego Wodza, usuwając go z pamięci narodu oraz światowego komunizmu (wyjąwszy Chiny oraz Albanię) i z mauzoleum. A komunizm i naród spokojnie się na to godzą. To mniej więcej coś takiego, jakby nowo wybrany papież ogłosił, że Boga nie ma, Kościół pokiwałby tylko głową i rozszedł się do domów.

Mały, okrągły, o prosięcej twarzy. Przypominał gnoma, postać z bajki albo wańkę-wstańkę. Parę lat później poleci do Ameryki nowym, ledwo co oblatanym Tu-114. Żeby pokazać Jankesom, na co stać ZSRR. Będzie się przechwalał, awanturował i wpadał w panikę na widok niezliczonej ilości sztućców przy swoim nakryciu podczas przyjęć.

A jeszcze później wyśle na Kubę pociski balistyczne z głowicami atomowymi. Właściwie bez jakiegoś sprecyzowanego planu. Trochę w obronie Fidela Castro po nieudanym desancie w Zatoce Świń, trochę żeby zaszachować Amerykę w sprawie Berlina zachodniego, trochę po to, by sprawdzić, co się stanie. W dodatku z dziecięcą wiarą, że Waszyngton niczego nie zauważy. Nie zauważy 40 tysięcy żołnierzy, czołgów, samolotów, ciężarówek i dwudziestometrowych rakiet płynących przez Atlantyk. I zdaje się, że właśnie ciekawość, co się stanie, była prawdziwym powodem. W każdym razie, gdy sprawa wyszła na jaw, świat struchlał, a ludzie zaczęli drążyć schrony i gromadzić zapasy.

Tak. Nie można od Nikity Chruszczowa oderwać wzroku. Od bosonogiego syna Kalinówki, który własnoręcznie skonstruował rower, a potem jeszcze zmienił go w motocykl. Widzę, jak zaciera ręce i z prysiudami puszcza się w hopaka. Chichocze, prosięco różowieje, gdy świat zaczyna schodzić do schronów.

Piszę to liryczne wspomnienie o Chruszczowie akurat w dniach, gdy inna malownicza postać wysłała drona, by zabić irańskiego generała, którego nie lubiła. Trump w pewnym sensie przypomina Chruszczowa. Obaj wyglądają tak, jakby się wzięli z jakiejś opowieści. Nikita ze starodawnej bajki o głupim Jasiu, który został koniec końców królem-błaznem, przed którym drży świat. Trump jednak jest przy nim postacią z kreskówki. Wysyła ledwo drona. A świat martwi się jedynie o to, by nie wzrosła cena ropy. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Opolu Lubelskim, w sprawie I Ns 68/19, toczy się postępowanie z wniosku Kazimierza Czesława Przepiórki o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Przepiórce, s. Józefa i Agnieszki, ur. 10 lipca 1920 r. w Kłodnicy, zm. 22 lipca 2017 r. w Kłodnicy, ostatnio stale zamieszkałym w Kłodnicy, oraz po Irenie Przepiórce, c. Feliksa i Ludwiki z domu Pietras, ur. 11 października 1928 r. w Lesie Dębowym, zm. 22 września 2017 r. w Poniatowej, ostatnio stale zamieszkałej w Kłodnicy.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, a w szczególności spadkobierców po Władysławie Przepiórce i Irenie Przepiórce, do zgłoszenia się i udowodnienia nabycia spadku w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ARCHIWUM RODZINNE WOJCIECHA KONOŃCZUKA

WYRWAĆ KORZENIE I KORZONKI

80 lat temu zaczęła się pierwsza wielka wywózka obywateli polskich na Syberię. W kolejnych miesiącach z ziem wschodnich II RP Sowieci deportowali ponad pół miliona ludzi. Czy o tej historii wiemy już wszystko?

WOJCIECH KONOŃCZUK

Funkcjonariusze NKWD przychodzili w nocy lub nad ranem. Zaczynało się od walenia w drzwi, po czym do środka wkraczało kilku enkawudzistów i po szybkiej rewizji, głosem nieznoszącym sprzeciwu, rozkazywali: *„Sobirajties'!"*.

Ten moment pojawia się we wszystkich wspomnieniach zesłańców – i zwykle opowiadany jest wyjątkowo wyraźnie, z dużą ilością szczegółów i wielkimi emocjami. Widać, że była to jedna z najważniejszych chwil w ich życiu. Rozpoczynała bowiem kilkuletnią gehennę, zakończoną powrotem do domu w najlepszym razie w 1946 r. lub później. Wielu nie miało nawet takiego – było nie było – szczęścia.

Przeciw „kontrrewolucjonistom"

Był 10 lutego 1940 r., gdy uzbrojeni sowieccy wojskowi wtargnęli do dużej leśniczówki w Mętnej niedaleko Bugu. Pięcioosobowa rodzina leśniczego Stefana Russela usłyszała, że natychmiast mają się spakować. Pozwolono im zabrać tyle, ile mogli unieść.

ARCHIWUM RODZINNE NAHUMA FREIDKESA / ZBIORY WOJCIECHA KONOŃCZUKA

Z LEWEJ: *Zoja i Wiera Tymoszyckie, zesłane z majątku Nowodwory na Podlasiu. Zdjęcie wykonano w Bijsku, w Kraju Ałtajskim, ok. 1945 r. Wiera zmarła tam w grudniu 1945 r.*

U GÓRY: *Nahum Freidkes (po lewej) wraz z kolegami. Nahum został zesłany z Bielska Podlaskiego. Zdjęcie wykonano w Bijsku w 1946 r.*

– Później się okazało, że zawędrowały z nami na Syberię rzeczy zbędne, a wielu potrzebnych nie wzięliśmy – opowiada mi 13-letni wówczas Kazimierz Russel. Było to typowe dla wielu rodzin, najczęściej nieprzygotowanych na to, co miało ich zastać w miejscach położonych czasami kilka tysięcy kilometrów za Uralem.

Już kilkadziesiąt minut później czekające przed domem sanie zawiozły Russelów na odległą o 20 km stację kolejową w Nurcu. Tam czekały bydlęce wagony, które miały ich dostarczyć do Kraju Ałtajskiego (na południowej Syberii, blisko granicy z Mongolią i Chinami).

W przypadku wszystkich zesłań schemat był zawsze taki sam.

Tymczasem zima tamtego roku była wyjątkowo surowa. Pierwsza wielka deportacja z ziem II RP anektowanych przez Związek Sowiecki przebiegała przy ekstremalnych mrozach, sięgających minus 42 stopni. Do jej przeprowadzenia zaangażowano aż 52 tys. funkcjonariuszy sowieckich – poza siłami NKWD było to również wojsko i aktyw partyjny.

Tak wielka operacja logistyczna wymagała przygotowania i chciano nadać jej pozory praworządności. Już kilka tygodni po agresji sowieckiej na Polskę kierownictwo polityczne w Moskwie podjęło formalną decyzję o zesłaniu tych mieszkańców zajętych terenów, których uznano za potencjalną „bazę dla działań kontrrewolucyjnych". 29 grudnia 1939 r. zatwierdzono instrukcję deportacyjną, która przewidywała m.in., że wywózki będą się odbywać o świcie, oraz nakazywała zorganizowanie odpowiedniej liczby wagonów.

Ta pierwsza wielka deportacja – przeprowadzona nad ranem 10 lutego 1940 r. równocześnie w tysiącach miejscowości – objęła 140 tys. osób. Do wywózki w pierwszym rzędzie przeznaczeni zostali leśnicy, osadnicy wojskowi, urzędnicy państwowi i kolejarze. Wywożono ich całymi rodzinami, nie zważając na wiek czy stan zdrowia. Aż 77 proc. deportowanych tego dnia stanowiły kobiety i dzieci.

Wbrew dość powszechnemu dziś przekonaniu wywożono nie tylko Polaków: niemal co piąty wśród zesłanych podczas tej pierwszej akcji deportacyjnej należał do mniejszości narodowych – głównie byli to Ukraińcy i Białorusini.

Odpowiedzialność zbiorowa

Sowieci uważali, że zawładnięcie okupowanymi ziemiami II RP nie będzie możliwe bez zastosowania masowego terroru. Mieli zresztą już odpowiednie doświadczenie, zdobyte w trakcie ponad dwóch dekad swojej władzy; mogli sięgać również po doświadczenia dłuższej tradycji zsyłek z okresu Imperium Rosyjskiego.

Zarówno carowie, jak też komuniści uznawali deportacje za skuteczny sposób walki z realnymi lub wyobrażonymi wrogami. Sowiecką innowacją było ↦

↦ zastosowanie wywózek nie tyle wobec konkretnych osób, ile całych kategorii ludności. Zaś rozwój kolei umożliwił sprawne jej przeprowadzenie.

Wystarczyło więc, że „winny" był głową rodziny, aby wobec jego najbliższych zastosować odpowiedzialność zbiorową. Jeszcze z okresu walki z przeciwnikami kolektywizacji rolnictwa reżim sowiecki wyniósł przekonanie, że „wyrywać należy nie tylko korzenie, ale również korzonki". W praktyce sprowadzało się to do tego, że walczyć należy nie tylko z „wrogiem ludu", ale także z tymi, którzy na „wrogów ludu" mogą wyrosnąć. Bo, jak wiadomo, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Podróż na Syberię, do Kazachstanu lub na daleką północ Rosji trwała najczęściej od trzech do pięciu tygodni. Warunki w ciasnym wagonie, mieszczącym 30-40 osób, były bardzo trudne. Oddajmy znów głos Kazimierzowi Russelowi: – Po obu stronach [wagonu] znajdowały się prycze, na środku piecyk do ogrzewania, obok sanitariat w formie dziury w podłodze. Wagon był nieszczelny, a mróz na zewnątrz wysoki. Początkowo warunki wywołały u nas szok. Przy samym piecyku było aż za gorąco, natomiast w kątach szron nie schodził. Jednak człowiek, jak się okazuje, może się przyzwyczaić...

Z kolei Wiesław Wróblewski, syn nauczycieli z miasteczka Orla, wywieziony wraz z rodzicami, siostrą i babcią, opowiadał: – Byliśmy głodni, spragnieni i strasznie brudni. Nasz opiekun enkawudzista co rano pytał: »*Miortwych niet?*« [czy są zmarli?].

„Elementy społecznie obce"

Po jakimś czasie pociąg wreszcie stawał. Zesłańców wyładowywano na furmanki, do samochodów ciężarowych lub na barki rzeczne, które czasami jeszcze przez wiele dni wiozły ich do miejscowości, która na długi czas miała stać się ich miejscem zamieszkania i pracy. Nierzadko także śmierci: w ciągu pierwszych dwóch lat zesłania zmarł co siódmy wówczas deportowany – łącznie ok. 25 tys. osób, głównie najstarszych i najmłodszych. W skali wszystkich zsyłek z lat 1940-41 śmiertelność można szacować na kilkanaście procent.

Akcja lutowa okazała się pierwszą z czterech wielkich operacji deportacyjnych. Podczas kolejnej, przeprowadzonej już 13 kwietnia 1940 r., w głąb Związku Sowieckiego trafiło 61 tys. osób – były to przede wszystkim rodziny uwięzionych wcześniej oficerów (w tym tych zamordowanych w Katyniu), a także ziemian i policjantów. Tutaj i również później model był analogiczny: nocne walenie w drzwi, szybkie pakowanie i bydlęcy wagon.

Podczas następnej akcji, 29 czerwca 1940 r., identyczny los spotkał 79 tys. obywateli polskich – tym razem głównie Żydów, uchodźców z niemieckiej strefy okupacyjnej. Wreszcie, po rocznej przerwie, w maju i czerwcu 1941 r. deportowano 52 tys. osób, nazwanych w zarządzaniu komisarza spraw wewnętrznych Ławrentija Berii „elementami społecznie obcymi". Kategoria była tak obszerna, że dało się podciągnąć pod nią każdego, kogo było trzeba.

Łącznie w czterech wielkich deportacjach w głąb Związku Sowieckiego zesłano co najmniej 320-330 tys. obywateli polskich. Do tego należy doliczyć 70 tys. więźniów zesłanych do łagrów i ponad 138 tys. osób przesiedlonych przymusowo do innych republik sowieckich.

Po wzroście zainteresowania w latach 90. **dziś mało kto bada temat deportacji**. Tymczasem wiele kwestii czeka na opisanie. O kobietach na zesłaniu opowiada tylko jedna książka, po angielsku.

Wszystkie warstwy społeczne

Stereotypowe dziś polskie wyobrażenie o zesłaniach na Syberię często sprowadza się do tego, że było to doświadczenie „ziemian z dworku" czy szerzej – „klas posiadających" i elit intelektualnych. Tymczasem jest to dalekie od rzeczywistości. Represje sowieckie miały bardzo szeroki zasięg i objęły wszystkie warstwy społeczne: od ziemian, leśników, policjantów i urzędników przez byłych wojskowych i drobnych rzemieślników aż po chłopów, zarówno bogatych, jak i biednych.

Stereotyp bierze się najczęściej z tego, że ogromna większość wspomnień z Sybiru czy Kazachstanu – czyli dokumentalnej bazy źródłowej – napisana została przez tych, którzy umieli posługiwać się piórem, lepiej lub gorzej. To właśnie głównie te lektury miały kształtować obraz Sybiru u kolejnych pokoleń. Natomiast opowieści tych świadków historii, którzy nie pozostawili po sobie świadectw pisanych, poszły w zapomnienie.

Przytoczmy zatem kilka przykładów, które podważają ten stereotyp.

Bronisława Jakubowska z chłopskiej rodziny spod wsi Boćki na Podlasiu do dzisiaj zastanawia się, za co wraz z ojcem i trójką małego rodzeństwa trafili na Ałtaj. – Nie wiem, czemu nas wywieźli. Za co? – opowiadała mi. – Ojciec w ogóle nie był winien. Chyba za to, że człowiek w Boga wierzył. Całymi rodzinami [z naszej okolicy] wywozili, nawet ze staruszkami. Mordercy.

Rodzina Rydzów z zamieszkanej przez Białorusinów wsi Szernie została zesłana za... podejrzane nazwisko. Sowieci sądzili, że są oni krewnymi marszałka Rydza-Śmigłego. Rodzina Piotrowskich z niewielkiej wsi pod Ciechanowcem, która trafiła do republiki Komi, również nie potrafi wskazać powodu. W ciągu wojny Sowieci zesłali też ponad 20 mieszkańców podlaskiej wsi Krzywa, zamieszkałej w całości przez Białorusinów.

Wygląda to tak, jakby władze sowieckie z każdej (lub niemal każdej) większej i mniejszej wsi – polskiej, białoruskiej czy ukraińskiej – wybierali „kozły ofiarne". Prawdopodobnie po to, aby zarówno zastraszyć resztę, jak też pozbawić wiejską wspólnotę potencjalnych przywódców.

To chłopskie doświadczenie Sybiru wciąż pozostaje w cieniu.

Nie tylko Polacy

Innym utartym przekonaniem o sowieckich deportacjach jest to, że dotyczyły wyłącznie lub przede wszystkim Polaków. Tymczasem jest to kolejny mit.

W ogólnej liczbie obywateli II RP, którzy w latach 1940-41 zostali zesłani w głąb Związku Sowieckiego, Polaków było ok. 53-57 proc., Żydów 20-23 proc., Ukraińców 9-12 proc., Białorusinów 8-11 proc. Oznacza to, że polski udział w deportacjach był proporcjonalnie niższy niż liczba Polaków w II RP (ok. 67 proc. ludności). Jednocześnie liczba represjonowanych na Syberii Żydów i Białorusinów była ponad dwukrotnie wyższa niż ich odsetek w przedwojennym społeczeństwie.

„Kontrrewolucyjnymi" przeciwnikami dla reżimu sowieckiego byli bowiem nie tylko wojskowi czy urzędnicy państwa polskiego oraz ziemianie, lecz wszyscy,

ARCHIWUM RODZINNE WOJCIECHA KONOŃCZUKA

Pogrzeb Wiery Tymoszyckiej; jej córka Zoja stoi nad trumną. Bijsk, 11 grudnia 1945 r.

którzy choćby potencjalnie mogli się nimi okazać. Zagrożenie stanowił również każdy, kto miał jakikolwiek autorytet w swoich społecznościach – w tym aktywiści mniejszości białoruskiej i ukraińskiej, a także członkowie organizacji syjonistycznych (przed 1939 r. ruch syjonistyczny był bardzo silny i popularny w II RP). Odizolowanie wszystkich tych ludzi np. gdzieś na Syberii miało ułatwić i przyspieszyć sowietyzację społeczeństwa na ziemiach okupowanych.

Czego nadal nie wiemy

W okresie PRL-u temat sowieckich represji (w tym deportacji) był zakazany, a badane były tylko represje niemieckie. Sybiracy nierzadko byli szykanowani. Poza kręgiem rodzinnym woleli więc nie wspominać, gdzie spędzili wojnę. Aby ukończyć edukację czy dostać pracę, tę część biografii lepiej było przemilczeć.

Dopiero upadek komunizmu sprawił, że mogły ruszyć badania (wcześniej prowadzone dyskretnie przez nielicznych pasjonatów). Po 1989 r. światło dzienne stopniowo ujrzały więc tysiące wspomnień i wiele książek naukowych. Sprzyjało temu ówczesne względne otwarcie archiwów rosyjskich. Przełomem w dyskusji nad liczbą deportowanych stał się artykuł rosyjskiego badacza ze Stowarzyszenia Memoriał Aleksandra Gurjanowa, opublikowany w polskim piśmie „Karta" w 1994 r. Zbadał on dokumenty Wojsk Konwojowych NKWD i przyjętą wcześniej liczbę 1,2 mln ofiar czterech wywózek zweryfikował w dół.

Myli się jednak ten, kto sądzi, że o sowieckich deportacjach wiemy dziś wszystko. Tymczasem w ostatnich latach temat przestał być popularny i dziś niewielu badaczy nim się zajmuje. Z kolei w Rosji temat w oficjalnej historiografii nie istnieje. Władze rosyjskie, zaciekle broniąc paktu Hitler–Stalin, kwestię deportacji z ziem wschodnich II RP przemilczają lub w najlepszym razie mówią o „przesiedleniach", nie wdając się w dyskusje.

Nadal nie znamy więc dokładnych liczb deportowanych ani wielkości dla różnych regionów II RP. Nie mamy imiennej listy (prace nad Indeksem Represjonowanych, który miał być bazą wszystkich deportowanych, zamarły kilka lat temu). Nie wiemy, jak przygotowywano listy wywozowe, co działo się z majątkiem zesłańców, jakie były relacje między zesłańcami, w tym Polakami i Żydami. Przykładem tych dylematów mogą być rozbieżności dotyczące liczby polskich Żydów, którzy przeżyli II wojnę światową w głębi Związku Sowieckiego: wahają się one od 146 tys. do 384 tys. osób. Tymczasem jest to temat ważny również w kontekście dyskusji o tym, ilu żydowskich obywateli II RP przeżyło tamtą wojnę.

Innym problemem ważnym i niezbadanym jest kolaboracja z Sowietami. Posłużmy się znowu świadkami. Maria Owłasiuk, wywieziona w wieku dziewięciu lat z białoruskiej wsi Ogrodniki, wspominała: – Czy Moskwa wiedziała, że tata był oficerem za cara? Co tu dużo mówić, swoi im donieśli...

Podobne zarzuty stawiał Mosze Lewkowski, Żyd z Bielska Podlaskiego: – Niektórzy z żydowskich komunistów, zabiegając o względy Rosjan, donieśli im o naszych przywódcach syjonistycznych i miejscowych kapitalistach – mówił.

Temat miejscowej kolaboracji – polskiej, białoruskiej, żydowskiej, ukraińskiej – wciąż czeka na swojego badacza.

Wreszcie wielkim tematem jest rola kobiet na zesłaniu. Rzadko uzmysławiamy sobie, że znaczną większość deportowanych stanowiły kobiety i dzieci. Po utworzeniu armii Andersa i potem armii Berlinga w miejscach zesłań praktycznie nie było już mężczyzn. Jedyną książkę na ten temat napisała amerykańska badaczka Katherine R. Jolluck, ale dotąd nie jest ona dostępna po polsku.

Pytania do współczesnych

Po naturalnym wzroście zainteresowania w latach 90. XX w. temat Sybiru zszedł na dalszy plan. Poniekąd wynikało to z błędnego przekonania, że wiadomo już wszystko. Dziś 80. rocznica pierwszej deportacji może być pretekstem, aby nie tylko zweryfikować wspomniane mity, ale zwłaszcza zastanowić się, jakie miejsce zajmuje Sybir w polskiej pamięci zbiorowej – i jakie powinien zajmować w przyszłości? Czy patrząc na warszawski pomnik Poległych i Pomordowanych na Wschodzie, wśród morza krzyży łacińskich dostrzeżemy również żydowską macewę, prawosławny krzyż i muzułmański nagrobek? Czy honorując żołnierzy armii Andersa, złożonej z samych sybiraków, będziemy chcieli pamiętać o żołnierzach armii mniej sławnego generała Berlinga, z których przecież większość też została wcześniej zesłana? Czy może spory o to, kto był lepszym, a kto gorszym Polakiem wykrzywią naszą pamięć?

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. M. Karpia. Temat deportacji (wśród ofiar był jego dziadek z rodziną) bada od lat; dla Ośrodka KARTA nagrał kilkadziesiąt relacji. Niedawno ukazała się jego książka „Sztuka przetrwania. Deportacje sowieckie z powiatu bielskiego 1940–1941" (IPN Warszawa, 2019).

MARTWI ALTRUIŚCI

Nie odżywiają się ani nie rozmnażają, nie mają metabolizmu i trudno w ogóle powiedzieć, że żyją. Ale potrafią się komunikować i pomagają swoim klonom. Czym właściwie są wirusy?

MARIUSZ GOGÓL

Amerykański mikrobiolog i noblista Salvador Luria określił wirusy jako „twory". To chyba najlepsze słowo, jakie może przyjść do głowy, bo jak inaczej nazwać potencjalnie chorobotwórcze czynniki, które nie wykazują żadnych oznak życia? Wirion, czyli cząsteczka wirusa, nie rośnie, nie rozmnaża się, nie odżywia i nie prowadzi metabolizmu. Jego aktywność zależna jest od komórki gospodarza. Wirion ją infekuje, przejmuje nad nią kontrolę i wykorzystuje jej maszynerię biochemiczną do wytwarzania swoich kopii.

Najprostsze wirusy zbudowane są z dwóch elementów: materiału genetycznego i osłonki. Geny wirusa mogą być zapisane w cząsteczce DNA lub RNA – tych samych, które regulują biochemię żywych komórek. Wśród genów wirusowych znajdziemy zarówno takie, których sekwencja mniej lub bardziej odpowiada sekwencji genów występujących w infekowanych przez wirusy komórkach, jak i takie, które nie mają swoich odpowiedników w świecie ożywionym. Wśród tych ostatnich znajdują się geny najistotniejsze dla funkcjonowania wirusa.

Materiał genetyczny wirusów często ulega zmianom. Mogą to być subtelne mutacje, obejmujące pojedyncze elementy budujące informację genetyczną, ale mogą też zachodzić na szerszą skalę. Dzieje się to, gdy dwa typy spokrewnionego wirusa zainfekują tę samą komórkę. Wówczas wymieniają się fragmentami materiału genetycznego – co nazywamy rekombinacją. Oba typy modyfikacji genetycznej są motorem ewolucji wirusów, która może unowocześnić ich arsenał. Jak szybko może ona przebiegać, widzimy choćby po wirusie grypy, którego zmienność sprawia, że powinniśmy ponawiać szczepienia co roku.

Osłonki – albo inaczej: kapsydy – czyli drugi komponent wirionów, chronią materiał genetyczny. To po prostu płaszcz złożony z białek. Podjednostki, które go budują, mogą układać się na różne sposoby. Czasem tworzą wydłużone struktury, u innych wirusów przybierają mniej lub bardziej kuliste formy. Niektóre z nich zawierają dodatkowe elementy: helikalny ogonek czy dodatkowe włókienka, które od niego odchodzą. Choć wizualnie takie struktury przypominają elementy służące do poruszania, same wiriony nie potrafią się aktywnie przemieszczać. To, czy dotrą do celu, zależy od chaotycznych ruchów płynów (cieczy i gazów), w których się znajdują, zwanych ruchami Browna.

Dezynfekcja pokładu samolotu Thai Airways International w związku z zagrożeniem epidemią koronawirusa z chińskiego Wuhan. Tajlandia była jednym z pierwszych krajów, w których zanotowano przypadki zarażeń.

PATIPAT JANTHONG / SOPA / SIPA / EAST NEWS

Koewolucja, ucieczka, regresja

Jedna z największych zagadek związanych z wirusami dotyczy ich pochodzenia. Istnieją na ten temat trzy główne teorie. Według pierwszej – „teorii koewolucji" – wirusy powstały z bulionu pierwotnego, czyli mieszaniny związków organicznych, która dała początek życiu na naszej planecie. Istniały tam jako jednostki zdolne do samoreplikacji, czyli tworzenia swoich kopii, w wyniku zachodzących samoistnie reakcji chemicznych.

Większość biologów jest zgodna, że pierwszymi takimi molekułami były cząsteczki RNA. Być może ich potomkowie zdołali rozwinąć umiejętność infekcji pierwszych komórek. Prawdopodobnie stało się to, kiedy ewolucja wykształciła już bardziej złożone struktury, czyli cząsteczki DNA i kodowane przez nie białka. Wtedy samowystarczalne cząsteczki RNA utraciły swoje właściwości. Uzależniły się od wewnętrznego środowiska pierwotnej komórki, która oferowała im pełen zestaw enzymów potrzebnych do powielania. Nie można jednak wykluczyć, że więź między tym, co ożywione, a wirusem zawiązała się na wcześniejszych etapach ewolucji życia.

Z kolei „teoria ucieczki" zakłada, że wirusy pochodzą od rozmaitych fragmentów materiału genetycznego obecnego w organizmach żywych, m.in plazmidów. Tak nazywamy rozsiane po komórce bakteryjnej cząsteczki DNA, które kodują m.in geny oporności na antybiotyki. Jednak przyjmując tę koncepcję musimy wykazać, że uniezależnione elementy genetyczne nabyły zdolność do tworzenia kapsydu. Częściej zakłada się odwrotny scenariusz. Twierdzi się, że to plazmidy powstały z wirusów, które utraciły geny kodujące potrzebne do stworzenia osłonki białka i rozpoczęły „nowe życie" wewnątrz komórek.

Trzecią z możliwych wersji wydarzeń opisuje „teoria regresji". Mówi ona, że wirusy powstały z komórek, które utraciły większość informacji genetycznej. Takie komórki miałyby zachować jedynie te części, które były niezbędne do replikacji. Jeśli przyjmiemy, że ta teoria jest prawdziwa, to musiało to nastąpić w czasach bardzo pierwotnych komórek, jeszcze przed powstaniem rybosomów, czyli struktur komórkowych służących do syntezy białek zgodnie z przepisem zawartym w genach. To mogłoby tłumaczyć brak rybosomów u wirusów oraz ich obecność u innych pasożytów komórek.

Nieoczywista społeczność

Jak dotąd działanie wirusów ukierunkowane na zawładnięcie komórką żywego organizmu rozpatrywano raczej indywidualnie. Niewiele osób myślało o nich w kategoriach „społecznych" – być może dlatego, że nie spełniają one kryteriów organizmu żywego. Coś martwego trudno podejrzewać o złożone „zachowanie" grupowe.

Z drugiej strony wirusy zawierają przecież materiał genetyczny – a więc w teorii powinny działać zgodnie z logiką „samolubnego genu", opisaną przez Richarda Dawkinsa w jego najsłynniejszej książce. Przyjmując tę perspektywę, na organizmy żywe powinniśmy patrzeć jako na swoiste „maszyny przetrwania" genów, które zostały wynalezione dlatego, że umożliwiają genom skuteczne tworzenie swoich własnych kopii.

Zgonie z koncepcją Dawkinsa zbudowanie żywego organizmu to tylko jedna z możliwych strategii przetrwania i powielania się „samolubnych" genów. Budowa cząsteczki wirusa – pasożytującego na organizmach – może być po prostu strategią konkurencyjną, wykorzystaną przez inne geny. A skoro tak, to jednak nie powinniśmy wykluczać możliwości spotkania także u wirusów bardziej złożonych zjawisk „społecznych", obejmujących np. komunikację czy współpracę. Takie działania w obrębie grupy – powszechnie występujące w świecie ożywionym – są w końcu sprawdzonym sposobem replikowania się „samolubnych" genów.

Wewnątrz komórki

Poza komórką gospodarza cząsteczka wirusa nie różni się zasadniczo od ziarenka piasku unoszącego się na wietrze. Wszystko zmienia się, gdy materiał genetyczny intruza pojawi się wewnątrz ↦

żywej, prowadzącej przemianę materii komórki – np. bakterii. Wtedy to machina biochemiczna gospodarza zostaje wykorzystana przez faga (lub bakteriofaga) – jak nazywamy wirusy atakujące te mikroorganizmy. W jaki sposób się to dzieje?

W przypadku najlepiej scharakteryzowanego bakteriofaga T4 wygląda to następująco. Na początku taki wirus „szuka" odpowiednich cząsteczek na powierzchni bakterii, z którymi mógłby się związać. Gdy na nie natrafi, przyczepia się do powierzchni. Następnie nadtrawia ścianę komórkową mikroba, używając enzymów, które ma w swoim arsenale. Jednak wirus nie wchodzi do środka. Przez utworzony kanał wstrzykuje tylko swój materiał genetyczny, który czasem może przypominać kształtem DNA bakterii. Właśnie w tym momencie wirus, który nie ma własnych narzędzi do wytworzenia kolejnych pokoleń intruzów, musi skorzystać z aparatu komórkowego zainfekowanego mikroorganizmu. Kiedy mu się to uda, ma do wyboru dwie drogi infekcji. Pierwsza z nich nazywa się cyklem litycznym.

W jego trakcie po przejęciu metabolizmu bakterii wytwarzane są cząsteczki białka oraz materiału genetycznego wirusa. Z tych pierwszych powstaje osłonka. Po złożeniu obu elementów dochodzi do rozpuszczenia ściany komórkowej bakterii, co umożliwiają specjalnie wyprodukowane enzymy. Następuje pęknięcie całej komórki, czyli tzw. liza – od której pochodzi nazwa cyklu. Nowe pokolenie intruza zostaje rozrzucone dookoła i czeka na sposobność infekcji kolejnych komórek.

Druga z możliwych dróg inwazji komórki bakteryjnej jest z pozoru mniej agresywna. Nazywamy ją cyklem lizogenicznym. Początek wygląda tak jak w przypadku pierwszej wersji wydarzeń: przyczepianie wirionu do bakterii i wprowadzenie do niej materiału genetycznego. Ten zaś po dostaniu się do komórki przyłącza się do DNA bakterii. Mikrob nosi go w sobie, żyjąc dalej, jakby nic się nie stało. W trakcie podziałów komórkowych ukryta informacja genetyczna intruza zostaje powielona wraz z DNA bakterii i trafia do komórek potomnych. W sprzyjających warunkach środowiska geny wirusa mogą się uaktywnić i zniszczyć komórkę, wchodząc w cykl lityczny.

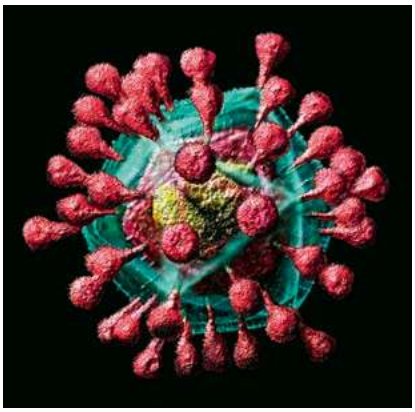

SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Wiron (cząsteczka) koronawirusa. Białkowa „korona" (kolor czerwony) umożliwia wirusowi infekcję komórek.

Podsłuchana rozmowa

O obu cyklach wiadomo już od dawna, ale przypuszczano, że wybór między jednym i drugim jest pasywny. Okazało się jednak, że po przejęciu dowodzenia nad bakterią konstruowane są również specjalne molekuły intruza, które są swoistą informacją pomagającą w komunikacji między wirusowymi pobratymcami. Za pomocą tych molekuł bakteriofagi dyskutują.

Jednym z niewielu opisanych przykładów takiej dysputy toczącej się nad wyborem strategii infekcji jest komunikacja między bakteriofagami phi3T, należącymi do rzędu *Caudovirales*, cechującego się, podobnie jak fag T4, wyrafinowaną budową (łac. *cauda* – ogon). Ich specjalnością jest infekcja bakterii *Bacillus subtilis* – pospolicie występującego w glebie mikroorganizmu, który rozkłada roślinne związki organiczne. Rozmowę po raz pierwszy „usłyszał" i zakomunikował w swoich badaniach zespół genetyka Rotema Soreka z Instytutu Naukowego Weizmana w Izraelu.

Jak przebiegała ta komunikacja? Pierwszym jej elementem jest cząsteczka zwana arbitrium. Jest ona peptydem, czyli związkiem zbudowanym z reszt aminokwasowych, podobnie jak białka, tyle że znacznie od nich krótszym – w tym przypadku złożonym z sześciu takich elementów. Jednak arbitrium nie od razu jest tak krótki. Manipulowana przez wirusa bakteria produkuje cząsteczkę złożoną aż z 43 elementów. Ta, podobnie jak wiele molekuł w organizmach, ulega docięciu do potrzebnej, funkcjonalnej długości. W tym przypadku dzieje się to na zewnątrz komórki bakterii, za sprawą odpowiedniego enzymu. Dopiero wtedy ten krótki peptyd może wejść do innych komórek bakterii. W dotarciu do ich wnętrza pomaga mu specjalna cząsteczka zwana transporterem. Gdy peptyd znajdzie się w bakterii, szuka partnera, z którym może się połączyć. Jest nim cząsteczką zwana AimR, która reguluje produkcję kolejnej cząsteczki – bardzo krótkiego RNA. Ta ostatnia promuje niszczenie komórki bakterii we wspomnianym cyklu litycznym.

W początkowych etapach infekcji arbitrium nie ma zbyt wiele. Wówczas AimR działa nieskrępowanie, wpływając pozytywnie na produkowany RNA, który promuje lizę komórki bakteryjnej. Z biegiem czasu infekcja postępuje, a wraz z nią produkcja wspomnianego peptydu. Ulega on akumulacji, aż do momentu, kiedy jego stężenie przekroczy poziom potrzebny do wiązania się z AimR. Taka usidlona molekuła nie może pobudzać produkcji RNA, a tym samym cyklu litycznego. Wirus wybiera drugą opcje – cykl lizogeniczny.

To bardzo ważna regulacja, ponieważ wirusy, odczytując informację przenoszoną przez arbitrium, dowiadują się pośrednio, że zdrowych komórek bakterii jest coraz mniej. Przełączenie cyklu pozwala zapobiec zabiciu całej populacji bakterii, która dzięki temu może się odrodzić i stać się gospodarzem dla kolejnych kopii intruzów.

Spisane na straty

Wirusy bywają również biernymi poliglotami. Potrafią nasłuchiwać innych języków. Przykładem jest fag infekujący *Vibrio cholerae* – bakterię, która wywołuje cholerę. Niedawne badania pokazują, że fag posiada w swoim materiale genetycznym informacje na temat tego, jak stworzyć „molekularne uszy", zdolne do wyłapania informacji płynących między komunikującymi się bakteriami.

Nośnikiem tych informacji są cząsteczki z grupy zwanej autoinduktorami. Ich zadaniem jest kontrola zachowań grupowych mikrobów, wliczając w to produkcję toksyn czy hamowanie tworzenia przez bakterie skomplikowanych struktur komórkowych określanych jako biofilmy (to skupiska wielu komórek bakterii, w ramach których także zachodzą złożone zachowania „społeczne"). Fag może wykorzystać taką wychwyconą informację, by dostosować swoje zachowanie do tego, co dzieje się w najbliższym otoczeniu.

To nie koniec „ludzkich” odruchów wirusów. Potrafią one zachowywać się również altruistycznie – czyli działać dla dobra innych intruzów. Gdy istnieje taka potrzeba, mogą nawet poświęcić za nich swoje „życie”. Takie zachowanie zaobserwowano niedawno wśród wirusów atakujących bakterię *Pseudomonas aeruginosa*, żyjącą w glebie, wodzie i na roślinach. Taka ofiarność części bakteriofagów jest potrzebna, ponieważ na ich drodze do przejęcia komórki stoją różne przeszkody. Nie wszystkie łatwo jest pokonać. Należą do nich nie tylko stosunkowo proste rozwiązania, takie jak otoczka śluzowa bakterii, która pokrywa jej powierzchnię, ale również wymyślne mechanizmy biochemiczne, takie jak CRISPR-Cas.

Ta ostatnia nazwa wymieniana jest często w kontekście systemu inżynieryjnego, który umożliwia przeprowadzanie precyzyjnej edycji genów. Takie manipulacje dają nadzieję na terapię nieuleczalnych chorób. System ten wywodzi się z mechanizmu obronnego bakterii przed wirusami. Jego zadaniem jest niszczenie genów niechcianych gości – precyzyjne odcinanie ich od własnych genów bakterii. Aby zwalczyć silny opór bakterii, fagi wyewoluowały białka zwane anty-CRISPR. Cząsteczki te mogą blokować działanie tej skomplikowanej machiny obronnej.

Sęk w tym, że pomyślna inaktywacja systemu odporności bakterii wymaga odpowiedniego stężenia białek wirusa, które mogą powstrzymać działanie tej zasadzki. Część z intruzów musi więc poświęcić siebie wyłącznie w celu wyprodukowania pewnej puli cząsteczek zdolnych do blokowania tego mechanizmu obronnego. Na nic więcej nie będzie mieć czasu – zginie. Początkowo stężenie białek będzie zbyt małe, jednak z czasem, wraz z kolejnymi „samobójczymi” atakami wirusów, liczba wspomnianych cząsteczek będzie wzrastać. Wreszcie uda się zablokować działania bakterii i przejąć nad nią dowodzenie.

Wirusy bywają również biernymi poliglotami. Potrafią reagować na substancje służące bakteriom do komunikacji i zmieniać pod ich wpływem swoje zachowanie.

Terapie i podręczniki

Działania altruistyczne bakteriofagów, które giną, aby inne bakteriofagi mogły z powodzeniem zainfekować komórkę, tak naprawdę służą powieleniu tych samych genów wirusa. Może się to wydawać zaskakujące, dopóki nie uświadomimy sobie, że zarówno poświęcające się cząsteczki wirusa, jak i ich kopie, które na tym altruizmie korzystają, zawierają podobny lub identyczny materiał genetyczny (jest to zatem przykład tzw. altruizmu krewniaczego). Z perspektywy genu nie jest ważne, kto będzie jego nosicielem czy w jaki sposób zostanie przekazany. Istotne jest tylko, żeby ostatecznym rezultatem było jak najwięcej kopii.

Co ciekawe – i także zgodne z przewidywaniami koncepcji samolubnego genu – nie zawsze pomiędzy bakteriami a wirusami dochodzi do konfliktów. Czasem geny wirusowe współpracują z bakteryjnymi, np. warunkującymi oporność na antybiotyki. Te ostatnie, zamknięte w nowych cząstkach wirusa, wędrują z bakterii do bakterii, zwiększając prawdopodobieństwo ich przetrwania. Taka współpraca korzystna jest również dla genów fagowych. Przecież mikroorganizm, który zyskał niewrażliwość na dodatkową substancję (np. aplikowaną przez lekarzy), przeżyje, a w niej sam wirus, który będzie mógł swobodnie tworzyć kopie swoich genów.

Wykrycie molekularnej „mowy” wirusów nie tylko sprawia, że musimy uzupełnić nasze podręczniki do mikrobiologii o kolejne rozdziały, ale może również nieść ważne zastosowania medyczne, ułatwiając tworzenie terapii antybakteryjnych. W czasach, w których antybiotyki przestają działać (ponieważ bakterie ewoluują i uodparniają się na nie), takie poszukiwanie alternatyw jest konieczne. „Podsłuchując” komunikację wirusów, możemy dowiedzieć się czegoś więcej o ich śmiercionośnych dla mikrobów strategiach działania, a także odkryć słabe punkty w mechanizmach obronnych bakterii. Niektórych leków nie musimy wymyślać – przyroda już je za nas wynalazła. © MARIUSZ GOGÓL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„Tygodnik Powszechny” i Nowy Teatr zapraszają na kolejne spotkanie z cyklu TrzePak w Nowym

MOC KOBIET

O feministkach, działaczkach, matkach, siostrach, polityczkach, teolożkach, partnerkach, pisarkach, aktorkach, naukowczyniach, dziennikarkach. O miesiączce, porodzie i trudnym macierzyństwie, a także molestowaniu, przemocy i stereotypach – wśród podejmowanych tematów nie ma tabu. Obok kwestii trudnych również te, które opisują doświadczenie kobiecej wspólnoty i siostrzeństwa. Świadectwa kobiet spełnionych i mistrzyń oraz wątek religijności kobiet.

W dyskusji wokół tematów poruszanych w wydaniu specjalnym „Moc kobiet” udział wezmą Justyna Bargielska, Justyna Dąbrowska i Zuzanna Radzik. Rozmowę poprowadzi Michał Okoński.

Do zobaczenia we **wtorek 11 lutego o godz. 18.30** w Nowym Teatrze przy ul. Madalińskiego 10/16 w Warszawie.

NOWY TEATR

Wydanie specjalne do nabycia tylko w sklepach z dobrą prasą oraz na powszech.net/mockobiet

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

ZA DUŻO WRAŻEŃ

BARTOSZ BIELENIA, AKTOR:

Mama powiedziała, że skoro tak dobrze mi poszło w „Małym Księciu", to warto zapisać się do kółka teatralnego. Zacząłem jeździć na konkursy recytatorskie i je wygrywać. Spodobało mi się to wygrywanie.

Spotykamy się na krakowskim Podgórzu, niedaleko Teatru Nowego Proxima, który kilka dni wcześniej na swoim facebookowym profilu zachęcał widzów: „Ostatni raz? Być może już nigdy nie zobaczymy Bartosza Bieleni na krakowskiej scenie. Trzymamy kciuki za oscarową karierę kolegi i ostatkiem miejsc zapraszamy na »Dług« Jana Klaty z Bartoszem 15 i 16 styczna o 18.00".

BARTOSZ BIELENIA: Zrobimy ze znajomym zdjęcie na tyłach kamienicy i możemy zaczynać. *(Wraca po kilku minutach)*

Wycięli dąb. Stary był, piękny. Podobno korzenie zagrażały fundamentom. Podobno...

ANNA GOC: Sprawdzicie to?

Chyba nie, zresztą, za późno na interwencję. Przynajmniej dla tego dębu. „Ale jest dużo innych sposobów, żeby robić coś dobrego" – jak to mówi Łukasz Simlat w „Bożym Ciele".

Jeden sposób, Twój?

PRZEMEK KRZAKIEWICZ

Nie kupuję nowych rzeczy. Bluzę, którą mam na sobie, dostałem w prezencie, podobnie buty. Spodnie są po Wojtku Kalarusie, skarpetki już nie pamiętam po kim, płaszcz po planie, czapka po innym koledze. W teatrze co chwilę się czymś wymieniamy – ktoś mówi: „nie mam płaszcza na zimę", ktoś inny: „ja mam dwa, przyniosę ci".

Ostatnio jedna z koleżanek, z którą gram w „Długu", opowiedziała nam o umowie, jaką podpisała ze znajomymi – nie kupią żadnej nowej rzeczy w tym roku. Gdybym miał wymienić, ile przybyło mi w ubiegłym, zmieściłbym się w dziesięciu. Nawet prezentów staram się nie kupować. Na Boże Narodzenie nagrałem rodzicom audiobooka „Sklepów cynamonowych". Schulzem fascynuję się od podstawówki, co to jest za język!

Gdy dostajesz tekst scenariusza – filmowego czy teatralnego – przeczuwasz, że nic dobrego z tego nie wyniknie?

Zdarza się.

Rezygnujesz wtedy z roli?

Nie, bo to tylko przeczucie, a jaki będzie efekt – tego nigdy nie wiadomo. Tak było z „Bożym Ciałem".

O!

Zaciekawiła mnie historia głównego bohatera – chłopaka z poprawczaka, który chciał być księdzem, a że z wyrokiem do seminarium nie przyjmują, postanowił udawać księdza. Ale miałem wątpliwości co do scenariusza. Myślałem, że sporo rzeczy zrobiłbym inaczej, niż zakładał. Nie wiedziałem, czy zmiany będą możliwe. Nie znałem scenarzysty, nie pracowałem wcześniej z reżyserem Janem Komasą, ani z operatorem Piotrem Sobocińskim. Już podczas pracy okazało się jednak, że są otwarci, pozwalają wpływać na dramaturgię. Jest na przykład scena, w której wezwano mnie do umierającej mieszkanki Jaślisk – pani Molińskiej. Idziemy przez wieś z Kościelną, rodzina już czeka, wpuszczają mnie do jej pokoju, zamykają drzwi, a po chwili ona umiera. To jeden z najważniejszych momentów dla udającego księdza Daniela. W pierwszej wersji scenariusza Molińska przeżyła, zmiany wprowadził już podczas zdjęć Piotr Sobociński.

Byłeś kiedyś przy umierającym człowieku?

Nie, i bardzo bałem się tej sceny. Dla mojego bohatera to był ważny moment – poczuł, że z udawaniem księdza nie ma żartów. Chodziło o prawdziwy sakrament, i to ostatni. Pamiętam tamten dzień. Jechałem w transporcie na plan i myślałem: „Jak to zrobić... jak to zrobić... Boże, jak to zrobić, żeby naprawdę być przy tej kobiecie, nie zagrać tej sceny?". Byłem przerażony. Może i dobrze.

Ks. Adam Boniecki opowiedział mi, że wezwano go do umierającej, bardzo cierpiącej młodej kobiety, która miała tylko jedną prośbę: „Niech mi ksiądz powie o Bogu dobrym". Nie wiedział, co powiedzieć, nie chciał powtarzać znanych frazesów. Od tego momentu jej pytanie mu towarzyszy.

Myślałem potem sporo o tamtej scenie. O tym, że czasem zapominamy, po co nam kapłani. Co nam może dać ich obecność. Ile jest momentów, gdy potrzebujemy takich ludzi.

Takich, którzy przeprowadzą.

Tak. Potrzebujemy ludzi od troski w naszych społecznościach. Czułych, opiekujących się innymi. Niekoniecznie muszą to być księża.

Daniel, którego obecność w bieszczadzkim miasteczku wpływa na całą społeczność, o Kościele – tym instytucjonalnym, jak i tym mistycznym – wie niewiele. W jednym przypomina młodego księdza – do swojej parafii trafia z zamkniętej społeczności – nie seminarium, lecz poprawczaka. Być może dzięki temu jest autentyczny?

Sporo o tym rozmawialiśmy z Jankiem Komasą, gdy spotykaliśmy się z ludźmi w poprawczakach i ich wychowawcami. Czuliśmy klasztorność tych miejsc: usystematyzowany tryb życia, odcięcie, niewielkie męskie grupy. W dodatku i klerycy, i wychowankowie zakładów poprawczych trafiają tam, gdy kształtuje się ich osobowość. W tym sensie wychodzący z poprawczaka Daniel mógł w niektórych zachowaniach przypominać kleryka opuszczającego seminarium.

Było coś, co pomogło Ci stworzyć Daniela?

Tę postać otworzyła mi jedna scena. Po wyjściu z poprawczaka Daniel robi pierwsze zakupy za pieniądze, które ukradł z tacy proboszczowi. Katarzyna Jędrzejczyk, rekwizytorka, spytała, co bym sobie za te ukradzione pieniądze kupił. Wybrałem ↦

BARTOSZ BIELENIA (ur. 1992) jest aktorem filmowym i teatralnym, absolwentem PWST w Krakowie. Zadebiutował w spektaklu „Mały Książę" w Teatrze Dramatycznym w Białymstoku (1999), w latach 2014-17 był aktorem Starego Teatru w Krakowie. Od 2018 r. w Nowym Teatrze w Warszawie. Laureat m.in. Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego, Paszportu „Polityki" w kategorii Film, zdobywca prestiżowego wyróżnienia wschodzącej gwiazdy europejskiego kina, które nadaje European Film Promotion. Wystąpił m.in. w filmach „Disco polo" (2015), „Na granicy" (2016) oraz „Boże Ciało" (2019), nominowanym do Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy (laureatów poznamy 9 lutego).

butelkę wody, paczkę cukierków i papierosy. Jeśli dobrze pamiętam, w filmie nie ma zbliżenia na koszyk z zakupami. Ale to był dla mnie ważny trop – Daniel jest trochę dzieckiem, a trochę dorosłym. Sprawia wrażenie, jakby dawno nie robił zakupów, nie do końca wie, jak się zachować, nie zna za dobrze realiów świata, do którego wrócił. To była najważniejsza intuicja na planie dotycząca Daniela.

Mówisz o Danielu jak o kimś obcym. Nie utożsamiasz się z nim.

Ciekaw jestem, czy to kwestia czasu, który dzieli mnie od tej roli? Ale właściwie chyba nigdy nie mówiłem o nim jak o sobie. Może nawet nie jesteśmy bardzo różni, ale na pewno oddzielni.

Która z zagranych postaci czerpie z Ciebie najbardziej?

Blisko mi do bohatera „Na granicy". Ostatnio nawet odświeżyłem sobie ten film. Zagrałem tam antypatycznego dzieciaka, który przechodzi przemianę w dorosłego. On i jego młodszy brat wyjeżdżają w Bieszczady z ojcem, żeby jakoś ułożyć sobie po nowemu relacje. Udało mi się ten fatalny moment młodzieńczej pychy mojego bohatera uchwycić. Dużo czerpałem z siebie, ze swoich doświadczeń. Może dlatego nie za bardzo lubię ten film.

Za dużo w nim Ciebie prawdziwego?

Być może. Postać Daniela z „Bożego Ciała" grałem bardziej intuicyjnie. Poza tym Daniel jest trochę naiwny w tym zaufaniu prostemu przykazaniu zostawionemu w Nowym Testamencie „Kochaj bliźniego, jak siebie samego" – pokochaj siebie, żebyś mógł pokochać innego człowieka. Pokochaj, żebyś mógł wybaczyć. Jak ktoś w ciebie kamieniem, ty w niego chlebem.

Coś Was łączy?

Może to, że obaj wątpimy, poszukujemy duchowości. Zresztą nie wiem na pewno, czy Daniel wątpi w instytucję, która nie chce go takim, jaki jest, z jego przeszłością. Czy wierzy? A jeśli wierzy, to w co? Być może zwątpienie pojawia się, gdy wraca do poprawczaka? Grając intuicyjnie, sporo zostawiam do interpretacji widzom. Na przykład w jednej z końcowych scen, gdy wszyscy wstają do modlitwy przed jedzeniem, ja zaczynam jeść. Czułem, że nie mogę zrobić nic innego.

KINO ŚWIAT / MATERIAŁY PRASOWE

Bartosz Bielenia w filmie „Na granicy", 2016 r.

Jeśli bohater, w którego się wcielasz, niewiele wie o kapłaństwie, Ty też pozwalasz sobie na niewiedzę?

Gdy przygotowywałem się do roli Daniela, tak założyliśmy – mam wiedzieć jak najmniej o tym, co przechodzi człowiek, który zostaje księdzem. Daniel być może nie wie, ile mówi się o pedofilii księży, ani tego, jak się nosić po księżowsku. Zna jednego księdza – Tomasza z poprawczaka, który jest dla niego wzorem. Chłonie każde jego słowo, próbuje go naśladować. Nie jest ukształtowany przez seminarium, nie zdążył się podporządkować żadnej strukturze. I to jest jego siła. Swoim kłamstwem, tym, że udaje księdza, uwalnia się od instytucji.

Podczas weneckiej premiery „Bożego Ciała" przyglądałeś się reakcjom widzów: jakbyś się zastanawiał, któremu księdzu kibicują bardziej – Danielowi, którego Kościół nie chce, czy Tomaszowi, reprezentującemu instytucję, struktury, zasady.

Ta opozycja byłaby możliwa, gdyby nie to, że ks. Tomasz jest z Danielem od początku szczery. Nie pozostawia mu złudzeń. „Nie przyjmą cię do seminarium, bo masz wyrok" – mówi wprost. Ale od razu dodaje coś ważnego, zdanie, które już dziś padło: „żeby robić dobro, nie musisz być księdzem". Jedną z moich ulubionych scen w „Bożym Ciele" jest ta, kiedy grający ks. Tomasza Łukasz Simlat wpada wściekły do kościoła, gdzie trwają przygotowania do mszy pożegnalnej Daniela. Już wie, że Daniel udaje księdza, ma ochotę dać mu w ryj, ale łapie się na tym, że jest w kościele, więc najpierw klęka w bocznej nawie, a potem biegnie do zakrystii i sprzedaje Danielowi lepa. Ta walka między strukturą, rytuałem a życiem jest w „Bożym Ciele" bardzo intensywna.

Bohaterami filmu są też prawdziwi mieszkańcy Jaślisk. Jak reagowali na Ciebie-księdza?

Przyjęli całą ekipę filmową ciepło. Ale jedno mnie zaskoczyło: jak niewiele trzeba, żeby wejść w znaną konwencję komunikacji proboszcz–parafianie.

To znaczy?

Zdarzało się, że niektórzy, trochę żartem, trochę serio, zwracali się do mnie jak do księdza. Wystarczyło założyć sutannę, by mechanizm zadziałał. Wiedzieli, że jestem z ekipy, ale kiedy kupowałem batona w sklepie, mówili „Szczęść Boże", a ja odpowiadałem. Zobaczyłem też, jakie to trudne być księdzem w parafii. Jaką nagle zyskuje się siłę. Ile jest pokus. I nie mówię tylko o tych fizycznych, z których mój bohater nie potrafi zrezygnować, ale też o duchowych. Łatwo przychodzi myśl: skoro jestem księdzem, znaczy, że

wiem lepiej, co jest dobre. Mam prawo decydować, kto zostanie wywyższony, a kto poniżony.

Kto zasługuje na pogrzeb, a kto nie – o czym decyduje Twój filmowy poprzednik.

Najbardziej czułem to, stając na ambonie. Ambona jest magiczną tubą. Jeśli mówisz stamtąd, ludzie naprawdę słuchają. Gdy ksiądz potrafi zebrać uwagę ludzi, choćby jej część, ma wpływ na ich myśli i wybory. Na ambonie czułem się jak na scenie. Scena ma podobną moc. Tyle że ludzie przychodzący do teatru wiedzą, że to, co się za chwilę wydarzy, będzie tylko propozycją. Że krytyczne podejście do spektaklu jest pożądane. Że mają do tego prawo. O tym, że ksiądz też proponuje nam swoją interpretację tekstu biblijnego – zapominamy.

Są księża, których interpretacja do Ciebie trafia?

Papież Franciszek – cenię go i jestem mu wdzięczny, że zwraca uwagę ludzi na sprawy, wobec których mogliby być sceptyczni. Choć czasem mówi nie moim językiem, np. o „grzechu ekologicznym", to trafia do mnie to, co robi. Wykorzystuje swój autorytet, by szerzyć dobro. Mówi, że w Kościele wszyscy są mile widziani.

Filmowy Daniel wierzy w moc modlitwy.

Ja też. Jeśli tysiące osób zwracają się wspólnie w modlitwie różańcowej w jakiejś intencji, wysyłają w rzeczywistość słowa, to one się roznoszą falą. Mają moc. Dlatego tak przeraziła mnie akcja „Różaniec do granic" – wykorzystano modlitwę przeciwko innym ludziom. Podobnie działa hejt w internecie.

Recenzje, które ukazały się w prasie europejskiej, nazywały „Boże Ciało" typowo polską opowieścią duchową. Zgadzasz się z tym?

Przez jakiś czas tak mi się wydawało, ale teraz myślę o tej historii, że mogłaby się wydarzyć wszędzie i nigdzie. Prześlizgujemy się po miejscu – bieszczadzkiej wiosce – w którym dzieje się akcja. Skupiamy się na ludziach, na ich twarzach, emocjach. Poza tym, co to znaczy duchowość polska? W Białymstoku, w którym się wychowałem, dużo silniejsza jest duchowość prawosławna. Wielu moich przyjaciół jest prawosławnych, na ich

Na ambonie czułem się jak na scenie.
Scena ma podobną moc. Tyle że ludzie przychodzący do teatru wiedzą, że to, co się za chwilę wydarzy, będzie tylko propozycją.

święta, podobnie jak na nasze, mieliśmy w szkole wolne. Dużo słyszałem o pięknych ceremoniach zaślubin, o niezwykłym śpiewie prawosławnym. Dlatego zacząłem chodzić na nabożeństwa prawosławne, podglądać tę obrzędowość, bardzo mistyczną. Podobała mi się tajemnica, która tam jest.

Mówisz, że miałeś szczęście do otwartego, wspierającego otoczenia. Ale Białystok jest znany i ze swojej brunatnej historii.

Taki Białystok też znam, choć wydaje mi się, że to problem wielu miast. Naszej nauczycielce z liceum, która na języku polskim opowiadała o Żydach, ich kulturze i o tym, że przed wojną Białystok był żydowskim miastem, wybijano w domu szyby. Tylko że ja zawsze powtarzam, że Białystok jest też otwarty. Podobnie jak o Polsce nie powiedziałbym, że jest tęczowa albo homofobiczna: jest i taka, i taka.

Wspomniałeś, że przygotowując się do roli Daniela, odwiedzałeś poprawczaki. O co pytałeś?

Jeździliśmy wspólnie z Jankiem Komasą, rozmawialiśmy więcej z wychowawcami niż z młodzieżą. Pytaliśmy, kim są ci, którzy tu trafiają, skąd przyszli, jak wygląda ich codzienność. Próbowałem sobie wyobrazić, co by było, gdybym w którymś momencie życia trafił gdzie indziej, spotkał innych ludzi. Gdyby moja osobowość odpłynęła i też trafiłbym do poprawczaka. Spędziliśmy w jednym z nich noc. Był nawet pomysł, żeby mnie tam przemycić, zamknąć na kilka dni. Nie zgodziłem się, bo wydawało mi się to złodziejskie: dać się zamknąć z własnej woli, żeby coś przeżyć. Musiałbym kłamać. Wampirzyć na tych, którzy żyli tam naprawdę. A tego nie chciałem.

Gdy ktoś Cię pytał podczas promocji oscarowej „Bożego Ciała", o czym ten film jest, co odpowiadałeś?

Mówiłem, że to film o miłości. O tym, żeby patrzeć na człowieka, który przychodzi do nas. Nie oceniając go, tylko poznając. Zdarzało się, że rozmawialiśmy o Polsce. Pojawiały się pytania o nasz skręt w prawo. Niektórzy byli w szoku, że są u nas neofaszyści. W kraju, w którym Niemcy wybudowali obozy i który został z bliskością tych miejsc: jak to możliwe, że neofaszyści wychodzą dziś na ulice, mają ochronę policji? W Stanach też mają problem z wrogością, budowaniem murów, i to dosłownych. Opowiadaliśmy, że jak wszyscy mówią o podziałach, obozach, o stadach, to my w „Bożym Ciele" o człowieku, który przychodzi do nas tu i teraz ze swoją historią.

Teatr Dramatyczny w Białymstoku wrzucił kilka dni temu Twoje zdjęcie: siedmiolatka grającego swoją pierwszą rolę w życiu – Małego Księcia.

Tamten czas w teatrze był najlepszym prezentem dla dziecka. Gasło światło, a ja zostawałem sam na mojej włochatej planetce. Byłem mały, a planetka dość wysoka. Na jej powierzchni były trzy wulkany. Pamiętam zapach dymu z dymiarki, siedzącego w środku planetki pana, który zajmował się sprawami technicznymi w teatrze i w odpowiednim momencie podawał mi różę. Mieliśmy umówiony system znaków. Potem przechadzałem się, niby w miejscu, oglądałem zachody słońca. Do teatru przynieśli mi nawet mały stołeczek z przedszkola.

Jaka była historia tego castingu?

Powiedziała mi o nim mama koleżanki z przedszkola. Wracały akurat ze spaceru, przechodząc obok naszego bloku, wstąpiły powiedzieć, że szukają małego blondyna do roli Małego Księcia. Grałem wtedy w koszykówkę, choć mama się upiera, że byłem w piaskownicy.

Jak na sześciolatka wersja mamy bardziej prawdopodobna.

Dalej twierdzę, że grałem w koszykówkę. Próbowałem dorzucić do kosza spod spódnicy. Pamiętam brudne od piłki dłonie. Mieliśmy starszego kolegę na osiedlu, sąsiada z piętra niżej, który fascynował się koszykówką, więc my wszyscy też się fascynowaliśmy. Nasze podwórko było za małe, żeby zrobić na nim boisko ↦

↦ do piłki nożnej, a jak graliśmy bez boiska, to łamaliśmy plastikowe daszki nad garażami, albo wybijaliśmy szyby w klatkach schodowych. Koszykówka była bezpieczniejsza.

I co mama na pomysł z castingiem?

Zgodziła się od razu. Potem wyznała, że pomyślała: jak mnie nie wezmą, to odwidzi mi się raz na zawsze. I będzie spokój.

Pamiętasz tamtą premierę?

Nie, ale pamiętam próby, a później fragmenty kolejnych spektakli, które w mojej głowie ułożyły się w jedno wspomnienie – jakby to był jeden spektakl, w przerwach którego grałem za kulisami z Moniką Zaborską w „Amse kadamse flore".

Pamiętam za to dobrze dzień, kiedy przyszła do mnie mama i powiedziała, że skoro tak dobrze mi poszło w „Małym Księciu", to chyba nie warto spoczywać na laurach i może bym się zapisał do kółka teatralnego.

Więc muszę oddać rodzicom, że nie tylko odradzali mi aktorstwo, ale był taki moment, że mnie nawet do niego zachęcali. Blisko naszego domu był młodzieżowy dom kultury, gdzie znaleźliśmy warsztaty teatralne i zajęcia z gitary. Do domów kultury przychodzili ludzie, którzy myśleli o aktorstwie, poznałem tam między innymi Magdę Koleśnik, teraz aktorkę Teatru Powszechnego. Zacząłem jeździć na konkursy recytatorskie i je wygrywać. Spodobało mi się to wygrywanie.

W międzyczasie okazało się, że Twoim sąsiadem jest Zdzisław Dąbrowski, wieloletni reżyser Teatru Polskiego Radia. Przygotowywał Cię do egzaminów?

Przychodziłem do niego raz na jakiś czas, omawialiśmy teksty, uczył mnie krytycznego podejścia. Pod koniec liceum zaczęły się przygotowania do egzaminów na serio.

Oceniał?

Tak. Często. Potem to zmieniło się w przyjaźń. Kiedy miał kłopoty z biodrem, nosiłem mu zakupy. Stał się członkiem naszej rodziny. Poszedłem na egzaminy do Warszawy, Krakowa i Łodzi. Nie przyjęli mnie do Warszawy, dzięki Bogu. Dostałem się do Łodzi i Krakowa, wybrałem Kraków.

Co Ci dała szkoła teatralna?

Środowisko. W szkole teatralnej reżyserowaliśmy się nawzajem, potrafiliśmy się odnieść do jakiegoś wspólnego wyobrażenia tego, co chcemy osiągnąć w spektaklu. Ufaliśmy sobie, że to nasze spojrzenie z zewnątrz ma wartość, że nikt nikogo nie chce skrzywdzić. Ale są też tacy profesorowie, przy których studenci mają poczucie, że dzieje im się krzywda.

> Krzysztof Globisz otwierał nam przestrzeń wolności. Ocenę zaczynał zwykle tak: „Robisz to świetnie, w życiu bym tego tak nie zrobił, **ale spróbujmy inaczej**".

O tym się mówi?

Coraz częściej. Studenci uczą się stawiać granice. To jest trudne, bo muszą je postawić profesorowi, który jest autorytetem – on ma nad tobą władzę, ocenia cię. Przygotowania do aktorstwa to jest praca w kontakcie z czyjąś opinią na twój temat, zawsze. Niestety, wchodząc na scenę, narażasz się na ocenę. Na temat tego, co robisz, jak wyglądasz, jaki jesteś, po co to robisz.

Idąc do szkoły teatralnej niby wiesz, że tak będzie. Potem wszystko zależy od tego, na jakich profesorów się trafi. Ja miałem szczęście, że pracowałem z dobrymi. Krzysztof Globisz otwierał nam przestrzeń wolności. Ocenę zaczynał zwykle tak: „Robisz to świetnie, w życiu bym tego tak nie zrobił, ale spróbujmy inaczej". Jan Peszek uczył nas precyzji i tego, co działa na scenie. Na zajęciach u niego powtarzaliśmy nieraz te same czynności, męcząc się fizycznie i uwalniając się od nas samych. Jedną z dróg pracy z nim było więc zmęczenie, które pozwalało przełamać bariery. Nauczył nas też, że w aktorstwie chodzi o momenty wolności na scenie.

Twoi rodzice są krytycznymi widzami?

O, tak. Sporo rzeczy im się nie podoba: tu ciebie było za mało, tu niepotrzebnie coś zrobiłeś, to mogłeś zachować dla siebie, to było trochę nudne. Pamiętam, że z „Hamleta" Krzysztofa Garbaczewskiego nie wszystko zrozumieli, ale mieli piękne przeczucia co do tego spektaklu.

Młodym aktorom wybacza się więcej?

Na pewno, myślę, że będę jeszcze tego doświadczał. Oczekiwania są nieco inne, czasem ktoś powie: „Nie spodziewałem się, że ten młody człowiek przy reszcie da sobie radę". Mam na to odporność. Zobaczymy, jaką.

Gdy trafiłeś do Starego Teatru, nazywało się Was – kilkoro najmłodszych aktorów – dziećmi Jana Klaty.

Zaufał nam, kiedy jeszcze nikt nam nie ufał. Klata wziął nas do teatru, dał pracę. Dzięki niemu zagrałem kilkanaście spektakli w Starym Teatrze u różnych twórców. Moje odejście ze Starego było formą protestu wobec zmiany dyrekcji, wobec niezrozumiałej decyzji ministra Piotra Glińskiego, która dziesiątkom osób zmieniła kilka lat życia. Jestem młody, więc mogłem sobie na to pozwolić.

Wybierasz reżyserów, od których możesz się czegoś nauczyć?

Patrzę na to inaczej: jeśli zaczynam pracę z jakimś reżyserem, czuję się gościem w jego świecie. Ten świat na mnie wpływa jak środowisko. Coś we mnie zmienia. Chyba w taki sposób możemy z tego czerpać.

Co jest tak ciekawego w świecie reżyserskim Charliego Kaufmana, że chciałbyś u niego grać?

Fantazja tego człowieka, jego wrażliwość, to jak mówi o filmie, o rzeczywistości.

W „Anomalisie" jest taka scena rozstania na korytarzu. Każde z nas doświadczyło chyba podobnego momentu w swoim życiu: intymności, pożądania, niezręczności. A Kaufman potrafi się nad tak zwykłym momentem zatrzymać, rozczulić, rozbić go na kawałki. Chciałbym być gościem w świecie Kaufmana. Ale jak na razie dostałem i tak za dużo, i za wcześnie. Czuję się tak, jakby ta nominacja do Oscara na nas spadła. Nagle się okazuje, że coś zrobiliśmy tak dobrze, że nominowali to do Oscara. Jak to możliwe? Dlaczego? Aż tak? Staram się to wszystko przetwarzać, wrażeń jest za dużo. Ale potem przychodzi też myśl, że każda następna rzecz będzie już trudniejsza.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Bożna Wydrowska w „Dobrze ci tego nie opowiem", reż. Anna Karasińska, Teatr Studio w Warszawie

PAT MIC / STUDIO TEATRGALERIA / KOMUNA WARSZAWA / MATERIAŁY PRASOWE

I kto tu jest przyszłością?

DARIUSZ KOSIŃSKI

W polskim teatrze coś się właśnie zasadniczo zmieniło. Niektórzy zadają wręcz pytanie: czy to w ogóle jest jeszcze teatr?

Już ponad sto lat temu obwieszczono nadchodzącą nieuchronnie śmierć teatru jako sztuki iluzyjnych przedstawień dramatycznych, pokazujących urzeczonym widzom świat lepszy, bo bardziej intensywny, łatwiej zrozumiały i zarazem mocniej odczuwany niż ten, do którego wracali, gdy spektakl był skończony. I rzeczywiście: pojawiło się kino, a po nim potop nowych, widowiskowych atrakcji. W teatrze nastąpił wielki kryzys, w Polsce (i tylko w Polsce) nazywany „wielką reformą".

W rezultacie tych wszystkich zmian niemal nie sposób sobie dziś wyobrazić, czym było wyjście do teatru dla mieszkańca Krakowa – powiedzmy młodego Stacha Wyspiańskiego – pod koniec lat 80. XIX wieku, nie mówiąc już o tym, czym było dla mieszkańca Warszawy – powiedzmy młodego Juliusza Słowackiego – 60 lat wcześniej. A mimo to nie sposób uznać, że jakiś „stary" teatr się całkowicie skończył, a jego miejsce bez reszty zajął „nowy", zupełnie inny.

I Juliusz, i Stach, i widz żyjący w zakończonym niedawno roku 2019 mogli obejrzeć spektakle oparte na tej samej zasadzie: grupa zawodowców gra grupę postaci, działających i mówiących według planu zapisanego w specjalnego rodzaju tekście. Przy wszystkich ogromnych różnicach estetycznych, obyczajowych, technicznych i wszelakich innych podstawowe zasady pozostają te same. Niektórzy sprowadzają je do formuły prostej jak konstrukcja cepa: „A gra B przed C".

Inni budują dla ich wyjaśnienia wyrafinowane teorie mające uchwycić istotę kluczowego tu słowa „gra", wyjaśnić, kim właściwie jest i co robi A, jak z dziwnego tekstu zbudowanego z samych wypowiedzi i zarysów akcji rodzi się B i co to wywołuje w C. Ale wystarczy posłuchać, w jakich kontekstach używa się na co dzień słowa „teatr", by pozbyć się wątpliwości, że w tzw. powszechnym rozumieniu żadna zmiana nie nastąpiła, a formuły jak cepy młócą bez ustanku.

Co to tak skrzeczy?

Gdybyśmy jednak w sezonie 2019/2020 poszli na kilka przedstawień granych w większości nie w żadnych alternatywnych czy offowych salach o ubogim wyposażeniu, lecz w stałych instytucjach teatralnych, niekiedy bardzo rozbudowanych i o długiej tradycji, to szybko zorientowalibyśmy się, że między wyobrażeniami i wyuczonymi lekcjami istnieją przepastne różnice nie do pogodzenia i przeskoczenia. ↦

↦ Na scenę wychodzi aktor znany wielu głównie z seriali. W bawełnianej koszulce i szortach wygląda, jakby za chwilę miał założyć jakiś kostium. I faktycznie mówi coś o mundurze, którego jednak nie ubiera. Zamiast tego zapowiada, że za chwilę sobie tu po scenie pochodzi, poszuka miejsca, potem się położy i będzie czuł, że nie ma siły – ale będzie to czuł nie jako postać, ale jako on. A kiedy już będzie gotowy, to mu puszczą piosenkę, a ta piosenka będzie o wojnie, bo całe przedstawienie jest o wojnie. I rzeczywiście wszystko to robi: chodzi, kładzie się, leży, przewraca na bok, a w pewnym momencie z głośników rozlega się piosenka disco polo, w której nie ma ani słowa o wojnie.

Do kresowej posiadłości bogaty magnat za ciężkie pieniądze sprowadza niewolników przywiezionych z Afryki. Teatr odsłania przed widzami nieznaną historię czarnoskórych Polaków, by uświadomić, od jak dawna cała Polska jest biała tylko w zimie (choć ostatnio i to się nie udaje). Nagle aktorzy przerywają rozwijającą się akcję i zaczynają ze sobą dyskutować. Zdejmują XVIII-wieczne kostiumy, by w sytuacji bliskiej teatralnej próbie odgrywać i omawiać sceny rasistowskich upokorzeń, znane czarnoskóremu reżyserowi i pochodzącej z Afryki aktorce z ich własnego życia. Ledwie oswoimy się z tą nową sytuacją i przeniesiemy nasze humanistyczne i antyrasistowskie sympatie na bitych i poniżanych, reżyser wykorzystuje swoją uprzywilejowaną pozycję, by zmusić białą aktorkę do rozebrania się i ponownego odegrania wspomnienia o tym, jak została na imprezie zgwałcona przez czarnego mężczyznę. Gwałt niech się gwałtem odciska...

Zamiast w teatralnej sali, jesteśmy w foyer. Biel jego ścian stała się jakby intensywniejsza, bo skontrastowana z czystymi i mocnymi kolorami wyświetlonymi na nich. Kolory i światła migają tak intensywnie i długo, że mimo usiłowań trzeba zamknąć oczy, nawet jeśli nie ma się problemów ze stroboskopami. Czy jeszcze da się mówić o widowisku, gdy nie można widzieć? Po chwili na jednej ze ścian wyświetlony zostaje film. Powracające projekcje będą stanowić główny nośnik fabuły, jeśli w ogóle jakąś fabułę da się tu odczytać. Pojawią się też żywi aktorzy w dziwnych kostiumach. Będą nawet emocjonalne monologi, ale między lotniczym terminalem, scenami z życia pewnego reżysera filmowego i wspomnieniem o sprofanowaniu świętego źródła nie ma prostych połączeń. Siedząca obok na podłodze kobieta odruchowo sięga po komórkę, ale reflektuje się i patrzy w nierealny błękit.

MARCIN OLIVA SOTO / TEATR NOWY

MONIKA STOLARSKA / TEATR KOCHANOWSKIEGO W OPOLU

„Czarna skóra, białe maski", reż. Wiktor Bagiński, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu. Powyżej: „To my jesteśmy przyszłością", reż. Jakub Skrzywanek, Teatr Nowy w Krakowie

Czwórka bardzo młodych ludzi opowiada o swojej niezgodzie na świat, jaki im stworzyliśmy. Opowiadają prosto i wprost, aż chciałoby się powiedzieć – szczerze. Są amatorami, którzy zgodzili się na przejście przez serię warsztatów z młodym, ale jednak starszym od nich o kilka lat reżyserem. Nie ukrywają tego. Nie ukrywają też, że wszystko, co mówią i robią – choć powstało w serii spotkań i wyrosło z improwizacji, jest już zafiksowane i stanowi stałą dramaturgię, strukturę ujętą w ramy „uczonego" komentarza mówiącego o rytuale inicjacyjnym. Ale gdy przeprowadzają proces odojcowienia, rośnie mi w gardle gula, której realności nie da się zakwestionować.

Ukryta zmiana?

Kolejne, całkiem liczne przykłady można by tu jeszcze długo podawać, nie wychodząc przy tym poza założone ramy czasowe (pierwsza połowa sezonu teatralnego 2019/2020) i instytucjonalne (stałe instytucje finansowane z pieniędzy publicznych). Formuła „A gra B przed C" zostaje w każdym z nich podważona i zdekonstruowana do takiego stopnia, że przestaje mieć sens wyjaśniający cokolwiek.

Można oczywiście powiedzieć, że aktorzy „To my jesteśmy PRZYSZŁOŚCIĄ!" z Teatru Nowego Proxima w Krakowie

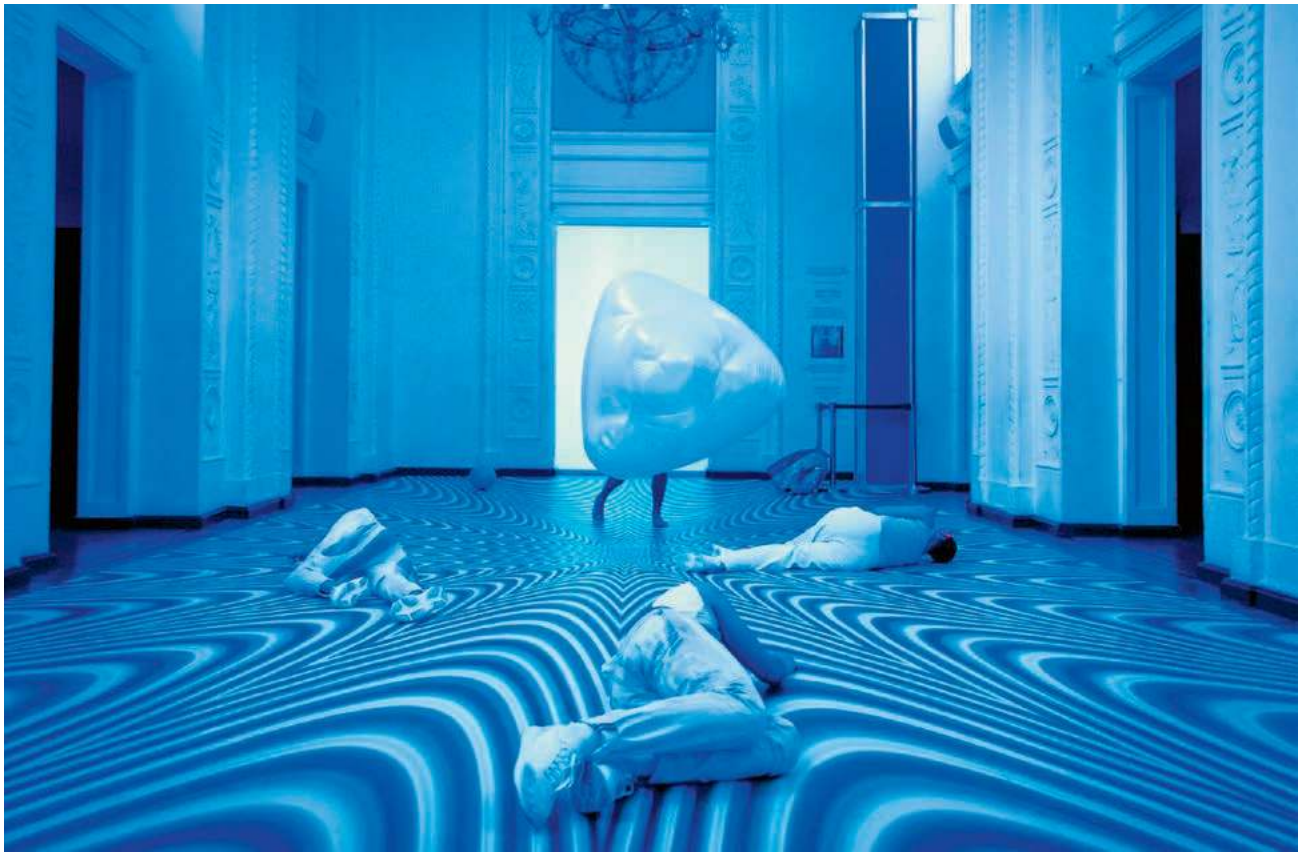

PAT MIC / MATERIAŁY PRASOWE

„Chroma", reż. Grzegorz Jaremko, Teatr Studio w Warszawie

(reżyseria Jakub Skrzywanek), czy przedstawienia „Czarna skóra, białe maski" w Teatrze im. Jana Kochanowskiego w Opolu (reżyseria Wiktor Bagiński) grają na scenie jakąś wersję „siebie", więc i tak spełniają podstawową formułę. Tyle że właśnie „granie siebie" oznacza rezygnację z postaci: tej fascynującej osoby, która pojawia się przed nami wcielona w aktorkę, ale oczywiście z nią nietożsama, zaburzając podstawowe mechanizmy porządkowania świata.

Gdy zamiast postaci na scenie działa Sibonisiwe Ndlovu-Sucharska opowiadająca i odgrywająca upokarzające procedury związane ze staraniami o legalny pobyt w Polsce, to ta współinność postaci znika. Znika też, gdy osoby działające w „Chromej" według Dereka Jarmana z Teatru Studio w Warszawie (reżyseria Grzegorz Jaremko) nie przyjmują stałej tożsamości, ale prowadzą linię działań, dla których kategoria postaci ma znaczenie trzeciorzędne, nawet jeśli pojawia się jako echo czegoś dawnego i odległego, ledwie pamiętanego.

A już całkowicie (i jak sądzę świadomie) rozmontowuje formułę tego, co powszechnie rozumie się jako teatr, Anna Karasińska, której najnowsze przedstawienie „Dobrze ci tego nie opowiem" (produkcja Komuny Warszawa, grana w Teatrze Studio) nie ma już nic z żartobliwych i dobrze się opowiadających konceptów znanych z jej wcześniejszych dokonań, rozwija za to artystyczną strategię przedstawień poetyckich, budowanych misternie i mistrzowsko z tego, co zostaje, gdy mechanizm teatralny rozłoży się na cząstki pierwsze.

Nie sposób mieć wątpliwości (a jestem wręcz pewien, że nie mają ich widzowie – wszystko jedno: entuzjastyczni, krytyczni czy obojętni), że żadnego z przywołanych przedstawień nie da się ująć w tradycyjnej formule teatru, nie da się sensownie opowiedzieć przy pomocy zwrotów zwyczajowo do tego używanych. Nie „wystawia się" tu „sztuk", bo nie ma czegoś takiego jak istniejące uprzednio „sztuki", które w trakcie prób i spektakli ktoś „in-scenizuje". Nie „gra się" tu „ról", bo albo „granie" zostaje zamienione na wykonywanie określonych sekwencji działań, albo „role" rozpadają się na serię przejawów, albo też tracą fundujący je dystans do „aktora".

Nie jest to więc teatr „wciągających historii", „narastającego napięcia", „wczuwania się", „utożsamiania z bohaterem", nie mówiąc już o „zapomnieniu o prawdziwym świecie" czy wręcz „zapomnieniu, że się jest w teatrze", co przecież ponad sto lat temu było najważniejszym doznaniem, po które widzowie do teatru przychodzili. Wyobrażam sobie wprawdzie, że pan Stach może by się ucieszył, oglądając któreś z opisanych wyżej przedstawień, ale pan Stach był człowiekiem wyjątkowym. Ci, z którymi w młodości chodził do teatru, najpewniej byliby zdziwieni i zirytowani.

Niewspólnota?

Irytacji nie kryje też wcale niemała grupa ludzi, którzy domagają się „prawdziwego teatru", uważając, że to, co się dokonuje na polskich scenach od kilku dekad, a co czasami nazywają wziętym od niemieckiego teoretyka Hansa-Thiesa Lehmanna słowem „postdramat" – to aberracja niszcząca kulturę teatralną. Nie mówię o ideologach i politykach, którzy z zasady wypowiadają się o tym, czego nie widzieli, a teatr znają głównie z legend i niejasnych wspomnień z młodości (choć ich nostalgie i fantazje oczywiście mają znaczenie). Mówię o widzach i krytykach chodzących do teatru regularnie, którzy chcą i domagają się teatru „tradycyjnego" – dramatycznego (co nie znaczy koniecznie – klasycznego i konserwatywnego), aktorskiego, niedoraźnego (co nie znaczy – ↦

↦ apolitycznego), a przede wszystkim „profesjonalnego", to znaczy zapewniającego przyjemność płynącą z pogłębionych doznań estetycznych i intelektualnych związanych z przeżyciem mocnej i fachowo zbudowanej kompozycji artystycznej oraz odczytania wpisanych w nią znaczeń. Staram się uczciwie opisać tę potrzebę, rezygnując z wszelkiej drwiny, bo wierzę w jej autentyczność i sam ją czasem odczuwam, nawet jeśli bardziej pasjonuje mnie ten „inny teatr", na którego „dominację" tęskniący za sceną dramatyczną tak narzekają.

Choć nie nastąpiło radykalne zanegowanie, odrzucenie, przekreślenie „teatru starego" i całkowite przejście na jakiś jeden „nowy", to nastąpiła zmiana, której nie sposób nie dostrzec i (wbrew tęsknotom) odwrócić. To, co przez sto lat było lokowane w oddzielonej od „normalnego teatru" niszy zwanej „awangardą", „eksperymentem", „laboratorium" czy „alternatywą", albo wiązane z indywidualnym stylem wyjątkowych artystów, stało się częścią teatralnej codzienności, a nawet więcej – podstawowym sposobem działania, swoistym elementarzem całej generacji reżyserek i reżyserów.

O ile narodzony przed ponad 20 laty „nowy teatr" wiązany z uczniami Krystiana Lupy, przede wszystkim z Krzysztofem Warlikowskim i Grzegorzem Jarzyną, miał jeszcze silną sygnaturę osobowości, znamiona przełomu, a nawet swój manifest autorstwa Macieja Nowaka, o tyle to, co właśnie następuje, choć tych wszystkich spektakularnych symptomów jest pozbawione, oznacza zmianę większą i głębszą, bo dokonującą się na poziomie podstawowego wyposażenia dużej grupy twórczyń i twórców. Odejście od tradycyjnych formuł nie jest w ich przypadku manifestacyjnym gestem przełomu, wyrazem buntu czy oznaką wyjątkowej osobowości i oryginalności. Jest czymś przeciwnym – punktem wyjścia, alfabetem, podstawą do poszukiwania własnego języka.

Choć nie nastąpiło radykalne zanegowanie, odrzucenie, przekreślenie „teatru starego", **to nastąpiła zmiana, której nie sposób już odwrócić.**

Nie wynika nawet z niechęci czy (jak niezbyt mądrze twierdzą niektórzy tradycjonaliści) z nieumiejętności tworzenia przedstawień dramatycznych. Wynika z prostego faktu, że teatr jest dla tych artystek i artystów od samego początku i u samych podstaw czymś zupełnie innym, a zarazem dającym tak różnorodne możliwości, że poza owymi podstawami i punktami wyjścia trudno wskazać coś, co miałoby ich łączyć. Ich postaw i dokonań nie da się już ująć w zgrabne formuły podobne tym, które kiedyś na tych łamach proponowali moi znakomici poprzednicy: Piotr Gruszczyński („młodsi zdolniejsi") czy Marcin Kościelniak („młodzi niezdolni"). Jest tak chyba dlatego, że lekceważąc czy też kwestionując podstawowe tradycyjne wyznaczniki teatru jako określonej praktyki kulturowej i artystycznej, nie czynią tego w sposób wyraziście wspólny i spójny. Zarazem jednak dokonują zmiany tak zasadniczej, że stawiane im jako zarzut pytanie: „Czy to w ogóle jest teatr?", wcale nie wydaje się absurdalne.

Dla widzów oczekujących widowisk należących do tego ich typu, który narodził się w nowożytnej Europie w drugiej połowie XVI i pierwszej XVII wieku, a następnie rozpowszechnionych po całym kontynencie, z którego – wraz z kolonizatorami – rozlał się na cały świat, spotkanie z propozycjami przedstawicieli rosnącej grupy artystów tworzących przedstawienia podobne do opisanych powyżej zazwyczaj jest źródłem konfuzji. Nie dostają bowiem niczego lub prawie niczego z tego, czego się spodziewali. Bardzo chcą „odczytać" i „zrozumieć", a przynajmniej „przeżyć", ale napotykają na ogromne i jakby świadomie piętrzone trudności. Zamiast poczuć się lepiej, „ubogacić" i „ukulturalnić" (używam tych słów świadomie i bez ironii), zostają zmuszeni do sporego wysiłku, nie mając podstawowych instrukcji na temat tego, czego się od nich oczekuje. A zazwyczaj oczekuje się wiele, bo wspomniana konfuzja oznacza stan wyjścia poza spodziewane, pierwszy etap w wymaganej od widzów pracy wytworzenia sensu doświadczenia teatralnego dla siebie.

To może tej zmiany, którą usiłuję opisać, punkt najważniejszy: zamiast tworzyć mocne komunikaty wyrastające z przekonania, że publiczność powinna być prowadzona silną ręką ku zakładanym wrażeniom, doświadczeniom i refleksjom, twórczynie i twórcy przedstawień, o których mówię, działają raczej w polu dekonstrukcji i osobliwości, zwracają się przeciwko już istniejącym sposobom ujmowania i rozumienia (a wszak imię ich Legion). Dążą do powołania doświadczenia pojedynczego, niepowtarzalnego, które – i to rzecz ważna, sprawiająca, że ta praca odbywa się wciąż w salach teatralnych – stanowi element współtworzącej się mnogości, a nie wspólnotowej jedności, o jakiej śnili reżyserzy generacji poprzednich. W rezultacie kluczowe wartości tych przedstawień, ich sensy też przestają być wspólne i jednoczące, a powstają jako zbiory jednostkowych reakcji, doświadczeń i refleksji, które – to kolejna rzecz kluczowa – nie muszą być uzgadniane. Zamiast teatru powołującego i umacniającego wspólnotę, mamy przedstawienie jako spotkanie z własną pojedynczością, z nieusuwalną samotnością, z niedającą się delegować na cokolwiek i kogokolwiek odpowiedzialnością za swoje życie.

Oddycha z ulgą pan Juliusz, którego Kordiana poszukującego sensu dla siebie tak boleśnie pomylono z Konradem. Oddycha z ulgą pan Stach, którego zbyt pospiesznie zapisany w liście do przyjaciela sen został wykuty na bramach teatralnej świątyni narodowej. I wy odetchnijcie z ulgą. Wprawdzie: „będziecie też musieli – myśleć!", ale przecież: „Najcenniejszy to podarunek, jaki można otrzymać".

© DARIUSZ KOSIŃSKI

Sprostowanie

W tekście „Prosto i z krzykiem" opublikowanym w „TP" nr 5/2020 z mojej winy znalazły się błędne informacje dotyczące współpracy Lecha Raczaka z Festiwalem Malta. W roku 1993 artysta został zaproszony w charakterze dyrektora artystycznego przez kierującego festiwalem od początku Michała Merczyńskiego i zgodnie z zapowiedziami odszedł z zespołu w roku 2012. Nieprawdziwe jest więc stwierdzenie, że festiwal Raczakowi „zabrano".
Za błędną interpretację wiadomości z drugiej ręki wszystkich zainteresowanych przepraszam.

DARIUSZ KOSIŃSKI

MIKE GOLDWATER / ALAMY / BEW

Roger Scruton na swojej farmie Sunday Hill, Wiltshire, luty 2011 r.

Na śmierć konserwatysty

DOROTA KOZIŃSKA

Głosił potrzebę odnowienia idei wspólnoty zgodnie z naturą, w odwiecznym rytmie płodzenia, podtrzymywania życia i umierania. Podkreślał rolę przeżycia duchowego w kształtowaniu postaw ekologicznych. Czy ktoś widział taką prawicę u nas?

W marcu ubiegłego roku uczniowie pewnej szkoły podstawowej pojechali na wycieczkę do Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu. Wśród rozlicznych celów tej edukacyjnej wyprawy wymieniano między innymi uzmysłowienie niszczącej siły totalitaryzmu oraz budowanie sprzeciwu wobec wszelkich przejawów nienawiści. Krótką wzmiankę w szkolnej witrynie internetowej opatrzono następującym mottem: „Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by dobry człowiek niczego nie robił".

Sześć lat temu wysoko postawiony działacz pewnej skrajnie prawicowej partii opublikował w sieci coś w rodzaju manifestu, argumentując, dlaczego warto angażować się w politykę. W tekście wspomina o naszych „trupach teatralnych wyjeżdżających na komediowe występy do Brukseli", o antypolskim lewactwie spod znaku dewiacji i hordach pachołków Platformy Obywatelskiej. Redakcja portalu zamieściła w leadzie cytat, który przytoczył także autor artykułu: „Aby zło zatriumfowało, wystarczy, by...". No właśnie, jak wyżej...

Cytat pochodzi z listu Edmunda Burke'a (1729-97) do kapitana Thomasa Mercera, który próbował polemizować z jego krytyką rewolucji francuskiej. Wystarczy krótka kwerenda w internecie, by się przekonać, że na skrzydlate słowa ojca nowoczesnego konserwatyzmu (Burke'a właśnie – jeśli ktoś nie wie) równie ochoczo powołują się feministki związane z ruchem #MeToo, dziennikarze śledczy zajmujący się tropieniem przypadków pedofilii w polskim Kościele, sztaby wspierające kandydatów w zbliżającym się wyścigu do Pałacu Prezydenckiego, jak członkowie stowarzyszenia antyszczepionkowców STOP NOP.

Nie przypadkiem odnoszę się do cytatu z Burke'a, bo zmarły 12 stycznia sir Roger Scruton słusznie uchodzi za głównego spadkobiercę dorobku irlandzkiego filozofa. Ale, co dziwne, za jego spadkobierców uznają się co bardziej intelektualnie żwawe postaci naszej prawicy. Odnoszę się ku przestrodze, bo odejście Scrutona zbiegło się w czasie z ogólnoświatowym triumfem populizmu, antyracjonalizmu, antyelitaryzmu i siermiężnego pragmatyzmu, przed którym bronimy się coraz bardziej nieudolnie, często wpadając w myślowe pułapki oponentów, albo i wrogów. Między innymi dlatego tylu z nas bezrefleksyjnie powołuje się na słowa ↦

↦ Burke'a, nie znając ich pierwotnego kontekstu, czasem nie wiedząc nawet, kim był ich autor. A Burke gdzieś w zaświatach śmieje się w kułak i przypomina Scrutonowi, że nie ma lepszych pomocników nad oponentów. Prawda, sir Rogerze?

Nasz ci on?

Święty patron konserwatystów Burke i jego odległy kontynuator Scruton pochodzili z całkiem odmiennych środowisk. Burke przyszedł na świat w zamożnej rodzinie o anglo-normandzkich korzeniach, wytrwał w anglikańskiej wierze ojca i w wieku niespełna czterdziestu lat został posłem do Izby Gmin z ramienia Partii Wigów. Scruton był synem nauczyciela z Manchesteru, który nienawidził arystokracji jak zarazy, hołubionym przez matkę, która z kolei snuła romantyczne fantazje o swoich rzekomo błękitnokrwistych przodkach.

Państwo Scrutonowie uważali się za humanistów i wychowywali dzieci bez religii. Kiedy Roger zdał egzaminy po szkole średniej z wynikiem celującym i dostał stypendium do Jesus College, czyli Kolegium Błogosławionej Dziewicy Maryi, Świętego Jana Ewangelisty i chwalebnej Dziewicy Świętej Radegundy koło Cambridge, ojciec przestał się do niego odzywać. Z nauk ścisłych szybko przerzucił się na filozofię i ukończył studia *magnissima cum laude* pod opieką Alfreda Cyrila Ewinga, wybitnego filozofa religii i zwolennika metafizyki tradycyjnej. Po dwuletnim pobycie w Europie kontynentalnej, m.in. we Francji, gdzie poznał swoją pierwszą żonę, Scruton wrócił do Cambridge, żeby poświęcić się pracy nad dysertacją doktorską.

Właśnie w tym czasie w jego życiu dokonał się przełom. W maju 1968 r. Scruton był świadkiem wydarzeń w paryskiej Dzielnicy Łacińskiej. Widział poprzewracane samochody, porozbijane okna i zerwany bruk na ulicach. Tym razem oddam głos Jean-Louisowi Barraultowi, aktorowi i reżyserowi znanemu przez lata ze swych sympatii do awangardy, który pod datą 28 maja 1968 r. pisał w swoich notatnikach: „Włamano się do magazynów kostiumów. Ludzie wdarli się tam po wybiciu okienek, po czym nastąpiło totalne niszczenie, zwykły, czysty wandalizm. Chodziliśmy po czterdziestocentymetrowej warstwie przemieszanych kostiumów. Nie tylko kostiumów Théâtre de France, ale też naszej Kompanii (...). Przyznaję się do załamania: (...) wybuchnąłem płaczem. (...) Wyszydzona praca i ta nienawiść przejawiająca się w tak ohydny sposób (cały ten stos pełen był ekskrementów) dotknęły mnie bardziej niż wszystko inne" („Wspomnienia dla jutra" w przekładzie Ewy Krasnowolskiej). Barrault nie podniósł się z tego szoku do końca życia. Po majowych rozruchach sztuka stała się jednym z narzędzi zmian w rzeczywistości społeczno-politycznej. Scruton – na znak protestu przeciw konsekwencjom studenckiej rewolty – został konserwatystą.

> Zostawił po sobie blisko pięćdziesiąt książek. Napisanych tak pięknie, że **nie sposób się od nich oderwać.** Tak angażujących intelektualnie, by czytać je z wolna i uważnie.

W 1974 r. przyczynił się do założenia Conservative Philosophy Group – wraz z jej pomysłodawcą sir Hugh Fraserem i Jonathanem Aitkenem (parlamentarzystami z ramienia konserwatystów) oraz Johnem Caseyem, jednym ze swych mentorów z Cambridge. Pięć lat później zaangażował się w pomoc opozycjonistom z Europy Wschodniej. W 1980 r. współorganizował Jan Hus Educational Foundation w Oksfordzie, kilka lat później doprowadził do utworzenia Jagiellonian Trust, w którym działał m.in. Timothy Garton Ash. W 1985 r. został uznany w Czechosłowacji za *persona non grata.* Czeska dysydentka Bronislava Müllerová wspominała później wstrząsający obraz obserwowanego z oddali człowieka, który w asyście żołnierza przemierzał na piechotę pas przygraniczny dzielący jej kraj od Austrii.

W 1998 r. Václav Havel odznaczył Scrutona Medalem za Zasługi dla Czech I stopnia. Przez wiele lat przymierzał się do literackiego podsumowania swoich ówczesnych doświadczeń. Uczynił to w 2014 r., w powieści pod tytułem „Notes from Underground", nawiązującym jednoznacznie do „Notatek z podziemia" Dostojewskiego. Odznaczenia od prezydentów Dudy i Orbána przyszły dopiero w 2019 r., kiedy Scruton już umierał.

Różne burze

Scruton okazał się z czasem niezwykle płodnym pisarzem. Swoją pierwszą książkę, „Art And Imagination: A Study in the Philosophy of Mind", opublikował w 1974 r. Pięć lat później zebrał doskonałe recenzje po wydaniu „The Aesthetics of Architecture". Zajmował się estetyką, historią myśli konserwatywnej i totalitaryzmu, filozofią religii, etyką seksu i prawami zwierząt – w tej ostatniej dziedzinie przysporzył sobie najwięcej wrogów, przeciwstawiał się bowiem antropomorfizacji zwierząt, pozostając zarazem żarliwym adwokatem opiekuńczego stosunku człowieka wobec przyrody.

W latach 90., kiedy mieszkał na stałe w Bostonie, gdzie uczył m.in. filozofii muzyki na tamtejszym uniwersytecie, poznał swoją drugą żonę Sophie Jeffreys – podczas jednej z licznych z wizyt w ojczyźnie, dokąd jeździł regularnie w sezonie konnych polowań na lisa. Sophie zaopiekowała się nim po upadku z wierzchowca. Rok później byli już małżeństwem. Przeprowadzili się do Sunday Hill Farm w Brinkworth w hrabstwie Wiltshire, w paśmie sennych wzgórz Cotswolds. Szczęśliwy nareszcie filozof założył tam swoją „Scrutopię". Podobnie jak uwielbiany przez polskich melomanów dyrygent sir John Eliot Gardiner pędził spokojny żywot ziemianina, hołdując tradycjom, które już nie wszystkim polskim melomanom przypadłyby do gustu. Farmer Gardiner nie ma nic przeciwko zjadaniu cieląt z własnej hodowli, zapalony jeździec Scruton umilał sobie czas polowaniem z nagonką.

Kłopoty zaczęły się w 2002 r., kiedy Scrutona skrytykowano za zatajenie powiązań z japońskim koncernem Tobacco International, który sponsorował jego artykuły o rozkoszach palenia tytoniu oraz wielostronicową diatrybę przeciwko antynikotynowej kampanii Światowej Organizacji Zdrowia. Kilka wydawnictw

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

i tytułów prasowych zerwało współpracę z filozofem, Uniwersytet Londyński usunął go z listy wykładowców.

W 2004 r., tuż przed wejściem w życie ustawy o absolutnym zakazie polowań na lisy w Anglii i Walii, małżeństwo przeprowadziło się do Stanów Zjednoczonych. Scruton dzielił odtąd czas między pisanie o winie dla kilku czasopism brytyjskich i pracę na amerykańskich uczelniach. Oddał się też gorliwie innej swej wielkiej pasji: muzyce. Napisał kilka librett operowych, w tym dwa do dzieł własnych, jednoaktówki „The Minister" i dwuaktowej opery biograficznej „Violet", poświęconej zmarłej w 1948 r. Violet Gordon-Woodhouse – wybitnej klawesynistce i nietuzinkowej kobiecie, która żyła w nieskonsumowanym związku z mężem i jak najbardziej skonsumowanych związkach z trzema kochankami (cała piątka mieszkała w jednym domu). Wydał dwie wspaniałe książki o twórczości Wagnera: „Death-Devoted Heart", w której wysunął prowokacyjną tezę o religijnych podtekstach „Tristana i Izoldy", oraz „The Ring of Truth", analizę „Tetralogii", a zarazem hołd „mądrości" Wagnerowskiego arcydzieła. W zbiorze esejów „Understanding Music" poświęcił jeden rozdział spuściźnie Karola Szymanowskiego, zestawiając ją – nie zawsze pochlebnie – z dorobkiem Skriabina.

Niespełna dziesięć lat temu Roger i Sophie wrócili z dwójką dzieci do swojej Scrutopii w Cotswolds. W kwietniu 2018 r. Scruton stanął na czele brytyjskiej rządowej komisji ds. budownictwa Building Better, Building Beautiful. Stracił stanowisko miesiąc później pod presją laburzystów, oburzonych jego homofobicznymi, islamofobicznymi i rasistowskimi komentarzami w wywiadzie dla tygodnika „New Statesman". W lipcu decyzja została uchylona, po gwałtownym proteście konserwatywnych publicystów, którzy słusznie oskarżyli tygodnik o zmanipulowanie materiału. Rok później u Scrutona zdiagnozowano nowotwór, który zabił go w sześć miesięcy.

Zostawił po sobie blisko pięćdziesiąt książek, z których aż szesnaście przetłumaczono na polski. Napisanych tak pięknie, że nie sposób się od nich oderwać. Tak angażujących intelektualnie, by czytać je z wolna i uważnie. O sztuce pisał jasnym i precyzyjnym językiem filozofii analitycznej, rozpatrując ją w szerszym kontekście kultury, z pozycji historyka i antropologa.

W zawłaszczaniu myśli Scrutona celują polscy konserwatyści – ale konserwatyzm niejedno ma imię. U nas to raczej poczciwy i zarazem agresywny tradycjonalizm.

W swojej pochwale konserwatyzmu głosił potrzebę odnowienia idei wspólnoty i ugruntowania jej ciągłości zgodnie z naturą, w odwiecznym rytmie płodzenia, trwania, podtrzymywania życia i umierania. Podkreślał rolę przeżycia duchowego w kształtowaniu postaw ekologicznych. Przekonywał, że totalitaryzm wynika z braku ograniczeń władzy centralnej.

Ojkofobia

Gdyby Scruton żył w innych czasach, być może czytalibyśmy go jeszcze wnikliwiej. Niewykluczone, że potrafilibyśmy mądrzej się z nim spierać i bardziej świadomie z nim zgadzać. Nie pisalibyśmy – jak Łukasz Warzecha – że jeden z najwybitniejszych umysłów naszych czasów „był takim brytyjskim Ryszardem Legutką". Nie podpieralibyśmy wciąż ponawianych prób demontażu państwa prawa słowami schorowanego i rozgoryczonego filozofa, który po odebraniu Krzyża Wielkiego Orderu Zasługi RP powiedział w mowie dziękczynnej, że w Polsce „nadal można mówić rzeczy, których mówienie na Zachodzie może się skończyć złamaniem kariery". Z drugiej strony, zanim przypięlibyśmy Scrutonowi etykietkę sadystycznego mordercy lisów, wpierw zapoznalibyśmy się choćby z jego „Zieloną filozofią" i dopiero potem zaczęli dyskusję. To samo dotyczy jego prowokacyjnych i czasami oburzających wypowiedzi na temat homoseksualizmu – które zyskują całkiem inny wydźwięk po umiejscowieniu ich w szerszym kontekście. „Całkiem inny" nie oznacza możliwy do przyjęcia przez wszystkich, niemniej wart uczciwej debaty.

W zawłaszczaniu myśli Scrutona celują polscy konserwatyści. Problem w tym, że konserwatyzm niejedno ma imię. Ideologia rozpychająca się w Polsce łokciami to raczej poczciwy i zarazem agresywny tradycjonalizm – wykoślawiona, antyintelektualna wersja konserwatyzmu z ducha Josepha de Maistre'a, który utrzymywał, że porządek wspólnot politycznych został ustanowiony raz na zawsze przez Stwórcę i z tego tytułu należy go przestrzegać. Scruton był typowym konserwatystą ewolucyjnym: akceptującym nieuchronność zmian społecznych, nawołującym jednak do zachowania ciągłości historycznej, przeciwstawiającym się ze wszystkich sił próbom przerwania tej narracji i rozpoczęcia wszystkiego od nowa. Metodzie ludzi niedokształconych i niezdolnych do logicznego myślenia, bo tacy, na domiar złego, nie wiedzą, z czym właściwie zrywają. Odrębną kwestią są różnice kulturowe. Konserwatyzm Scrutona był głęboko intelektualny i zakorzeniony w długiej tradycji brytyjskiej sztuki, literatury i filozofii.

Nie wszyscy w Polsce rozumieją niuanse tej tradycji, a co za tym idzie, w sympatiach politycznych filozofa dopatrują się znamion koniunkturalizmu. Tymczasem Scruton poróżnił się z premier Margaret Thatcher za niezgodny z jego wizją świata liberalizm gospodarczy, premierowi Jamesowi Cameronowi miał za złe jego flirt z elektoratem laburzystów, a Borisa Johnsona pokochał za niewątpliwą erudycję i dalekowzroczność godną prawdziwie ewolucyjnego stratega. Opowiadał się za brexitem z pozycji strażnika brytyjskiej kultury.

Potępiał wszelkie przejawy polaryzacji, w których upatrywał zagrożenie dla fundamentalnych wartości panujących w jego wyspiarskim „domu". To on przeniósł w sferę polityczną termin „ojkofobia" – jako zwierciadlane odbicie równie niebezpiecznej ksenofobii, przejaw niedojrzałego myślenia, z którego albo się wyrasta, albo popada w ekstremizm.

Do Polski ojkofobia wróciła – pewnie dzięki naszej parodii Scrutona i intelektualnej wyroczni prezesa, czyli Ryszardowi Legutce – wołem, w słynnej przemowie Jarosława Kaczyńskiego w obronie reformy sądownictwa, w której określił w ten sposób „niechęć, nawet nienawiść do własnej ojczyzny, własnego narodu (...) jedną z chorób, która dotknęła części sędziów i która prowadzi do nieszczęść". Zdezorientowani komentatorzy doszukiwali się źródeł dziwnie brzmiącego terminu w żargonie psychiatrów i psychologów. Nikt nie zajrzał do „England and the Need for Nations" i nie sprawdził, o co naprawdę Scrutonowi chodziło. ↦

Ktoś się narodzi

↦ Nie stoję murem za poglądami sir Rogera Scrutona. Zdaję sobie sprawę, że w Wielkiej Brytanii wzbudzały jeszcze żywsze protesty, i to nie tylko na lewicy, jak w naszym kraju. Pamiętam rozmowę w gronie jego angielskich rówieśników, specjalistów od muzyki Ryszarda Wagnera, w której odwołałam się do jego „The Ring of Truth". Zapanowała konsternacja, rozładowana ostatecznie przez najstarszego uczestnika dyskusji, zdeklarowanego konserwatystę i krewniaka premiera, Stanleya Baldwina, który przy całej niechęci do Scrutona nie był w stanie zakwestionować merytorycznej wartości jego książki. Po śmierci filozofa mój zdecydowanie lewicowy znajomy ze Stanów Zjednoczonych złożył zmarłemu hołd i pożałował, że jego dzieci nie będą miały dorównujących mu wrażliwością i erudycją przeciwników politycznych.

Mogę, czasem nawet muszę nie zgadzać się ze Scrutonem. Nie potrafię się jednak oprzeć urodzie jego refleksji na temat Wagnera, kiedy oznajmia z zapałem niedoszłego przyrodnika, że partytura „Ringu" pod wieloma względami przypomina żywy organizm, że Wagner rozłożył tradycyjną XIX-wieczną orkiestrę na części pierwsze, po czym złożył od nowa w istotę, która stała się nie tylko narzędziem ekspresji, lecz także wehikułem pamięci i czasu mitycznego. Po czym dowodzi, że Wagnerowskie motywy ewoluują jak zięby Darwina, splatają się ze sobą, wywikłują jeden z drugiego, zmieniają znaczenie. W preludium do „Złota Renu" idą w ostinato trójkami, choć to przecież ledwie zalążek narracji motywicznej ze „Zmierzchu bogów", ukoronowanej monologiem Zygfryda, któremu życie przepływa przed oczyma strumieniem reminiscencji dźwiękowych.

Tuż przed ostatnimi świętami Bożego Narodzenia Scruton napisał na łamach „Spectatora", że „w obliczu śmierci człowiek zaczyna pojmować sens życia – a tym sensem jest wdzięczność". Wygląda na to, że umierał w spokojnym przeświadczeniu, że po nim znów ktoś się urodzi, potrwa i umrze: byle nieprędko, byle zdążył podtrzymać ideę ciągłości.

© DOROTA KOZIŃSKA

Inny happy end

ANITA PIOTROWSKA

„Małe kobietki" spoglądają na dawne możliwości kobiecej samorealizacji z dzisiejszej perspektywy nie po to, by na siłę uwspółcześniać bohaterki. Raczej szukają w nich odbicia dla aktualnych problemów.

To nie tylko film na podstawie książki, ale i film o książce" – tak brytyjski krytyk Anthony Lane określił „Małe kobietki" Grety Gerwig. I trudno o celniejsze podsumowanie. Kto spodziewał się wiernej adaptacji powieści Louisy May Alcott, już siódmej na dużym ekranie, w oślepiająco gwiaździstej obsadzie, może być rozczarowany. Kto nigdy nie żył pierwowzorem, może zrazu pogubić się w gęstwinie wątków, postaci i zmieniających się planów czasowych. A jeśli liczył ktoś, że XIX-wieczną prozę przepisano na gromki manifest feministyczny, poczuje niedosyt. Wyspecjalizowana w temacie dziewczyńskiego dorastania twórczyni „Lady Bird" stanęła w poprzek różnym oczekiwaniom. Jej najnowszy film to opowieść o tym, jak na przekór społecznemu rozwarstwieniu i sztywnej obyczajowości, w „dystyngowanym ubóstwie" i domowym ciepełku, ale przede wszystkim w inspirującym siostrzeństwie, rodzi się kobieca twórczość.

Saoirse Ronan, grająca postać Josephine, czyli najambitniejszej z sióstr March, rozważną i romantyczną w jednej osobie, raz jeszcze staje się kimś na kształt *porte-parole* reżyserki, a zarazem figurą pisarki próbującej zaistnieć na rynku wydawniczym. Dlatego w finale, który muszę tu zdradzić, Gerwig podarowuje swojej bohaterce zupełnie inny niż w książce *happy end*. Filmowa Jo powtarza historię samej Alcott, która poświęciwszy ongiś swoją bohaterkę na ołtarzu tradycji, dla siebie wybrała zgoła inną drogę. Owo istotne przesunięcie ustawia cały film i każe spojrzeć inaczej zarówno na to, co pokazują migawki z życia czterech sióstr, jak i na patchworkową strukturę najnowszych „Kobietek".

Gerwig nakręciła film niejako autotematyczny – film o pisaniu powieści przez życie i o filtrowaniu go przez pisarską świadomość kobiety. Stąd wrażenie, jakbyśmy zostali wrzuceni w sam środek babińca z czasów wojny secesyjnej. Zamiast linearnie opowiadanej sagi dostajemy bowiem ciąg retrospekcji sięgających siedem lat wstecz i odróżnionych od „współczesnych" wydarzeń za pomocą odmiennego klucza wizualnego. Wspólne dorastanie sióstr odbywa się w miękkim oświetleniu i przytulnej kolorystyce, podczas gdy ich dalsze, oddzielne już losy zyskują znacznie chłodniejszą i mniej dynamiczną oprawę. Pozwala to nie tylko złapać orientację w filmowej czasoprzestrzeni, ale i dostrzec istotną zmianę, jaka nastąpiła wraz z końcem dzieciństwa. Kiedy romantyczna miłość Meg (Emma Watson) i jej marzenia o aktorstwie zderzają się z prozą małżeństwa w niedostatku, kiedy trzpiotowata i zakochana w malarstwie Amy (Florence Pugh) wkracza na matrymonialną giełdę, a subtelna, utalentowana muzycznie Beth (Eliza Scanlen) pogrąża się w chorobie, jedynie rogata chłopczyca Jo stawia na swoim i wyjeżdża z rodzinnego Massachusetts do Nowego Jorku, by tam spełniać pisarskie aspiracje. Film rozpoczyna się sceną, w której stremowana Josephine próbuje sprzedać wydawcy swoje opowiadania, udając, że ich autorką jest jej przyjaciółka. Trudno zlekceważyć symboliczny wymiar tego otwarcia.

Bo najnowsze „Małe kobietki" spoglądają na niegdysiejsze możliwości kobiecej samorealizacji z perspektywy dzisiejszej nie po to, by na siłę uwspółcześniać bohaterki. Raczej szukają w nich odbicia dla problemów pod wieloma względami aktualnych. I nie tylko kobiecych – pojawiają się choćby pytania o wolność

MATERIAŁY PRASOWE

„Małe kobietki", reż. Greta Gerwig

twórczą. Filmowa Jo dzięki opublikowanej książce może ugruntować finansową niezależność, lecz żeby wydać powieść z sukcesem, musi wpierw pójść na autorski kompromis. Czy są to również dylematy reżyserki? Łatwo przecież zarzucić Gerwig (podobne głosy tu i ówdzie się pojawiają), że tak jak Jo czy Alcott wydały za mąż swoją bohaterkę, by zadowolić XIX-wieczne czytelniczki, tak współczesna scenarzystka i reżyserka, chcąc dogodzić nowoczesnym „widzkom", do ślubu nie dopuszcza.

Bez względu na intencje odwrócenie porządku filmowi służy. O tym, że mamy do czynienia nie z adaptacją „po bożemu", lecz raczej z wariacją na temat książki, świadczą choćby oryginalne kostiumy Jacqueline Durran, inspirowane różnymi szkołami XIX-wiecznego malarstwa – od prerafaelitów po preimpresjonistów. Każda z sióstr została ubrana w innej stylistyce. Również kostiumy dojrzałych pań: typowo wiktoriańskie u ciotki March – cynicznej i bogatej matrony (Meryl Streep), a bardziej wyluzowane i kreatywne w wydaniu Marmee (Laura Dern), czyli zubożałej, za to bardzo postępowej matki bohaterek, mają swój ciężar znaczeniowy. Sygnalizują zróżnicowaną pozycję na drabinie społecznej i odmienną mentalność. Ciotka chciałaby zatrzymać dziewczęta w wieku XIX, gdzie kobieta wychodzi za mąż, mając na uwadze przede wszystkim materialne bezpieczeństwo rodziny i swoje. Tymczasem Marmee, wzorowana jeszcze bardziej niż w powieści na wyprzedzającej epokę matce Alcott, pozostawia córkom szeroki wybór.

Na wpół epicka, na wpół ironiczna szata jest tu więc przebraniem, za którym łatwo byłoby ukryć opowieść z tezą – o losie zdeterminowanym i o własnej determinacji, o straconych złudzeniach i nieposkromionych dążeniach. Gerwig nie dramatyzuje jednak na siłę tej narracji, rzadko uderza w wysokie „C". Bardziej skupia się na zmiennych nastrojach chwili oraz na wyłuskanych z powieści detalach budujących odrębne tożsamości bohaterek. I nawet magnetyczny Timothée Chalamet w roli panicza Lauriego czy Louis Garrel jako atrakcyjniejsze wcielenie profesora Friedricha Bhaera nie zabierają aktorkom tej przestrzeni. Jeśli coś tu szwankuje, to czasami gubiące swój rytm przejścia między wczoraj i dziś. Im bliżej końca, jest jednak coraz lepiej. Przeszłość bohaterek coraz bardziej staje się domeną fikcji literackiej, teraźniejszość zaś w przypadku Jo zamienia się we współczesną fantazję, która karmi się zarówno twórczością pisarki, jak i jej autentyczną biografią. I choć czasem to spiętrzenie poziomów świata przedstawionego niebezpiecznie się chwieje, jedno jest pewne: klasyczny czerwony tom ze złotymi literami, które w filmie układają się w tytuł „Małe kobietki", możemy odłożyć między bajki. A jednocześnie odkrywać go na nowo. ©

MAŁE KOBIETKI *(Little Women) – reż. Greta Gerwig. Prod. USA 2019. Dystryb. UIP.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [8 – 14 II]

1. Rocketman

Biograficzny/musical, reż. Dexter Fletcher, Wielka Brytania 2019, HBO, 9 II, 20.10, 12 II, 20.10

O Eltonie Johnie nie da się opowiedzieć w konwencjonalny sposób. To postać trochę z kosmosu, trochę z bajki dla dorosłych w stylu kamp i tak właśnie ją przedstawiają twórcy filmu – śpiewem, tańcem, ekstrawanckim kostiumem. W rolę gwiazdy, ale też ikony LGBT, wcielił się wyśmienity i samodzielnie śpiewający Taron Egerton.

2. Oscary

Gala, Canal+, 9/10 II, 0.30, skrót 10 II, 22.30

Majstersztyk kina wojennego czy list miłosny do starego Hollywood? Lifting gangsterskiego eposu czy rozpaczliwy grymas Jokera? A może brawurowa komedia koreańska o społecznych nierównościach? Dla wielu z nas starcie tytanów będzie jednak mniej ekscytujące niż kategoria filmu międzynarodowego. Oby Oscar dla Jana Komasy stał się ciałem.

3. Wysoka dziewczyna

Dramat, reż. Kantemir Bałagow, Rosja 2019, Cineman.pl

Po wojnie sprzątają kobiety. Zajmują się głównie leczeniem ran – cudzych i swoich. Młody rosyjski reżyser, uczeń Aleksandra Sokurowa i równie niewierny czytelnik Swietłany Aleksijewicz, mroki przeszłości i mroki duszy odmalowuje żywym kolorem. Poprzez swoje bohaterki pokazuje zniszczony Leningrad i rodzące się w bólach życie.

4. Co zrobił Jack?

Krótkometrażowy, reż. David Lynch, USA 2017, Netflix

Ciekawostka dla fanów twórcy „Twin Peaks". Detektyw, grany przez samego Lyncha, przesłuchuje małpę z gatunku kapucynek zamieszaną w morderstwo. Trwający nieco ponad kwadrans czarno-biały filmik łączy kryminał, musical i międzygatunkowy melodramat.

JAN

Klata:
Lazania i jej soundtrack

Brexit brexitem, a na świecie dzieją się rzeczy naprawdę epokowe: Paris Hilton robi lazaniom jesień średniowiecza na oczach milionów, podczas gdy Elon Musk komponuje do tego *soundtrack*, czyli utwór „Don't Doubt ur Vibe". Dwie ikony wszechgalaktycznej popkultury zadziałały komplementarnie, nie może być cienia przypadku w owej koincydencji. Paris kucharzy, jak Elon muzykuje: ze znawstwem, przy czym absolutnie nie jest to znawstwo tego, ale czego innego. Chodzi o coś nieskończenie więcej niż nieszczęsna, pretekstowa lazania... O co? O autoafirmację do imentu, wyrażenie skrajnego braku wątpliwości w siebie. A zarazem...

Przecież zarówno Paris, jak i Elon w swoich ekspresyjnych dokonaniach stanowią odwrotność nie przymierzając, Kobe'ego Bryanta, z jego nieprawdopodobnie wymierną pewnością siebie, dającą twarde, namacalne rezultaty. Więc może nieśmiało postawię śmiałą tezę: czy nie jest tak, że budzący uzasadniony podziw śp. Kobe Bryant będzie się potomności jawił jako postać schyłkowa starej dobrej ery konkretów, podczas gdy Elon i Paris są apostołami postprawdy, płynności i ekstremalnie publicznej autodeklaracji demonstracyjnego niespełnienia? W dobie kompletnego już zaniku prywatności oboje idą krok naprzód, doprowadzając do skrajności błyskotliwe życiowe motto miliardów teraźniejszych Ziemian: „Skoro nie mam nic do ukrycia, to niech mnie inwigilują". „Skoro nie mam zielonego pojęcia o gotowaniu, niech to zobaczą" – deklaruje Hiltonówna. „Skoro słoń mi na ucho nadepnął i ledwo obsługuję najprostszy *software* muzyczny, niech ludzkość to usłyszy" – obwieszcza Musk.

Wszystko jest niewątpliwie relatywne, zerojedynkowość obchodzi Elona i Paris szerokim łukiem. Kiedy Elonowi zbije się pancerna szyba, to przypadkiem czy specjalnie? Kompromitacja czy genialny PR? Autotematyzm twórcy Tesli powala. Kiedy Paris nagrywa sławetną taśmę, to do celów prywatnych czy wręcz przeciwnie? Wyrażenie „osoba publiczna" nabrało nowych znaczeń, intencje się zacierają, mnożą tropy. Witajcie w wiecznej teraźniejszości, wchodzimy od kuchni.

Ech, gdyby ktoś mógł przekonać dwie ikony o rzadkich imionach, aby stworzyły związek, założyły dynastię Hiltonów-Musków, skrzyżowały genotypy. Paris i Elon, Elon i Paris, dwoje patronów nowego, wspaniałego świata. Może jeszcze się uda, wszystko przed nimi. Tylko lazanii żal. ©

Lektor:
Umierający świat

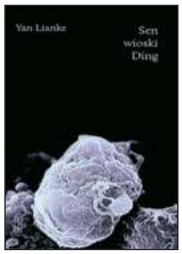

▪ *Yan Lianke*
SEN WIOSKI DING
Przeł. Joanna Krenz,
Państwowy Instytut Wydawniczy,
Warszawa 2019,
ss. 422

„Kopanie grobów stało się rutyną. Brało się pierwszy lepszy szpadel, który był akurat pod ręką, i szło na koniec wsi... Nie było smutku. Nie dało się słyszeć płaczu. Żal był jak wyschnięta rzeka". Wioska Ding na rozległej równinie w chińskiej prowincji Henan pustoszeje, mieszkańcy trawieni gorączką wymierają, wszystkie drzewa wycięto już na trumny...
Dystopia? Nie, to się zdarzyło naprawdę. Zainicjowana przez władze akcja skupowania krwi, w warunkach urągających zasadom higieny, w latach 90. zeszłego wieku w prowincji Henan (z której pochodzi urodzony w 1958 r. Yan Lianke, nagradzany autor kilkunastu powieści, nominowany m.in. do Man Booker International Prize i laureat Nagrody im. Franza Kafki) doprowadziła do epidemii AIDS – bo tym jest właśnie wspomniana gorączka. Ale „Sen wioski Ding" (2006) to nie pamflet polityczny, choć książkę zatrzymała chińska cenzura (wydano ją w Hongkongu i na Tajwanie).
Zacznijmy od onirycznej narracji – kto opowiada? Chłopiec, który już nie żyje. Nie zabiła go epidemia, został otruty z zemsty, to bowiem jego ojciec, który w handlu krwią zwietrzył interes, był we wsi Ding głównym motorem tego przedsięwzięcia. I solidnie się na nim wzbogacił, choć ofiarą AIDS padł jego rodzony brat. A potem umiał wykorzystać zapotrzebowanie na trumny, manipulując ich dystrybucją.
Najważniejszą postacią nie jest tu jednak ów handlarz krwią, Ding Hui, ale jego ojciec, Ding Shuiyang. To przeciwieństwo syna, chciwego spekulanta. Szanowany we wsi, tytułowany jest profesorem Dingiem, bo choć formalnie jest szkolnym woźnym, dzięki wykształceniu zastępuje często nauczycieli. Za namową wysłanników władzy przekonywał kiedyś mieszkańców, by nie bali się oddawać krwi, teraz jednak, dręczony poczuciem winy, zdobywa się na publiczną pokutę i stara się wspierać wymierającą społeczność.
Bo to jest nie tylko przypowieść o epidemii wywołanej przez szaleństwo władzy i rozpaczliwej próbie wydobycia się z nędzy przez jej poddanych, o kłamstwie i jego konsekwencjach, ale też rzecz o odpowiedzialności i o niezdolności do jej odczuwania. A także o rodzinie, miłości i śmierci. Medium, jakim jest martwy chłopiec, paradoksalnie stwarza pewien dystans – czy jednak z tą historią można się w ogóle uporać? Autorskie posłowie kończy się słowami: „Przepraszam każdego, w kim moja książka wywołała cierpienie". ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Bal cukrowych krętaczy

Pięćdziesiąt jeden kilogramów. Tyle cukru wchłonął w 2018 r. przeciętny Polak – w zeszłym roku zapewne było to jeszcze więcej, bo historyczne dane GUS pokazują niezmienny trend wzrostowy. Próbowaliście kiedyś zarzucić sobie na grzbiet taki worek czegokolwiek i ustać prosto? W czasach, kiedy byłem na tyle krzepki, aby dorabiać jako parobek w gospodarstwie na mglistej nizinie padańskiej, nasz zarządca, człowiek, jak to się powiada, z przedwojennej gliny, lubił się pośmiać patrząc, jak stękamy przerzucając o połowę lżejsze worki kukurydzy. Wypominał nam, że kiedyś na festynach kawaler nie miał co podbijać do panien, jeśli wcześniej nie pokazał się w gonitwie dookoła dzwonnicy z półkwintalowym workiem ziarna na plecach.

My cukier dawkujemy sobie łyżeczką, więc nie grozi nam, że trafimy na ortopedię ze zwichniętym barkiem, ale prędzej niż później na własne życzenie trafimy do diabetologa i chirurga (żeby nam odpiłował cukrzycowe stopy) albo w najlepszym razie dietetyka i terapeuty uzależnień. Czasami kiedy czytam opisy mechanizmów zniewolenia umysłu i emocji, jakie stoją za przyjmowaniem zakazanych substancji narkotycznych, nie mogę się opędzić od skojarzenia, że wszystkie te igraszki z ośrodkami nagrody w mózgu każdy z nas – prawych obywateli, którzy o kokainie wiedzą tylko tyle, ile wyczytali w książkach Roberta Saviano, a o marihuanie jedynie to, że jest z konopi – ćwiczy codziennie i z każdym rokiem na coraz wyższym poziomie, jedząc wszechobecny cukier.

Albowiem z tych pięćdziesięciu kilo tylko około jednej piątej pochodzi z białego lub brązowego kryształu, który świadomie wsypujemy do herbaty albo masy na ciasto. Reszta jest w prawie wszystkim, co wytwarza przemysł spożywczy, bo cukier, czy raczej jeszcze tańszy syrop glukozowo-fruktozowy z kukurydzy, jest najprostszym poprawiaczem smaku.

Najbardziej podłym z tych podstępów jest słodzenie napojów – nie tylko tych w typie coli, ale i tych nominalnie owocowych. Przesterowanie ich w stronę słodyczy służy tylko temu, żeby się producentom interes bardziej opłacił. Niektóre z owoców są naturalnie bardzo słodkie, ale tylko wtedy, kiedy zdążą dojrzeć i są w dobrym gatunku, a żaden fabrykant na to sobie nie pozwoli, żeby brać z rynku tylko pierwszorzędny surowiec. I to właśnie producenci soków zasłużyli w tym karnawale na kotylion króla Balu Krętaczy. W swoich protestacjach przeciw szykowanemu nowemu podatkowi od cukru w napojach twierdzą, że uderzy on głównie w sadowników, tak jakby to oni zarabiali najwięcej na produkcji cieczy, która sad widziała tylko z daleka przez brudną lornetkę.

Najsensowniej byłoby gasić pragnienie wodą albo naparem z herbaty czy ziół, a owoce, owszem, spożywać w dużej ilości, lecz tak jak je Bóg stworzył, ewentualnie przerobione termicznie w domu, bez zbędnego cukru. Szklanka wody i surowe jabłko zamiast kartonu nektaru – to brzmi jak groźna kontestacja systemu. Albo gruszka podgrzana krótko z miodem i garść daktyli, kiedy nasz organizm, co się przecież zdarza, alarmuje, że po jakimś wysiłku trzeba mu strzału glukozy.

Projekt polskiego *sugar tax* właśnie wychodzi z rządowej fazy przygotowań. Po drodze obniżono już stawkę od litra (i utrącono projektowany przy okazji podatek od reklam suplementów diety w mediach, ale to całkiem osobna plaga i zajmiemy się nią kiedy indziej). Teraz jeszcze w sejmowych trybach może się wiele zmienić, lobbyści będą jojczeć w imię naszego dobra. W tym nasza nadzieja, że premier Morawiecki cholernie potrzebuje dwóch miliardów, jakie miałyby wpłynąć, gdyby udało się od kwietnia podatek wprowadzić. Zapewne tylko przypadkiem i przy okazji, ale jest na drodze do zrobienia czegoś dobrego. Pilnujcie zatem waszych posłów. To równie ważne, jak walka o ustrój i miejsce sądów w systemie.

Mieczysław Broniewski, potentat cukrowniczy międzywojnia, dał zarobić Wańkowiczowi za wymyślenie hasła „cukier krzepi", za co mu chwała, bo literata nakarmić to zbożny uczynek w każdej epoce i okolicznościach. Poza tym jednak swoje miliony pakował w zbiory efektownej artystycznej tandety – miał w kolekcji m.in. obraz Styki, o którym piszemy na początku tego numeru, a także różnych Siemiradzkich i Czachórskich. Nietrudno sobie wyobrazić dzisiejszy odpowiednik tego kiczu. Niech prezesi firm spożywczych kupują go sobie nie za nasze pieniądze. ©℗

Nasz rynek na szczęście ma spore nisze z sokami, które naprawdę są owocowe – to znaczy tłoczone wprost z owoców, szczególnie jabłek, sprzedawane na ogół w pięciolitrowych workach z kranikiem. Robię z nich grzańca – z goździkami, korą cynamonu, zielem angielskim, skórką cytrynową i ewentualnie odrobiną miodu, jeśli robię dla dzieci – a jeśli to piją dorośli, dodaję pod koniec trochę białego wina. Albo taki długo podgrzany (ale bez zagotowania) z przyprawami i trochę odparowany sok można zamienić w pyszną galaretkę, dodając żelatyny i rozlewając do wystudzenia w płaskim naczyniu. Natomiast występująca pod skórką jabłka pektyna tworzy smakowitą cienką warstwę naturalnej galaretki, jeśli upieczemy jabłka, bo w trakcie pieczenia wydostaje się na brytfankę trochę soku, który potem tężeje. Najlepiej do tego nadają się jabłka odmiany cortland (zachowują dobrze formę, mimo że miękną). Po ścięciu „czapeczki" wydłubujemy nożykiem szypułkę, wkładamy do zagłębienia goździka, kawałek cynamonu i parę kropel miodu, przykrywamy, pieczemy w 150 stopniach, aż mocno spuchną i zaczną pękać.

ROMAN IVASCHENKO / ADOBE STOCK

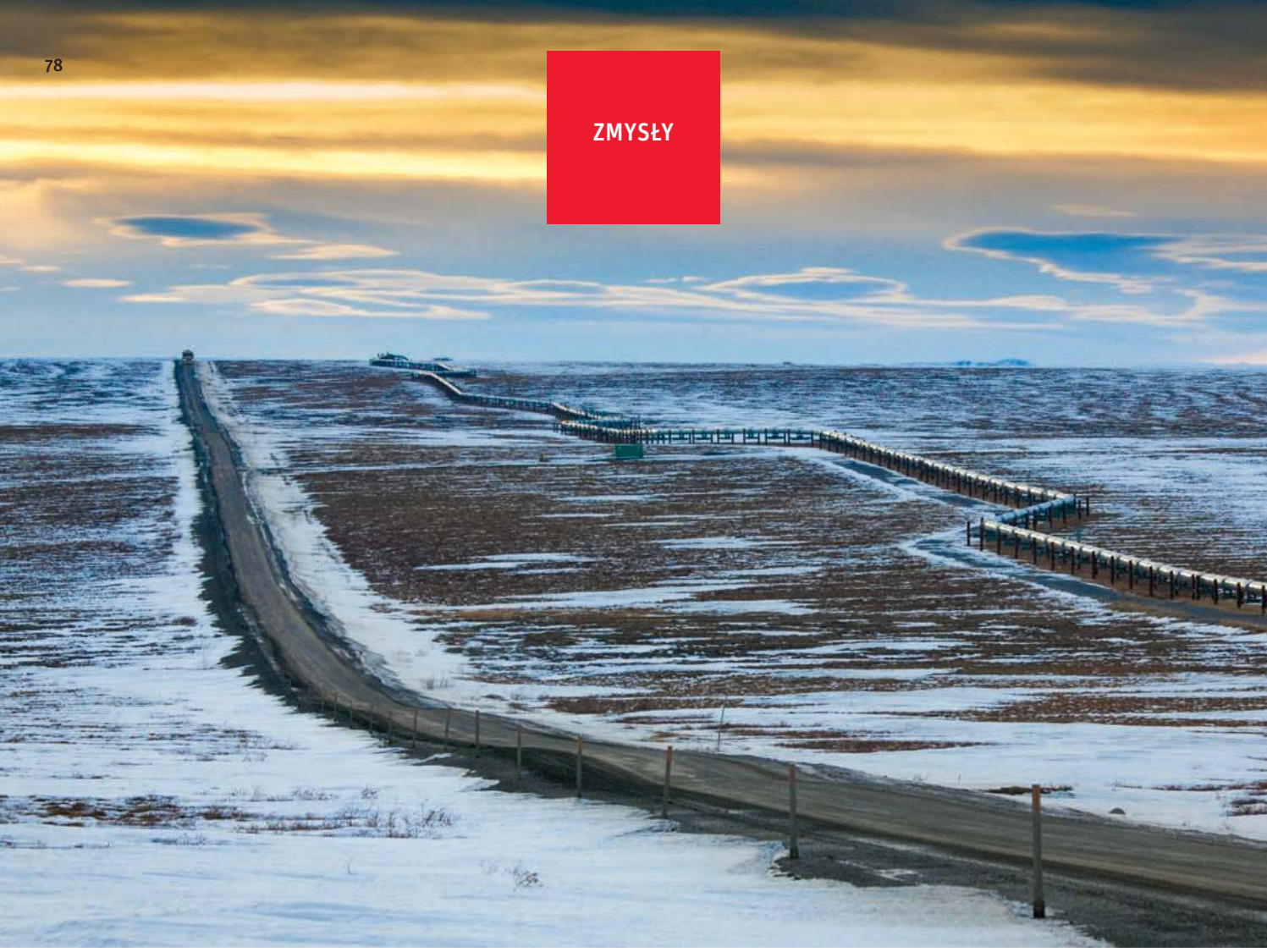

JESTEM ŁOSOSIEM

BARRY LOPEZ, AUTOR KSIĄŻKI „ARKTYCZNE MARZENIA":

Pytają mnie, jak mogę pisać o więziach społecznych, skoro ciągle nie ma mnie w domu? I skąd we mnie tyle nadziei i naiwności?

ADAM ROBIŃSKI: Jakie jest Pana pierwsze wspomnienie podróży?

BARRY LOPEZ: Miałem trzy lata i leciałem z matką z Nowego Jorku do Los Angeles. Po drodze mieliśmy międzylądowanie w Dallas. Mama zajmowała się moim kilkumiesięcznym bratem, a mnie przypięła do kurtki jednodolarowy banknot i kartkę, na której napisała: „Proszę go nakarmić". Potem poprosiła stewardessę, żeby zaprowadziła mnie do terminala. Trudno to sobie wyobrazić w dzisiejszych czasach, prawda? Zapamiętałem to doświadczenie jako określające egzotyczną naturę podróży. Jest ekscytująca, bo nigdy nie wiesz, co ci się przydarzy poza domem.

Kiedy miał Pan sześć lat, dostał od mamy atlas świata.

Rozkładałem go na biurku w pokoju, którego ściany obklejone były mapami. Stawałem się podróżnikiem po krainie wyobraźni. Na kalce technicznej wyrysowałem parę długich tras, jak z Kairu do Kapsztadu czy z Alaski na Ziemię Ognistą. Lata później ściągnąłem ten atlas z półki i uświadomiłem sobie, że wiele z nich jako dorosły człowiek przemierzyłem.

To dzięki niemu zainteresował się Pan światem?

Być może. Kiedy patrzymy wstecz, zwykle stajemy się kolonizatorami własnej przeszłości. Przekonujemy samych siebie, że zawsze myśleliśmy tak, jak myślimy dziś. A to nieprawda. Ale jestem pe-

CHRIS MADELEY / EAST NEWS

Ropociąg Trans-Alaska i towarzysząca mu Dalton Highway w arktycznej części Alaski.

wien, że od wczesnych lat byłem ciekaw innych sposobów życia niż ten, w którym wzrastałem. Kiedy miałem 17 lat, polecieliśmy z grupą znajomych ze szkoły na dziesięć tygodni do Europy. Nie dotarliśmy do Polski, ale widzieliśmy naprawdę dużo. Jeździliśmy busem, co wieczór stając w innym miejscu. Miałem notes, w którym wszystko notowałem: pokonany dystans, zabytki. Dla 17-latka z Ameryki Europa była ogromnym przeżyciem właśnie z uwagi na możliwość obserwacji zupełnie innych sposobów życia niż nasz. Potem, na uniwersytecie, wszedłem w kontakt z rdzennymi kulturami.

Przez kolejne dekady bycia pisarzem czułem potrzebę mówienia ludziom, którzy myślą o sobie, że są pępkiem świata, że wcale tak nie jest. Takie myślenie jest niebezpieczne.

Powiedział Pan kiedyś, że ma klasyczny umysł, który dobrze się czuje na otwartej przestrzeni. To dlatego tak chętnie wyruszył Pan do Arktyki?

Nie, bo dopiero tam to sobie uświadomiłem. Alaska dla kogoś z pozostałych 49 stanów to egzotyczne miejsce. O ile pojedziesz gdzieś dalej niż tylko do Anchorage, szybko uświadamiasz sobie, jak puste. Możesz pozbyć się większości miejskich wygód i przez długi czas nie oglądać innych ludzi.

Pamięta Pan swój pierwszy raz w Arktyce?

Poleciałem na Alaskę 17 marca 1976 r., to Dzień św. Patryka. Pochodzę z rodziny irlandzkich katolików, takie daty się u nas zapamiętuje.

Leciał Pan z jakimiś oczekiwaniami?

Pracowałem wtedy nad książką o wilkach i czułem się w obowiązku przeczytać każdą pracę naukową na ten temat. Ale im dalej w las, tym bardziej byłem nimi znudzony. Aż doszedłem do pracy napisanej przez Boba Stephensona z Alaskańskiego Departamentu Rybołówstwa i Łowiectwa.

Niesamowite było to, że napisał ją razem z Inuitą, co od razu rzuciło mi się w oczy, bo biali rzadko dzielą się przestrzenią z innymi. To był czas, kiedy biznes wydobywczy słał na Alaskę ogromne pieniądze. Stephenson dostał za zadanie wybadać, w jaki sposób budowa rurociągu w Górach Brooksa wpłynie na życie tamtejszych wilków. Mógł zrobić to w tradycyjny sposób, z zastosowaniem telemetrii i obserwacji, ale zamiast tego wybrał się do małej osady Anaktuvuk Pass i poprosił jej mieszkańców, by zostali jego nauczycielami. Byli pod takim wrażeniem szacunku i pokory, z jakimi się odnosił do ich wiedzy, że od razu go przyjęli, a on z czasem kupił tam dom i był związany z tym miejscem aż do śmierci.

Napisałem do niego z pytaniem, czy mógłbym przylecieć i spędzić z nim trochę czasu w związku z książką, nad którą pracuję. Odpisał, że tak. Więc kupiłem bilet – pamiętam: kosztował 360 dolarów, więcej niż tak naprawdę miałem – i dwa dni później siedzieliśmy razem na południowych zboczach Pasma Alaski, gdzie usypialiśmy wilki, a potem zakładaliśmy im obroże z nadajnikami. Wszystko, co potem w życiu napisałem, wyrosło z tego doświadczenia kontaktu z dzikimi zwierzętami w odludnych miejscach.

Ile czasu zajęło Panu poznanie regionu na tyle, by być gotowym o nim napisać w książce „Arktyczne marzenia"?

Trzeba się pogodzić z faktem, że nigdy nie pozna się jakiegoś miejsca na wylot. Ale można zebrać materiał, z którym czujemy się emocjonalnie związani i potrafimy odkryć drzemiące w nim historie. Miałem tak z każdą książką – w pewnym momencie dochodziłem do przekonania, że choć nie wiem wszystkiego, to jednak mogę już skomponować swój tekst. Dla kogoś z zewnątrz mogłoby to pewnie wyglądać na chwilę przełomową.

Pamięta Pan swój oryginalny pomysł na tę książkę?

Na pewno miałem w głowie podstawowe idee, które pozwoliły mi zaplanować jej architekturę. Na przykład to, że w pierwszej kolejności chciałem napisać o piżmowołach, bo to ssaki lądowe, z którymi – jako ssaki lądowe – jesteśmy raczej obeznani. Potem opisać niedźwiedzia polarnego, który jest zwierzęciem lądowo-morskim, a dopiero na końcu narwala, który żyje w zupełnie innych realiach niż nasze. Całe „Arktyczne marzenia" były zaplanowane w ten sposób. Jednak moim podstawowym celem było okazanie szacunku zachodniej nauce i metodologii, ale bez wywyższania jej ponad obserwacje z pierwszej ręki, dokonywane przez rdzennych mieszkańców.

Pan jest na kartach „Arktycznych marzeń" raczej nieobecny. Książka przypomina trochę dokument sir Davida Attenborough.

Jestem podejrzliwy wobec książek, które opowiadają głównie o autorze. Wolę być dla czytelnika kompanem niż autorytetem. Przez całe życie starałem się zniknąć gdzieś w tle swojego pisania. Jasne, tak jak większość pisarzy mam silne ego i pewne etyczne podejście do świata, które na pewno jest wyczuwalne, ale pisanie o samym sobie w książce takiej jak „Arktyczne marzenia" wydaje mi się nie na miejscu.

Z drugiej strony, dziś mam 75 lat i dopiero co wydałem książkę „Horizon", która jest w dużym stopniu autobiograficzna. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że skoro od pół wieku oglądam daleki świat, to być może będzie już w porządku, jeśli o tym opowiem. ↦

↦ **„Arktyczne marzenia" to opowieść o niewinnych, pełnych światła krajobrazach. Ciemność nigdy nie nadchodzi. Czy gdyby miał ją Pan napisać dziś, byłaby to zupełnie inna książka?**

Oczywiście.

„Arktyczne koszmary"?

W pewnym momencie piszę, że nawet obcując z mrokiem dostrzegamy światło, i musimy do tego światła dążyć. Nie da się wyeliminować całego zła, ale możemy starać się być dobrymi ludźmi choćby w kontakcie z bliskimi. Dążyć ku światłu. Dlatego też, czy to pisząc, czy występując publicznie, staram się dzielić informacjami, które każą się zatrzymać, ale jednocześnie budują w ludziach poczucie własnej wartości i wrażliwości na świat. Impuls do opowiadania historii jest impulsem społecznym. Nie chodzi o zaspokajanie ego. Obowiązkiem pisarza nie może być autorytarne rozkazywanie czytelnikowi, tylko sprawozdanie: „Oto, co widziałem, co o tym myślisz?". I dodawanie otuchy.

Nadziei?

Kiedy czytelnik skończy czytać książkę, ma zapomnieć jej autora i tytuł. Wolę, żeby zrozumiał, co jest w życiu najważniejsze, żeby łatwiej było mu obrać drogę, którą ma podążać.

Pisarka Rebecca Solnit twierdzi, że książka jest jak niesione wiatrem nasiono. Nigdy nie wiesz, kiedy i gdzie zakiełkuje.

A pisarz nie powinien mieć na celu zostanie zapamiętanym, tylko bycie przydatnym. Jeśli piszesz, bo uważasz, że jesteś genialny, to masz złe podejście. Twoim obowiązkiem jest troska o społeczność, której jesteś częścią. Można to robić na wiele sposobów, ale podstawowym celem powinno być dobro czytelnika. Kiedy zaczynałem pisać, myślałem, że chodzi przede wszystkim o informowanie go. Teraz, gdy siadam do pisania, chcę mu opowiedzieć o miejscu, w którym się znaleźliśmy, o kłopotach, które przed nami, i jednocześnie objąć go ramieniem, bo jesteśmy w tym razem.

Zastanawiał się Pan, czy pisząc o Arktyce może jej Pan tak naprawdę zaszkodzić?

Wstyd mi to przyznać, ale tak się stało. Rok po wydaniu „Arktycznych marzeń" zaproszono mnie do udziału w wykopaliskach archeologicznych na Wyspie Ellesmere'a. Badaliśmy 900-letnie domostwa. Nasz obóz znajdował się w jednym z najbardziej odizolowanych miejsc w Arktyce. Pewnego dnia na zaimprowizowanym pasie wylądował czarterowy samolot, z którego wysiadło 20 osób ubranych w identyczne, jaskrawoczerwone polary. Przeszkadzali nam w pracy, ale mimo to staraliśmy się być mili. A potem podszedł do mnie przewodnik tej wycieczki i zaczął mi dziękować. Mówił, że dzięki mojej książce założył dobrze prosperujący biznes. Pomyślałem wtedy, że byłem straszliwym naiwniakiem, skoro zbagatelizowałem to zagrożenie.

Od pół wieku podróżuje Pan po świecie, ale też mieszka ciągle w tym samym miejscu, w lasach zachodniego Oregonu. Co jest bardziej naturalne: ruch czy tkwienie w miejscu?

Ktoś mnie kiedyś zapytał, jak mogę pisać o więziach społecznych, skoro ciągle nie ma mnie w domu? To kłopotliwe pytanie, nie chciałem na nie odpowiadać, musiałem to najpierw przemyśleć. Dom, w którym mieszkam dokładnie od pięćdziesięciu lat, stoi na wzniesieniu w dawnym korycie rzeki McKenzie, która płynie dziś tuż obok i jest bardzo szeroka, na wysokości mojego domu ma 350 metrów. Pod moimi oknami rozmnażają się łososie królewskie. Składają ikrę, a potem umierają. Któregoś dnia powiedziałem do siebie: „Ty idioto! Myślisz, że łosoś nie jest mieszkańcem tych stron, bo po narodzinach na trzy lata stąd znika i wraca, by umrzeć?". Przecież to tak samo jak ja. Długimi okresami jestem poza domem, ale nigdy o nim nie zapominam. Zresztą dziś doszedłem do punktu, w którym coraz częściej myślę, by zabronić sobie latania. Chyba już mi wystarczy, pora osiąść. Mam przywilej mieszkać w starym lesie deszczowym strefy umiarkowanej, w stromych górach. Są tu czarne niedźwiedzie, łosie, jelenie, pumy. Trzy pierwsze obserwuję bez wychodzenia z domu! Być może to z tym miejscem powinienem prowadzić rozmowę na ostatnim etapie życia?

Praktykowana w rdzennych kulturach rozmowa z ziemią to często powracający w Pana twórczości motyw. Podobnie jak budowanie struktur społecznych wokół starszyzny. Da się te pojęcia przełożyć na język naszej kultury?

Wierzę w to, że społeczeństwo zbudowane wokół grupy starszyzny jest o wiele bardziej stabilne niż zachodnie, dążące do nieustannego rozwoju. Potrzebuję tej wiary dla własnego zdrowia psychicznego. Nie umiem żyć w rozpaczy, chyba nikt nie potrafi. Wiem, że dużo w tym naiwności, bo jestem świadom mroku, który wylewa się z naszych telewizorów. Ale gdybym miał żyć tymi myślami, byłbym jako człowiek zupełnie bezużyteczny dla innych. Tymczasem moim obowiązkiem jako pisarza jest opowiadanie historii, które sprawią, że czytelnik uwierzy w scenariusz, w którym ludzi takich jak Donald Trump wymieniamy na sprawującą autentyczną pieczę nad wszystkimi starszyznę.

Ten rozwój od wieków dominuje w narracjach, którymi się karmimy. Jakie historie powinniśmy opowiadać sobie w antropocenie?

Takie, w których autor znika, a czytelnik zyskuje poczucie, że jest kochany, bo jego dobrostan okazał się być istotny z punktu widzenia obcej mu osoby. To są historie, które mogą pomóc nam wszystkim. Przez lata podróży zadawałem w wielu rdzennych kulturach pytanie: kim jest opowiadacz historii? W Yellowknife na Terytoriach Północno-Zachodnich w Kanadzie usłyszałem, że jesteś nim, dopóki twoje historie są pomocne. Z kolei w inuktitut (języku Eskimosów) na wschodzie kanadyjskiej Arktyki opowiadacz to ten, kto tworzy atmosferę, w której mądrość odsłania się sama. Jeśli tak stawiasz sprawę, to od razu rozumiesz, że nie osoba jest istotna, tylko owa mądrość. Ona jest na co dzień ukryta niczym dzikie zwierzę, ale dzięki tej osobie i stworzonej atmosferze czuje się na tyle bezpiecznie, by się ujawnić, pokazać.

W „Arktycznych marzeniach" pisze Pan też, że naturalnym stanem rzeczy jest tajemnica, a nie pewność. Przecież wiedza to wszystko, co mamy!

Jasne, zgadzam się, że ciekawość wąskiej grupy ludzkości, która próbuje zrozumieć na przykład, dlaczego woda w zwężce Venturiego przyspiesza, doprowadziła nas do stanu, w którym mamy mnóstwo informacji. Ale brakuje nam

odpowiedniej narracji. Żyjemy w czasach, w których powinniśmy szukać sposobów na wynalezienie świata na nowo. Tymczasem całą energię marnujemy na projektowanie nowego wzoru koszuli. Nie potrzebujemy nowych rodzajów podstawowych ubrań. Potrzebujemy rozwoju infrastruktury, która uchroni nas przed tragicznymi konsekwencjami obecnej sytuacji, wpływu człowieka na planetę. Aby tak się stało, nie możemy tkwić w starych ideach gromadzenia dóbr czy kultu bohaterów. One są bezużyteczne z punktu widzenia społeczności. Nie możemy nieść tego bagażu i liczyć na to, że jednocześnie rozwiążemy nasze podstawowe problemy. Jeśli koncentrujesz się na budowaniu murów i atakowaniu ludzi ze względu na religię czy rasę, to nie masz nic do zaoferowania.

Czy z tą wiedzą i świadomością łatwo Panu wciąż zachwycać się światem?

Żyję w takim miejscu, gdzie powinno się raczej pytać, jak się nim nie zachwycać. Ale czasem zastanawiam się, czy ja się tu po prostu nie ukrywam. Kiedy lecę do Nowego Jorku na wykłady, to się oczywiście przyzwyczajam do hałasu czy tłumów, ale nie potrafię tam myśleć. Znajomi pisarze, którzy mieszkają tam na stałe, pytają mnie czasem, skąd we mnie tyle nadziei i naiwności. Przypominam sobie wtedy, że codziennie podejmuję wysiłek ochrony tej naiwności. Gdybym pogrążył się w cynizmie i brutalności, z którą obcuje się choćby w polityce, szybko poszedłbym na dno.

Dwadzieścia lat temu usłyszałem od znajomego, że zna tylko jedną krytyczną rzecz, jaką ludzie mówią o moich książkach: czują się podniesieni na duchu, ale ci, którzy sporo się w życiu nacierpieli, mają wątpliwości, czy można mi zaufać. Czy pisałbym to wszystko, gdybym sam się wycierpiał? Było w tym wiele mądrości, a to pytanie wisiało nade mną latami. W końcu w 2013 r. napisałem esej [opublikowany w magazynie „Harper's" – red.] o tym, jak w dzieciństwie byłem molestowany seksualnie. Miałem wiele powodów, by to zrobić, ale chyba najważniejszym było powiedzenie moim czytelnikom: choć tego po mnie nie widać, to naprawdę wiem, co macie na myśli, gdy opowiadacie, że zostaliście zgwałceni. Jako dziecko byłem gwałcony przez cztery i pół roku. Nie miałem ojca, do którego mógłbym się zwrócić. Musiałem sobie poradzić sam lub umrzeć. Wiem, co to znaczy żyć w przekonaniu, że jest się najbardziej bezwartościową osobą na świecie. Więc kiedy piszę coś, co ma podnieść na duchu, nie wynika to z mojej naiwności, ale wiedzy i doświadczenia. Wiem, jak potworni mogą być dla siebie ludzie. I mimo to ciągle wierzę w świat pełen ideałów i chcę się tą wiarą dzielić.

ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

Impuls do opowiadania historii jest impulsem społecznym. Dzielę się informacjami, które budują poczucie własnej wartości i wrażliwości na świat.

BARRY LOPEZ (ur. 1945) jest amerykańskim pisarzem, prozaikiem i eseistą. Za „Arktyczne marzenia" (właśnie ukazały się w przekładzie Jarosława Mikosa nakładem Marginesów) został wyróżniony National Book Award w dziedzinie literatury faktu.

To była najtrudniejsza rzecz, jaką Pan napisał?

Tak, ale problem był raczej natury technicznej, a nie emocjonalnej. Przeszedłem przez cztery lata terapii, zakończyłem ją z umiejętnością radzenia sobie z dziecięcą traumą. Ktoś mógłby powiedzieć, że tamten esej był formą terapii, ale nie, to był mój zawodowy obowiązek. Tak jak po spotkaniu z niedźwiedziem polarnym mam w sposób wiarygodny je zrelacjonować, tak samo i w tym przypadku musiałem zrobić to z obiektywizmem, który był mi jednak obcy, bo nigdy wcześniej nie pisałem o sobie. Ten techniczny problem polegał na stonowaniu własnego głosu. Zresztą wspólnie z redaktorem uznaliśmy, że opowiem tylko o części traumy, bo tych emocji i tak będzie za dużo. Resztę opiszę kiedy indziej.

Czyli to nigdy nie będzie zamknięty rozdział?

Celne pytanie. Po terapii wszedłem w świat z dużo większą równowagą. Wydawało mi się, że stałem się lepszym człowiekiem. Ale potem łapałem się na tym, że bywam nie w porządku wobec innych i zastanawiałem się, czy to wciąż echa traumy. Więc chyba tak, z tego nigdy się nie wychodzi do końca. Terapia nie ma cię wyleczyć, tylko nauczyć cię, jak sobie z tym radzić.

Wie pan, mam nowotwór czwartego stopnia. Kiedy dowiedzieliśmy się z żoną, że są przerzuty, byliśmy oczywiście wstrząśnięci. Jednak onkolog powiedziała mi coś, co potrzebowałem usłyszeć: że to nieuleczalna choroba, nie będzie żadnej remisji, ale możemy sobie z nią radzić. To tak jak z moją terapią – była skuteczna, choć nie wymazała wspomnień. Nauczyła mnie, jak sobie z nimi radzić. To samo dotyczy żałoby i niepewności związanych ze środowiskiem naturalnym. Musisz umieć sobie z nimi poradzić, w przeciwnym wypadku będziesz bezużyteczny. Jeśli siadacie w kółeczku osób, które myślą identycznie, i utwierdzacie się w negatywnych myślach, to nikomu nie pomagacie.

Reżyser Werner Herzog powiedział kiedyś, że pomogłoby nam wysłanie w kosmos poetów i artystów zamiast astronautów, bo przywieźliby nam nowe obrazy i nowe perspektywy.

Zgadzam się z nim całkowicie. Przed czasami rewolucji naukowej, jeśli chciałeś poznać prawdę, szedłeś do teatru, słuchałeś muzyki, wpatrywałeś się w obraz. A potem wyrobiliśmy sobie zdanie, że tylko nauka jest nośnikiem prawdy. Owszem, fizyk atmosfery powie ci prawdę o kryzysie klimatycznym, ale nie on jeden. To samo mogą zrobić dramatopisarze, literaci, muzycy, tancerze czy fotograficy. To oni dają nam brakujące ogniwo, które pozwala tę prawdę zrozumieć. To, że dwa plus dwa daje cztery, nijak nie mówi nam, co to znaczy być człowiekiem. Naukowcy nie powinni się dziwić, że ich przesłanie nie trafia do ludzi, jeśli patrzą na sztukę z góry i traktują ją jako folklor. Są zbyt zapatrzeni w swoją prawdę, by zrozumieć tę jedyną, pisaną wielką literą.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

STANISŁAW

Mancewicz:
O handlu

Dziś pogwarzymy o tu i ówdzie zgłaszanym pomyśle, by oto Unia Europejska uzależniała przyznawanie swych wielkich funduszy od przestrzegania prawa w państwach członkowskich. Słuchając opinii w tej sprawie, zarówno tych entuzjastycznych, jak i krytycznych, odnosimy ponure wrażenie, że istota tej propozycji nie jest dostatecznie przemyślana.

Rzec trzeba, że wbrew pozorom sprawa jest szalenie prosta, co łacno można objaśnić za pomocą przykładu wziętego z życia. Oto wyobraźmy sobie, że nasi milusińscy, z którymi siadamy do obiadu, otrzymują wedle domowego cennika wynagrodzenie. Płacimy im złotówkę za umycie rąk, dwa złote za niebekanie, trzy za powstrzymywanie się od plucia do talerza, cztery za niebicie stołowników, gdy jedzą, a zwłaszcza niedźganie seniorów widelcem w czasie połykania tabletek po deserze. Premie regulaminowe, bądź jak kto woli tzw. trzynastki, przewiduje się za szeroko pojętą inwencję na froncie kultury wysokiej. Mamy tu na myśli zmienianie skarpetek przynajmniej raz w miesiącu. Dzięki tym wydatkom otrzymujemy wzorową rodzinną aurę w kraju – pardon – cywilizacji łacińskiej. Jest więc ciepło i życzliwie, posiłki są smaczne, z kuchni zaś dochodzą właściwe zapachy. Spróbujmy jednak spóźnić się z wypłatą, zapomnieć o rewaloryzacji w związku z szalejącą inflacją bądź też nagle starodawnie zhardzieć i uznać, że te wynagrodzenia się jednak nie należą. Wybucha natychmiast piekło i smrody. Z ucywilizowanych, wydawałoby się, milusińskich, w których zainwestowaliśmy niemało, wyłażą pudrowane dotychczas szmalem instynkty animalne. Mamy więc jak na zawołanie wstrętne hałasy, ordynarne zwracanie się do starszych, stołownicy klną jak szewcy, a gdy – dla ulgi – pochylamy już głowę nad rosołem, spostrzegamy skarpetkę wrzuconą doń dla żartu. Wszystko jest oczywiście filmowane telefonem, by mogli to sobie obejrzeć rówieśnicy naszych pociech w internecie, w ramach jakże dziś wspieranej kultury niskiej.

Mamy nadzieję, że ten skromny zestaw przykładów – przynajmniej kilku osobom z rozległych rzesz czytelniczych – uświadomi osobliwość zapowiadanych przez unijnych działaczy transakcji.

Oto być może będziemy niebawem państwem, które za czynsz pochodzący z międzynarodowej zbiórki będzie udawać zachodni kraj demokratyczny. Będziemy powstrzymywać się od siania terroru, łamania praw ludzkich i od niewsadzania ludzi do więzień za poglądy. Państwo będzie po prostu Peweksem, dewizowym sklepem z elementami zachodniej demokracji. Klient nasz pan, ale wszystko ma jednak swoją cenę. Gdy Unię Europejską będzie stać na luksusy, wszystko będzie cacy. Potrzebne jest kilo wolności słowa? Owszem, mamy na składzie, ale ceny wolności słowa bardzo skoczyły na światowych giełdach – prosimy zatem o dwieście kilometrów autostrady w zamian. Tuzin dzienników telewizyjnych w miesiącu, bez nienawiści, kłamstwa i rasizmu? Proszę bardzo, da się zrobić. Potrzebny nieskorumpowany przez partyjniaków sędzia? Dwa tuziny? O, niestety. Oferujemy ich tylko na sztuki, są bardzo drodzy i mamy ich mało. Osiągają kosmiczne ceny. Potrzebni niekradnący publicznych pieniędzy prawicowi politycy? Na jednorazowy występ za granicą? OK, ale dziś mamy jednego, bardzo nieśmiałego, spod lady, proszę przyjść jutro, może coś dowiozą. Mniej smrodzenia i trucia, nieco elastyczności w ochronie środowiska? O nie, nie, wiara ojców nie jest na sprzedaż, tu się nie dogadamy, u Niemca proszę pytać...

No więc tak sobie to wszystko projektując, i nieco jakby żartując, zorientowaliśmy się, że to może dobrze. Niech i tak będzie. Lepszy rydz niż nic. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

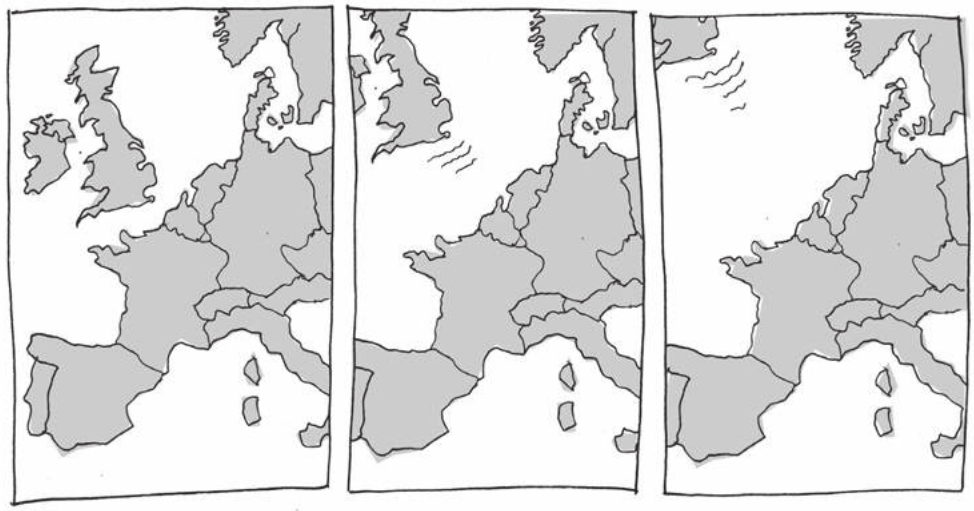

Kochani, jesteście ze mną co tydzień

a także:

„»Tygodnik« od kilku lat prenumeruje moja mama, która zawsze pożycza mi egzemplarz po jego przeczytaniu OD DESKI DO DESKI”

„Nic nie zmieni mojej opinii na temat »mojego« »Tygodnika«... bo lepsza być nie może”

„Cały mój kształt umysłu i duszy zawdzięczam lekturze Waszego pisma”

„Dziękujemy za jedyne pismo, które da się czytać z przyjemnością!”

„W mojej ocenie to najlepsze źródło informacji i opinii w Polsce”

„Nie chciałabym stracić żadnego numeru”

„Czysta przyjemność czytania”

„Dziękuję za to, że jesteście”

Jeśli możesz podpisać się choć pod jednym z tych cytatów – może czas dołączyć do prawie siedmiotysięcznej społeczności naszych prenumeratorów? Kupując abonament, wspierasz bezpośrednio misję „Tygodnika”, pisma niezależnego dzięki swoim Czytelnikom.
„Tygodnik Powszechny” w prenumeracie to także pewność otrzymania każdego egzemplarza; to – przy rocznej prenumeracie – niższa cena numeru; to zniżki na inne wydawnictwa „TP”; to nieprzypadkowe prezenty dołączane z myślą o Was.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@powszechswiat.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	370 zł	450 zł
Półroczna (26 numerów)	220 zł	270 zł
Kwartalna (13 numerów)	120 zł	140 zł
Pokolenia**	333 zł	
Karta Dużej Rodziny***	333 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY WYDANIE SPECJALNE” NA 2020 ROK W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	430 zł	510 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	393 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	393 zł	
4 wydania specjalne	69 zł	

* ważny od 1 grudnia 2019
** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia
*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY
SALES MANAGO
marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

JUŻ W SPRZEDAŻY

Kod rabatowy: **StrefaTP** w księgarni **www.znak.com.pl**

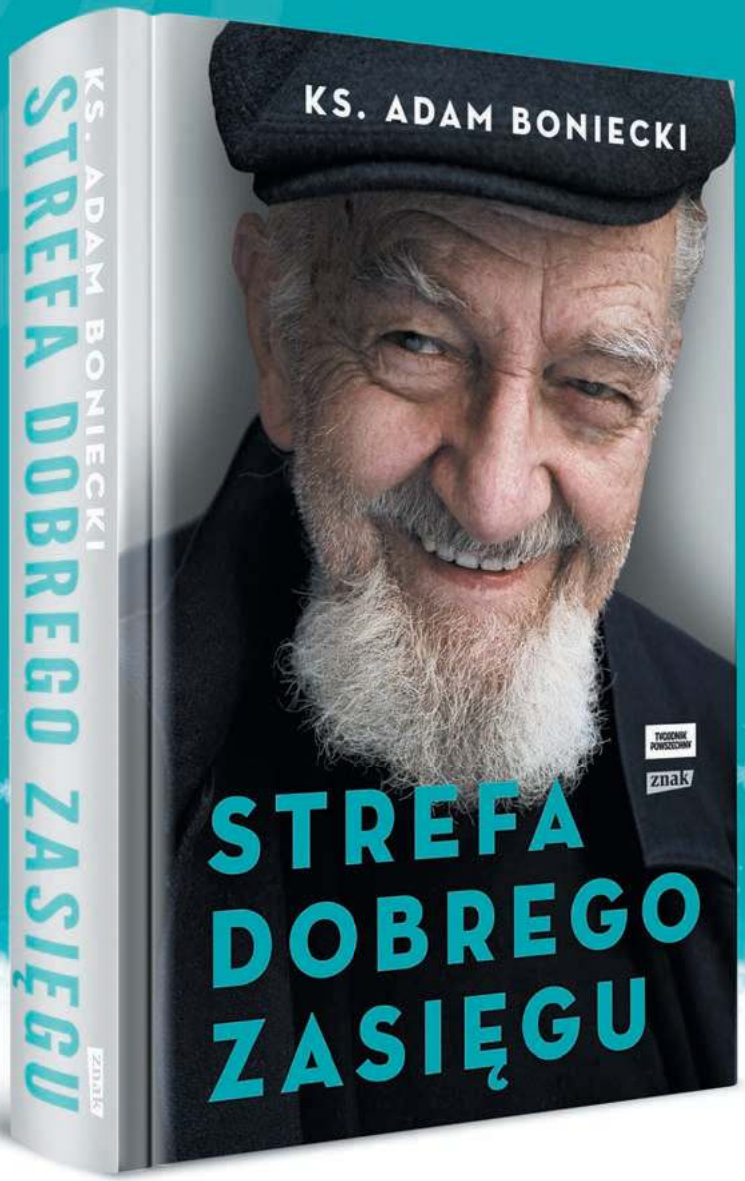

Dostajemy tu dużo więcej niż komentarz do rzeczywistości. Dostajemy wgląd w świat księdza Adama, taki, który nie ogranicza się do spraw Polski, Kościoła i „Tygodnika". Spotkania z przyjaciółmi i wspomnienia z młodzieńczych wspinaczek wysokogórskich, wyznanie nieprzemijającej słabości do zakupów w galerii handlowej i refleksja o niewłaściwości mrugania światłami po spotkaniu z wyposażonym w radar policyjnym patrolem. Przepisy na dobre świętowanie ważnych wydarzeń z kalendarza liturgicznego. Relacje z wydarzeń przełomowych. Szpile wbijane w co bardziej nadmuchane balony. „Gdybym był Konferencją Episkopatu Polski..." – zaczyna jeden z tekstów. Trochę szkoda, że nie jest. Całe szczęście, że nie jest.

znak

TYGODNIK POWSZECHNY

Michał Okoński,
redaktor tomu i dziennikarz
„Tygodnika Powszechnego"